

Absolwentka

Emily Cassel

Benowi, najlepszemu na świecie bratu,
który jest już prawie absolwentem

Rozdział 1

No dobrze, następne pytanie. Co byś wolała, być mangustą czy dziobakiem? - Adam Davies, wysoki, zielonooki i tylko odrobinę zwariowany najlepszy przyjaciel na świecie leżał na podłodze mojego pokoju w akademiku. Wpatrywał się we mnie z takim nateżeniem, jakby odpowiedź na to pytanie miała zdecydować o losach Ziemi.

Upiłam łyk piwa nalanego z beczułki w przedpokoju i udałam, że się namyślałam.

- Mangusta... Hm, za bardzo łasicowata, jak na mnie. Taka gryzoniowata. No, ale z drugiej strony, czym jest właściwie dziobak? Ma dziób, składa jajka, a przecież to ssak. To jak to w końcu jest? Co taki dziobak robi i jak żyje?

- Nie bardzo wiem. - Adam zmienił pozycję i teraz leżał tuż przy łóżku. - Chryste! - zawołał. - Wiesz, co to takiego zmiotka? Masz tu koty jak tygrysy.

Rzuciłam poduszką i trafiłam go w pierś.

- Hej, lada dzień stąd wyjeżdżam - powiedziałam. - Koniec sprzątnania. Zostawiam to personelowi Clarendon University.

Chwycił poduszkę i odrzucił, ale chybił. Celował gorzej od dziewczyn, od zawsze.

- To co, wybierasz mangustę? - zapytał. - Wolisz mangustę? Będiesz musiała walczyć z węzami, tak jak prawdziwe mangusty.

Bawiliśmy się w kim wolisz zostać od piętnastu lat. Od czasu, kiedy jako siedmiolatki biegaliśmy po Jackson Park w kalifornijskim Glendale. Nieopodal na ławkach plotkowały nasze opiekunki, popijając coca - colę i opychając się cukierkami M&M. Nigdy nas nimi nie częstowały. Twierdziły, że cukier robi z nas niezdolne bachory, akurat to było prawdą. No, w każdym razie graliśmy w to tak długo, że powinno się nam już znudzić. I może tak było? Tyle że nie

mogliśmy się oprzeć znajomej zabawie. Po pierwsze, dostarczała tematu, kiedy nie było o czym gadać. Po drugie, uspokajała nas przed egzaminem czy randką w ciemno. Po prostu się z nami zrosła.

Ostatnio skupiliśmy się nie tyle na samych zwierzętach, ile na ich życiu. I tak na przykład żadne z nas nie chciało być psem, bo pies cały dzień wykonuje polecenia pana. Podobnie z wołem, bo juki, które dźwiga, mogą być naprawdę bardzo ciężkie. Życie małpy też wydawało się mało ciekawe, bo trzeba by wybierać wszy z sierści kompanów. A potem pewnie je zjadać, żeby nie wyjść na gbura.

Dzisiaj graliśmy dlatego, że byliśmy na ostatnim roku studiów, a ceremonia zakończenia miała się odbyć za niecałe osiemnaście godzin i otwierało się przed nami życie. Zostaniemy, kim będziemy chcieli. Tak, w każdym razie, sobie mówiliśmy. Na przykład mułami zmuszanymi przez innych do wykonywania ich poleceń albo tygrysami. Rzecz jasna, to drugie wydawało się znacznie lepsze.

Oczywiście teraz wybrałam dziobaka. Głównie dlatego, że nie boję się być dziwadłem. No wiecie, wystarczy popatrzeć na moją rodzinę. Przy nich podobny do kaczki jajorodny ssak wydaje się całkowicie normalny. Zaraz do tego wrócę.

Adam spojrzał na mnie uważnie z udawanym oburzeniem.

- Czekam na odpowiedź.

- To twoja wina. Odwróciłeś moją uwagę tymi kotami. A twoim zdaniem co wybiorę? - zapytałam.

- Dziobaka, oczywiście - odparł natychmiast, kładąc się na plecach i opierając stopy na koszu na brudne ubrania. Ciuchy, jak można się było spodziewać, niemal się z niego wylewały.

Widzicie? Zna mnie, w przeciwieństwie do pozostałych czterystu siedemdziesięciu znajomych - tylu ich mam według Facebooka. Prawda wygląda tak, że niewielu z nich coś dla

mnie znaczy, ale nie zamierzam wykreślać reszty z listy przyjaciół. Lubię widzieć ich małe zdjęcia na swojej stronie. Uwielbiałam też obserwować, co się u nich dzieje, kiedy nudziłam się na wykładach z angielskiego. (O, Sarah Adams się zakochała! A Brad Adkins pieje nad swoimi nowymi czterema kółkami!)

Poza jedną. Jessicą Bard. Przyznaję bez bicia, że jej nie lubiłam oglądać na Facebooku. Znać ten typ - ładne, bystre, superambitne. Z tych, co to mogą całą noc zakuwać do kolokwium, a mimo to rano pojawiają się świeże, z nienagannym makijażem i talerzem domowych bułeczek dla nauczyciela. Paw. Oczywiście to właśnie ona miała wygłosić mowę pożegnalną na ceremonii zakończenia. I to wiadomości o niej były najgorsze. (Jessica Bard dostała A! Znowu! - kolejny paw, albo nawet trzy.)

A przecież wcale nie radziłam sobie źle na studiach. Na dyplomie zobaczę pewnie jeden z tych ładnych łacińskich zwrotów: Cum laude. Z wyróżnieniem.

Jutrzejszy dzień planowałam całe życie. Otwierał drogę do prawdziwego świata, gdzie dostanę pracę, w której będą mi płacili za to, że robię to, co kocham. I nie było to, wbrew pozorom, picie litrów budweisera i decydowanie, jakim zwierzęciem wolałabym zostać. Chciałam czytać, zostać redaktorem wspaniałych, cudownych książek.

Opracowałam ten plan przed laty. Nazwałam go, bardzo inteligentnie, Planem, i był całkiem prosty. Po pierwsze, świetnie poradzę sobie w liceum. Po drugie, dostanę dobre stypendium, dzięki któremu moi rodzice nie będą musieli się rujnować, żeby mnie wysłać na uniwersytet. Po trzecie, na uniwerku ograniczę zabawy w piwnego ping - ponga i w nigdy, żeby nie stracić stypendium. I najważniejsze, po czwarte, gdy zostanę już magistrem literatury anglojęzycznej, poszukam jakiejś ciepłej posadki w najlepszym wydawnictwie

w Los Angeles, na przykład Happerman & Browning, gdzie dane mi będzie odkryć kolejną Wielką Amerykańską Powieść i poślubić Jonathana Micaha Millera, który w rozczulającym wieku lat siedemnastu został okrzyknięty wyjątkowym talentem literackim dzięki bestsellerowi Kocham wszystkich, a wszyscy kochają mnie. Adam dopił piwo i usiadł.

- Chcesz jeszcze? - spytał, wyciągając tani plastikowy kubek z napisem „Tijuana Rulez”, pamiątkę zachowaną jeszcze z czasów przerwy wiosennej na pierwszym roku. To była moja jedyna pamiątka z tamtej podróży, za co niezmiennie dziękuję bogom. Moja kumpela, Julie, wróciła z tatuażem Maria Lopeza na tyłku. Była bardzo, bardzo pijana, gdy go wybierała.

Pokręciłam głową. Jutro kończę studia, wolałabym uniknąć kaca i worków pod oczami,

- Wystarczy tego piwa, dzięki. Muszę się wyspać, żeby jako tako wyglądać.

- To raczej nie wystarczy ci nocy - zaripostował Adam. - Chyba ominie cię rozpoczęcie i reszta. - Ale cały czas się uśmiechał. Bo tak naprawdę uważał, że jestem ładna, i powtarzał mi to za każdym razem, kiedy tego potrzebowałam. Bo choć miło jest mieć długie kasztanowe włosy, niebieskie oczy, gładką skórę i nienajgorszą figurę, to od czasu do czasu zdarzał mi się dołek.

- W takim razie dobranoc - powiedział. - Do zobaczenia, gdy będziesz magistrem, cum laude.

Adam wyszedł, a ja padłam ciężko na łóżko. Skubałam wiszący na ścianie plakat Ernesta Hemingwaya.

Wspominałam ostatnie cztery lata. W pamięci przewijała mi się seria zastygłych klitek - jak się zagubiłam między regałami w bibliotece, opychałam się nachos na stołówce, pisałam eseje na temat Szekspira i Faulknera, gawędziłam do późna z Adamem, przy pizzy podgrzanej w mikrofalach.

Uniwersytet był świetny. Ale ten etap w moim życiu już się skończył. Teraz brałam za siebie odpowiedzialność. I byłam pewna swojego Planu jak nigdy dotąd.

Wziąwszy pod uwagę, że miałam jedenaście lat, gdy go tworzyłam, co nieco się zmienił od tego czasu. Na przykład, nie chciałam już wyjść za Jonathana Micaha Millera, bo - jak powiedział jeden krytyk - większości z nas wystarczy jedno imię, palancie. A poza tym facet miał teraz ze dwadzieścia osiem lat i przestał być młodym talentem! Mniejsza o to. Osiągnęłam już trzy ze swoich celów i teraz, przygotowana, by wystrzelono mnie z armaty wyższego wykształcenia na pole bitwy prawdziwego życia, osiągnięcie czwartego przyjmowałam właściwie za pewnik. Byłam gotowa na świat. Jedyne pytanie to czy świat był gotowy na mnie?

Rozdział 2

Ranek był słoneczny, ciepły i złoty. Oczywiście, to Los Angeles, więc pogoda nie wydawała się niezwykła. Niezwykle natomiast były hordy ludzi, które zobaczyłam na uniwersytecie. Deptali trawę, wpatrywali się skonsternowani w mapę kampusu, wrzeszczeli na dzieci, żeby trzymały się blisko, i fotografowali wszystko dookoła. Jakby ten chaos był czymś, co należy zapamiętać i zachować, zamiast jak najszybciej zapomnieć, splukując wytrawnym martini.

W powietrzu wisiała gorączka i uległ jej nawet Adam, który wszystko starał się traktować z dystansem. Kupił na tę okazję nowy garnitur, chociaż wiedział, że i tak obowiązkowo przykryje go szkaradna rdzawoczerwona poliestrowa toga. W śmiesznym birecie wyglądał jak przebrany chłopiec.

- Pasuje ci ten kolor - powiedziałam, gdy schroniliśmy się w cieniu dużego wiązu. - Podkreśla zaczerwienione oczy.

- Bardzo zabawne - odparł. Gdzieś z fałd togi wyciągnął aparat i zrobił mi zdjęcie. Akurat przełykałam ostatnie kęsy chili relleno burrito, zanim zawołają nas do audytorium. - Masz fasolę na zębach - stwierdził.

Machnęłam na to ręką.

- Zajmę się tym później, jak skończę. To, co naprawdę mnie irytuje, to ta śmieszna czapka. Moja głowa wygląda w niej jak kartofel, nie uważasz?

Adam się zaśmiał.

- Jak kartofel? Za chwilę odbierzesz tytuł magistra anglistyki i tylko na to cię stać?

- Magistra z wyróżnieniem! - Wyprostowałam się i wypięłam pierś.

Adam teatralnie popukał się w czoło.

- No przecież! Na śmierć zapomniałem?

Nic nie mogłam na to poradzić, duma mnie rozpierała. Ciężko zapracowałam na ten tytuł, nawet jeśli stać mnie tylko

na określenie: „jak kartofel”. Skończyłam burrito i próbowałam pozbyć się fasoli z zębów. Obejrzałam się na kolegów z roku, zastanawiając się, czy są równie zadowoleni z końca swojej akademickiej kariery jak ja. Miałam nadzieję, że tak.

- Gdzie twoja rodzina? - zapytał Adam. A potem wskazał na moje usta. - Jeszcze kawałek fasoli.

- Dzięki - odparłam. - Nie mam pojęcia. Powiedzieli, że się spóźnię. Prawdę mówiąc, to nic niezwykłego.

Mimo to zaczynałam się trochę martwić. Ceremonia miała się zacząć lada moment, a jeszcze nie dotarli. Nie byłam zaskoczona - w mojej rodzinie dwadzieścia minut spóźnienia oznacza, że jest się punktualnie, a przybycie na czas uchodzi za przedwczesne - ale miałam nadzieję, że przez wzgląd na rangę okazji zorganizują się lepiej niż zwykle. Powiedzieli, że spotkamy się pod budynkiem administracji o czwartej. Potem zadzwonili, że się spóźnię, bo Hunter, mój siedmioletni brat, odmówił włożenia ubrania właściwą stroną na wierzch i trzeba go było przekupić koktajlem w In - N - Out Burger. Uważał, że normalne noszenie ubrań to kapitulacja przed przemysłem mody. Prawdę mówiąc, to ja tak uważałam. Hunter twierdził tylko, że to nudziarstwo. Ale czy dzięki tym słowom nie wydaje się bystrzejszy?

Przyglądałam się więc morzu ludzi, szukając mamy w jej ulubionej sukience (niebieskiej w białe kropki), taty w wyjściowym krawacie (jedynym bez plam), poprawnie (przy odrobinie szczęścia) ubranego Huntera i babci w jednym z jej potwornych nakryć głowy (miała bzika na punkcie zwariowanych kapeluszy). W głębi duszy żywiłam małą, maleńką nadzieję, że nie pojawią się wcale. Że tak im się spodoba w In - N - Out, że zostaną tam na całe popołudnie. I że zdecydują się poświęcić te pięćdziesiąt dolców bez jednego centa na taśmę wideo z ceremonii, którą obejrzą sobie na

kanapie w towarzystwie wiadra prażonej kukurydzy. Nie myślcie, że nie kocham swojej rodziny, ale czasami kocham ją bardziej, kiedy nie ma ich w pobliżu.

Kiedy wpadliśmy z Adamem do audytorium, poczułam motylki w brzuchu zupełnie tak samo, jak w dniu, kiedy pierwszy raz postawiłam nogę w kampusie. Chociaż byłam gotowa się pożegnać z uniwersytetem, nie sądziłam, że ten czas nadejdzie aż tak szybko. Cztery lata temu nie słyszałam o Willi Cather czy E.L. Doctorowie, nie czytałam Turgieniewa ani Wollstonecraft. Za najważniejsze dzieło George'a Orwella uważałam Rok 1984. Nawiasem mówiąc, nie wiedziałam też, co to body shot, zarywanie nocy albo gra w rozbieranego pokera, które były równie ważne dla mojej edukacji jak przeczytane książki.

- Denerwujesz się? - zapytałam, przeciskając się za Adamem na nasze miejsca.

- Nie bardzo - powiedział, unosząc na moją cześć biret. - Prawdę mówiąc, już mnie to znudziło.

Sami widzicie. Zblazowany od kołyski.

Poczułam na ramieniu czyjaś dłoń, odwróciłam się i zobaczyłam Jessicę Bard szczerzącą do mnie i do Adama lśniąco, wybielane zęby.

- Jak się macie, absolwenci? - zaczęła. Zauważyłam, że kupiła sobie sandały dokładnie w kolorze togi.

- Fantastycznie - rzuciłam w odpowiedzi, dokładając nieszczerzy uśmiech. - Nauczyłaś się przemówienia na pamięć? - Oczywiście ani trochę mnie to nie obchodziło, próbowałam jedynie być uprzejma.

- Och, nie jestem zwolenniczką dopinania wszystkiego na ostatni guzik - odparła bez troski, ściskając moje ramię i wyciągając dłoń, żeby przywitać się z Adamem. - Wysysają energię i życie. Poza tym mnóstwo czytam i coś tam się nada. Więc powinno się udać. To wydarzenie jest takie drętwe. Chcę

mu dodać spontaniczności. A poza tym improwizowane przemówienie to niezły test na inteligencję, nie sądzicie?

Spojrzałam ponad głową Jessiki na Adama, który wywrócił oczami i udał, że wymiotuje. Próbowałam się nie roześmiać.

- Na pewno będziesz fantastyczna - powiedziałam. To pewne, bo Jessica Bard miała łeb jak sklep, nie wspominając o jajach, których nie powstydzilby się byk. A czy wspomniałam już, że oprócz urody miała też doskonałe wyczucie stylu? Wyjąwszy oczywiście te brzydkie rdzawoczerwone sandały.

- No dobrze - stwierdziła - pora się zbierać. Machają do mnie ze sceny.

- Połamania języka - powiedział Adam. - Tylko nie naprawdę.

Jessica pozostała obojętna na jego sarkazm.

- Do zobaczenia później! - zawołała i ruszyła na scenę.

- No tak - rzucił Adam, obserwując jej odwrót - przemówienie będzie kapitalne albo kompletnie do kitu.

- Pewnie to pierwsze - rzekłam ponuro. Nie życzę źle przyjaciołom i byłam zachwycona, kiedy dziewczyna z pokoju ukończyła studia przed czasem i wyjechała do Afryki na stypendium Fulbrighta. Ale Jessica Bard nie była moją przyjaciółką. - Tylko na nią popatrz. Jest taka pewna siebie. I nienagannie się trzyma.

- Założę się z tobą o pięć dolców, że mowa będzie do chrzanu - zaproponował Adam. Przybiłam zakład.

W końcu zajęliśmy miejsca i po chwili ceremonia się zaczęła, jakieś dwadzieścia minut po czasie. Z tego, co wiedziałam, wszystko przebiegało standardowo. Na scenie zagrał zespół i w niebo wesoło pofrunęły balony. Oczywiście zauważyłam też udekorowane birety kolegów - dostrzegłam aligatora, stetoskop i coś przypominającego piwną fajkę, wszystkie w moim rzędzie - i jestem całkiem pewna, że z tyłu

usłyszałam strzelające korki od szampana. A potem przyszedł czas na mowę Jessiki.

Przedstawił ją niski, przysadzisty rektor naszej uczelni. Stała na podium pewna siebie, jakby się na nim urodziła. Z żółtą różą przypiętą do togi uśmiechała się do nas promiennie. Oczywiście nie ozdobiła biretu - na to była zbyt wyrafinowana.

- Roczniku 2008. Mam wielki honor przywitać Was na dzisiejszej ceremonii ukończenia studiów. - Niemal widziałam, jak głęboko oddycha, szczęśliwa, że znalazła się w centrum uwagi. - Stoję przed Państwem, kolegami z roku i gośćmi, i z optymizmem w głębi serca i żarliwością w głosie pragnę wymówić dwa stare jak świat słowa: carpe diem.

Wymieniliśmy z Adamem oszołomione spojrzenia. Uniósł brwi tak, że prawie zniknęły pod płową grzywką.

- Carpe diem? Jesteśmy na planie Stowarzyszenia Umarłych Poetów, czy jak? - szepnął. - Och, już się cieszę na te pięć dolarów.

- Cii - syknęłam. Nie dlatego, żeby obchodziło mnie to, co Jessica ma do powiedzenia, ale przecież musiałam się przekonać, kto wygra zakład.

Jessica uśmiechnęła się radośnie i dotknęła biretu.

- Nie patrzcie na dzisiejszy dzień ani dni, które do niego prowadziły - wykłady, egzaminy, eseje - jak na przygotowanie do prawdziwego życia. Każda z tych chwil była prawdziwym życiem. Przecież nie zaczyna się ono teraz, moi przyjaciele. Zaczęło się wcześniej. Więc z każdej chwili czerpcie jak najwięcej. Gdy znajdziemy się za tymi drzwiami, wzywam was nie tylko, byście chwyтали dzień, ale byście kurczowo go trzymali, wyżywali z całej siły i wyciskali zwycięstwo z każdej, najkrótszej chwili...

- Nie takie złe - wyszeptałam. - Ten kawałek o tym, że każda chwila to prawdziwe życie.

Adam parsknął.

- Litości. Wypłata, poproszę.

- Nie mam przy sobie - powiedziałam. - Na wypadek gdybyś nie zauważył, nie mam torebki. Nie trzymam forsy w staniku. To patent mojej babci.

- To nie nosi ich w kapeluszach? Zachichotałam.

- W kapeluszach trzyma dwudziestki, mniejsze w staniku.

- Ma jakiś uraz do torebek? - zapytał.

- Któż to wie. - Westchnęłam. - Dziwaczna kobieta. Skoro już mowa o babci, to zastanawiałam się, gdzie ona jest? Gdzie są wszyscy? Czy to możliwe, że naprawdę się spóźniła. Że zabraknie ich w najszcześniejszym dniu mojego życia?

Odwróciłam się i wpatrywałam się w tłum. Nagle ich zobaczyłam. Przeciskali się w jednym z ostatnich rzędów ku kilku wolnym miejscom. Tata niezdarnie potykał się o kolana siedzących i niewątpliwie deptał im po stopach. Mama niosła na biodrze Huntera - który jest na to o wiele za duży - a babcia, która wprowadziła się do nas jeszcze za moich licealnych czasów, zamykała pochód. Miała czerwone paznokcie, gołębnie włosy i włożyła wściekle różową sukienkę, która wyglądała jak ściągnięta z planu Real housewife of Orange County. I, jakżeby inaczej, była w kapeluszu ozdobionym dużą czerwoną papugą. Hunter wymachiwał tą okropną kukiełką skarpeta, którą babcia zrobiła dla niego, gdy miał trzy lata, i której dał na imię Larry. Kocha Larry'ego i zabierał go ze sobą praktycznie wszędzie, przez co kukiełka była niemiłosiernie brudna.

Odwróciłam się do Adama i skuliłam się na krześle.

- Właśnie zjawiała się moja zwariowana rodzinka - oznajmiłam.

- To bardzo dobrze - powiedział. - Zaczynałem się martwić.

Adam o dziwo lubił moją rodzinę. I był to jeszcze jeden z powodów, dla których uważałam go za najlepszego przyjaciela.

Jessica na podium bredziła coś od rzeczy o tym, jak to nasza generacja jest silniejsza, zdolniejsza i lepiej wyposażona od tych, którzy byli przed nami. I o tym, że naszą odpowiedzialnością - nie, przeznaczeniem - jest przeć do przodu i zdobyć zasłużone miejsce na szczycie piramidy życia...

Ple - ple, pomyślałam. Chyba jednak jestem winna Adamowi pięć dolarów. Trochę trudno było mi się skoncentrować na przemówieniu, bo wciąż się odwracałam, żeby sprawdzić, co robią moi najbliżsi. Zajęli miejsca i zobaczyłam, że babcia - przekonana najwyraźniej, że jest w kinie - wyjęła torbę prażonej kukurydzy. Mój młodszy brat klęczał na krześle, wymachując Larrym. W pewnej chwili wydawało mi się nawet, że Larry czule i całkowicie nieestosownie głaszcze włosy siedzącej przed nim kobiety. Miałam rozpaczliwą nadzieję, że oczy płatają mi figla.

Postanowiłam się nimi nie przejmować. Skupiłam uwagę na Jessice, żeby rozsądzić zakład z Adamem. I smakowałam ostatnie chwile, zanim oficjalnie ogłoszą mnie absolwentką. Jakoś mi się to udało. Niedługo potem Jessica skończyła, wyczytano nasze nazwiska i razem z Adamem oraz resztą naszego roku ruszyliśmy gęsiego na scenę odebrać dyplomy. Nawiasem mówiąc, nie były to prawdziwe dyplomy, tylko puste blankiety w brązowych okładkach ze sztucznej skóry. Nie chcieli ryzykować, że coś pójdzie nie tak i studenci dostaną nie swoje dyplomy. Dlatego uczelnia po prostu poinformowała nas, że prawdziwe świadectwa przyjdą pocztą.

Adam odebrał tytuł i uścisk dłoni rektora. Po audytorium przebiegł krzyk, gdy zamachał do dziewczyn, gorących fanek Captain Corduroy, jego kampusowej kapeli rockowej. Mnie

nie przypadły w udziale równie głośne oklaski, ale też i nie były żenująco ciche, jak w przypadku biednego Tima Kelly'ego, faceta z naszego roku, który skończył jakąś straszną matematykę i ani razu nie widziano go poza biblioteką czy jadalnią. W każdym razie odebrałam swój oszukany dyplom, potem brawa i odwróciłam się, żeby posłać uśmiech mojej dumnej rodzinie.

I wtedy stało się jasne, że przyjechali nie po to, żeby mnie wesprzeć, tylko po to, żeby mnie upokorzyć. Tata wyrwał Hunterowi Larry'ego i mój brat zaczął wrzeszczeć jak zarzynany. Babcia zdjęła kapelusz i użyła go w charakterze niezbyt efektywnego narzędzia napaści na ojca, co z kolei sprawiło, że matka rzuciła się w środek zamieszania, najwyraźniej błagając wszystkich, żeby się uspokoili.

Połowa kolegów i ich rodziców odwróciła się i gapiła na moją rodzinę walczącą jak stado wściekłych hien. Boże, pozwól mi zniknąć, pomyślałam. Po prostu zniknąć. Zamknęłam na moment oczy i udawałam, że nic się nie dzieje. Dlatego właśnie na zdjęciu z ceremonii zakończenia - na tym, które pstrykają człowiekowi w ponoć najszcześniejszej chwili jego życia - wyglądam, jakbym miała zemdleć. I wierzcie mi, z wdzięcznością przyjąłabym w tamtej chwili brak przytomności.

Zeszłam ze sceny ze zwieszoną głową i stanęłam obok Adama.

- Nie do wiary! - zawołałam, kryjąc twarz na jego piersi. - Widziałeś coś podobnego?

Adam zerknął na widownię.

- Już możesz spojrzeć. Chyba się uspokoili. Hunter odzyskał tę skarpetę - powiedział.

- Larry'ego - poprawiłam żałośnie. Odsunął mnie i zajrzał mi w oczy.

- Hej, twoja rodzina przynajmniej przyjechała. Mój tata wcale się nie zjawił.

Uśmiechnęłam się słabo i objęłam go w pasie.

- Ale z ciebie szczęściarz. Słyszałeś te wrzaski Huntera? Dzięki Bogu jestem już oficjalnie dorosła. W końcu się uwolnię od tych wariatów.

- Od rodziny nie da się uwolnić - stwierdził Adam, stukając mnie żartobliwie po głowie okładką swojego dyplomu. Nawet nie podejrzewałam, jak prorocze były jego słowa.

Rozdział 3

Jedną z rzeczy, które trzeba wiedzieć o mojej rodzinie, jest to, że uwielbiają chińszczyznę, a w szczególności chińskie szwedzkie stoły. Tata lubi je, bo może napchać się do woli, a mama dlatego, że z natury jest łowczynią okazji i nie może oprzeć się syreniemu śpiewowi wywieszki: „Tyle, ile zdołasz zjeść za jedyne 9.99”. Babcia i Hunter natomiast kochają pierożki i lo mein. Dlatego właśnie po uroczystości siedzieliśmy wokół dużego różowego stołu w Golden Panda w Burbank, pochłaniając potężne dawki glutaminianu sodu. Albo raczej większość z nas siedziała. Bo Hunter schował się pod stołem, niańcząc pozostałości swojej skarpetowej kukielki, którą tata w napadzie wściekłości zniszczył, gdy odbierałam dyplom.

- A na zajęciach w zeszłym tygodniu nauczyliśmy się jak sparaliżować faceta na amen, wykorzystując tylko dwa palce - mówił teraz ojciec.

Pochylił się i dźgnął dłonią Adama, który, chcąc nie chcąc, był w zasadzie członkiem mojej rodziny. A to dlatego, że po pierwsze, sama nie dawałam sobie z nimi rady, a po drugie, jak zauważył, jego ojciec w ogóle się nie pojawił na ceremonii. W końcu go przekonałam, że to szczęście w nieszczęściu, zważywszy na to, jak niestosownie potrafią się zachować rodzice.

- I wtedy, barn! - zawołał mój tata. - Barn! Barn! Jeden mały ruch i łup! I koniec kłopotów z miejscem do zaparkowania przed drzwiami sklepu czy kolejką przy wchodzeniu do samolotu. Rozumiesz?

Adam, dobry kompan w każdych okolicznościach, udał, że mdleje i zsunął się z krzesła. Zastanawiałam się już, czy nie wybrał towarzystwa Huntera, ale wtedy usiadł i uśmiechnął się do mnie.

- Dwa palce - powiedział. - Widziałaś, Ryden? Wywróciłam oczami.

- Taak, niesamowite.

- W każdym razie - ciągnął ojciec - teraz, Ryden, kiedy szukasz pracy, może powinnaś zastanowić się nad dojo. Mogę szepnąć za tobą słówko. - Uniósł pałeczkami pierożka, po czym wykonał bliżej nieokreślony manewr i pierożek wylądował mu na kolanach.

Nachyliłam się do Adama.

- Żartuje, prawda? - wyszeptałam. Choć wiedziałam, że nie, niestety nie.

Adam się zaśmiał, ale przerwał mu dyszkant babci.

- Sto tysięcy dolarów kosztowały studia, a teraz chcesz, żeby ćwiczyła udawane walki z bandą żółtków?

- Babciu - wysyczałam. - Nie mówimy tak. Używamy słowa „Azjatów” albo „Azjatoamerykanów”. I może zechcesz sobie przypomnieć, że dostałam stypendium. - Skubnęłam kęs dania o ironicznej nazwie Szczęśliwa Rodzina. Chyba wybrałam je pod wpływem chwilowego zamroczenia umysłu. Sos szefa kuchni zdecydowanie nie był w moim guście. Przypominał dziwny brązowy szlam.

- Mówimy też Chińczyków, Koreańczyków, Japończyków, Filipińczyków albo Lankijczyków albo... - Resztę wkładu Huntera w konwersację stłumiło przypuszczalnie sponiewierane ciało Larry'ego.

Mój tata ponownie zamierzył się na pierożek.

- Nie chcę, żeby Ryden ćwiczyła karate. Mówię tylko, że mogłaby pomóc w recepcji. Zamawiać pustaki, popilnować, żeby nikt nie okradł świątyni. I moglibyśmy razem jeździć do pracy.

- Kusząca propozycja, tatusiu, ale mam inne plany. - Naprawdę chciałam, żeby zabrzmiało to przyjaźnie.

Wtedy z pomocą przyszedł mi Adam.

- To kiedy masz kolejną rozmowę w Happerman & Browning, Ryden?

Uśmiechnęłam się do niego z wdzięcznością.

- W poniedziałek o pierwszej.

Tata zdołał donieść pierożek do ust, dlatego zapytał z pełnymi ustami:

- Gdzie? Happer co?

- Happerman & Browning - odparłam, wymawiając nazwę z czcią. - To wydawnictwo.

Przełknął i zaczął polować na kolejny pierożek.

- Ile płacą? Warto tam pracować?

- Dla asystenta redaktora to najlepsza praca w mieście. - Obserwowałam, jak ściga pierożek po talerzu.

- Asystenta? Kurczę w dojo pewnie mogłabyś zostać menedżerem. No, ale jeśli zarobki są dobre...

- Ryden dostała osobiste zaproszenie - dodał Adam. Wydawał się równie zafascynowany jak ja daremną pogonią ojca za kluchą.

- Tak - potwierdziłam. - Mój promotor i naczelny redaktor to starzy przyjaciele, więc zarekomendował mnie, i tak dalej. No i posłuchajcie, właśnie oddali te fantastyczne apartamenty kilka przecznic od wydawnictwa. Mają superwidok na miasto. A gdybym tam zamieszkała, chodziłabym do pracy na piechotę.

Mama dotąd się nie odzywała. Wydała na ten obiad prawie dziewięć dolców i zamierzała to wykorzystać do ostatniego centa.

- To cudownie, kochanie - powiedziała w końcu. Zajrzała pod stół. - Widzisz, Hunter, na jaką udaną i normalną dziewczynę wyrosła twoja siostra?

- Mówi się też Tajlandczyków, Kambodżan albo Wietnamczyków - odparł mój brat. Spod obrusa wystawały

tylko jego stopy. Z poprzyklejanymi do skarpet ziarenkami ryżu.

- Cóż - oznajmił tata - chyba należy wznieść toast. - Porzucił polowanie na pieroga, postukał pałeczką w szklanekę mrożonej herbaty i uniósł ją nad głowę. Chrząknął teatralnie. - W ten piękny dzień, ten świetny. .. znamienity... doniosły... i pamiętny dzień, mam zaszczyt. .. i szczęście... i wielką radość... i przyjemność...

- Daję ci dwie minuty - ostrzegła cierpko babcia, poprawiając papugę na kapeluszu. - Przy takim tempie pewnie umrę, zanim skończysz.

Tata popatrzył gniewnie na swoją matkę.

- Z radością wznoszę toast za moją córkę, Ryden Nicole Malby, z której jestem dumny wielce.

- Hm. - Chrząknęłam, wskazując głową Adama. Nie zwróciłam tacie uwagi, że zakończył zdanie przysłówkiem, gdyż jedynym skutkiem byłaby tylko jakaś dyskredytująca złośliwość. Pewnie coś o przemądrzałych magistrach anglistyki.

- I Adama - ciągnął dzielnie tata. - Chłopaka, który siedzi obok niej, bo znamy go od zawsze, bo jego ojciec był zbyt zajęty, żeby przyjechać, a matka nie mogła, bo nie żyje. Z niego też jesteśmy dumni.

Wtedy opuściłam głowę na blat stołu i zaczęłam się poważnie zastanawiać, czy nie dołączyć do schowanego pod nim Huntera. Wyciągnęłam rękę i w cichych przeprosinach uściśniłam kolano Adama.

Tata mówił dalej.

- I w ten cudowny, piękny, fantastyczny dzień przypomniała mi się pewna historia. Był dokładnie taki sam dzień dawno temu, gdy byliśmy z Ryden na minigolfie u Lucky'ego. No wiecie, na tym za Wilshire? Za...

- Dwie minuty - wysyczała babcia. Tata westchnął.

- W każdym razie został nam ostatni dołek, taki z gigantycznym wiatrakiem i szeroką podstepną fosą, którego nikt, nawet z najlepszymi umiejętnościami nigdy nie zaliczył. Ale mała Ryden stanęła do walki, rozhuściła kij i wpakowała piłkę do dołka.

Mama uśmiechnęła się do mnie promiennie.

- Jesteśmy z ciebie tacy dumni, kochanie - powiedziała. - Nie z powodu tamtego dołka, chociaż to było świetne. Chcę powiedzieć, że jesteśmy dumni z ciebie dzisiaj. Za wszystko, co do tej pory osiągnęłaś.

I cała rodzina zaczęła klaskać, co przyciągnęło spojrzenia ludzi przy innych stolikach. A potem stukali się szklankami na cześć moją i Adama.

- Sto lat dla Ryden i Adama - krzyknął spod stołu Hunter. - Pozdrawiamy was z Larrym. A raczej pozdrawiam was ja i to, co zostało z Larry'ego.

Pomyślałam, że może babcia też nam pogratuluje, ale zdawała się nieobecna duchem. Z uwagą wpatrywała się w garść ciasteczek szczęścia.

- Babciu? - zapytałam.

Podniosła na mnie wzrok spod ronda wielgachnego ptasiego kapelusza i zmarszczyła brwi.

- Chyba znów zjadłam tę cholerną wróżbę - powiedziała.

Westchnęłam i pokręciłam głową, wdzięczna, że od teraz panuję nad swoim życiem.

Rozdział 4

W podstawówce bawiliśmy się bardzo często z Adamem w piwnicy mojego domu, budując forty z pudeł, krzeseł i koców. Moje były zawsze skomplikowanymi, rozległymi konstrukcjami z przedpokojem i korytarzem, podczas gdy forty Adama przypominały dziwaczne małe dziuple, w których z trudem mieściły się dwie osoby. Bo tak naprawdę nie interesowało go budowanie fortów, po prostu chciał być dobrym kumplem. Chociaż pewnie wolałby bębnić na starym pianinie, które z jakiegoś powodu trzymaliśmy w pralni. Lubie myśleć, że tak zaczęło się jego muzykowanie, jeśli niekończące się interpretacje Chopsticks i Dla Elizy można nazwać muzykowaniem.

Chodzi o to, że Adam nigdy nie zwracał specjalnej uwagi na otoczenie, podczas gdy ja zawsze starałam się urządzać wszystko jak najładniej. Dlatego uznałam, że doskonale bym się czuła w tym ślicznym lofcie, kilka przecnic od Happerman & Browning, z oknami na całą wysokość ściany, wbudowanym oświetleniem i lśniącymi bambusowymi podłogami. Mieszkanie różniło się jak dzień od nocy od mojego małego, ciemnego pokoju w akademiku. No i od mojej domowej sypialni, z różowymi ścianami i parapetami oklejonymi obrazkami z jednorożcem, Pegazem i innymi wierzchowcami, co było pozostałością mojej końskiej obsesji. Kiedy miałam siedem lat, przeczytałam Czarnego Księcia i po prostu zakochałam się w koniach.

- Popatrz na to - niemal krzyknęłam do Adama, z podniecenia ściskając filizankę z kawą i niemal ją rozlewając.
- Nie mówiłam? Czy to nie niesamowite? - Wskazałam na ścianę. - Popatrz. Co widzisz?

Podążył wzrokiem za moim palcem, zmarszczył czoło i zdawał się nieco zdezorientowany.

- Hm... płytę gipsową? Białą przestrzeń? Dobre miejsce na plakat z Sylwią Plath?

Pokręciłam zdecydowanie głową.

- Miejsce na regały. Na wszystkie moje ukochane książki, od podłogi do sufitu. Ustawione alfabetycznie albo tematycznie... Nie, kolorystycznie?

- Uspokój się, tygrysku - poprosił, kładąc rękę na moim ramieniu. - Nie wprowadzaj się od razu.

Ale głos rozsądku do mnie nie docierał. Loft mieścił się niedaleko Happerman & Browning, miał olbrzymie wychodzące na południe okna i białe ściany wprost błagające, by je zagospodarować. Prawie słyszałam, jak do mnie wołały.

- Bardzo mi się podoba, wynajmuję go - powiedziałam właścicielowi, starzejącemu się, opalonemu na ciemny brąz mężczyźnie w odwróconej daszkiem do tyłu bejsbolówce Red Soksów.

- Naprawdę? - zapytał. Nawet nie obejrzałam sypialni ani nie zajrzałam do wnękowych szaf, które, jak mnie zapewniał, były bardzo pakowne.

- Naprawdę? - powtórzył Adam. Znał wysokość czynszu. Tyle że on zadowoliliby się ciemną garsonierą z widokiem na szyb windy, gdyby tylko pozwolono mu dowolnie głośno grać na gitarze. Od czasu Chopsticks i Dla Elizy poczynił, rzecz jasna, znaczne postępy.

- Tak. - Westchnęłam. - Podoba mi się. Tak właśnie go sobie wyobrażałam. - Wyciągnęłam z torebki umowę przedwstępną. - Proszę zobaczyć - powiedziałam - już wypełniona.

- W porządku - powiedział właściciel. Wyglądał jak wątpliwej jakości, tanie wydanie George'a Hamiltona. - Pozostaje jeszcze czek za pierwszy i ostatni miesiąc wynajmu plus depozyt zabezpieczający. Razem cztery tysiące.

Nawet nie mrugnęłam okiem. Błyskawicznie wyciągnęłam długopis i książeczkę czekową. Adam zabrał mi umowę, przejrzał ją szybko i poczułam bijący od niego sceptycyzm.

- Hm... Chyba zbyt szybko się śpieszysz - szepnął.

- Niedługo będzie mnie stać - syknęłam.

- W rubryce zatrudnienie podałaś Happerman & Browning.

Wyrwałam mu umowę.

- A ty co, z policji? Za kilka godzin to wszystko będzie prawda. - Rzuciłam okiem na zegarek. - Skoro o tym mowa, pora jechać! - Prawie rzuciłam umowę we właściciela i złapałam Adama za ramię. - Ogromne dzięki - stwierdziłam na odchodne. - Wprowadzę się możliwie najszybciej.

Właściciel obdarzył mnie bladym, nieszczerym uśmiechem.

- Jak tylko sprawdzę referencje i potwierdzę czek w banku - powiedział. Po czym przekreślił daszek bejsbolówki.

Wyszliśmy z Adamem na słońce. Prawie tańcząc z radości, podbiegłam do samochodu.

- Zadaj mi jakieś pytanie z rozmowy kwalifikacyjnej - poprosiłam, cały czas podskakując. Po prostu nie mogłam się opanować. - Żeby tak wszystko się dzisiaj udało. Nowe mieszkanie, nowa praca, nowe życie.

Adam był dzielny. Przybrał niezwykle poważną minę.

- Panno Malby, kto podsunął pani pomysł, żeby ubiegać się o pracę w Happerman & Browning?

- Bardzo dobre pytanie, proszę pana - odparłam, gramoląc się do mojego niebieskiego forda escorta na siedzenie obok kierowcy, jako że Adam zgodził się służyć mi dziś za szofera, w zamian za redakcyjną pomoc przy ostatnim eseju z historii. - Czytać uwielbiam od zawsze, więc myślę, że należy zapytać, nie kto, a co mnie do tego skłoniło. Po prostu lubię książki i chcę pracować w wydawnictwie, a doskonała reputacja

Happerman & Browning sprawiła, że wybrałam właśnie tę firmę.

Adam wcisnął pod kierownicę długie nogi.

- Dobra, ujdzie, choć trochę wazelinarskie. Następne pytanie. Poleciałabyś na kogoś takiego? - Wskazał siebie. - Założmy hipotetycznie, że jestem najprzystojniejszym facetem na świecie, zatrzymujesz się obok mnie na światłach i wyglądam jak wyglądam, prowadząc ten samochód.

Jego kolana niemal wystawały nad deskę rozdzielczą. Szyję wygiął, żeby nie stukać głową o dach. Miał na sobie wyblakłą koszulę z połami na wierzchu i bermudy.

- Pytasz mnie o to za każdym razem, gdy prowadzisz mój samochód. - Westchnęłam.

- O tak - przyznał - i robię taką minę. - Wywrócił oczy i uśmiechnął się jak szaleniec z wywalonym językiem.

- Jasne - odparłam, chichocząc. - Na pewno bym poleciała. Przepadam za naćpanymi eską małolatami. Ale teraz do rzeczy, odpal wóz i jedźmy na tę rozmowę.

Adam spoważniał, spojrzał na mnie łagodnie i zasalutował.

- Tak jest, madame!

Gdy wrzucił wsteczny bieg, zapytałam od niechcenia.

- I co, odezwali się z Columbian?

Zerknął w lusterko, przygotowując się do cofania.

- Wczoraj przyszła pocztą duża koperta - odrzekł. - Więc podejrzewam, że chyba się dostałem.

Opadła mi szczeka. Doceniałam nonszalancję Adama, ale to było już śmieszne.

- Jak to podejrzewasz? Istnieje realna szansa, że dostałeś się na wydział prawa Uniwersytetu Columbia i nawet nie chce ci się otworzyć listu, żeby się dowiedzieć? - Zamilkłam i czekałam, aż odpowie. A kiedy się nie odzywał, naciskałam dalej. - Poza tym chciałabym się dowiedzieć, dlaczego mi u

licha nie powiedziałaś, sieroto. Myślałam, że mówimy sobie wszystko!

Adam wzruszył ramionami i odwrócił wzrok.

- Och, nie! - wściekałam się, dźgając go w nogę. -
Wzruszasz ramionami. Wiesz, jak tego nie cierpię.

Znów to zrobił i zagapił się w boczną szybę.

- Kolejne wzruszenie ramion? To twoja cała odpowiedź?
Adamie, jeśli chcesz się zająć muzyką, po prostu to zrób.

Odwrócił się i zamrugał, udając niewiniątko.

- Panno Malby, jakie doświadczenia przygotowały panią
do pracy w Happerman & Browning?

- Wrrr - warknęłam ze złością. Adam umiał wymigać się
od rozmowy na tematy, których chciał uniknąć. Na przykład o
tym, czy lepiej zająć się muzyką, czy zostać prawnikiem. Albo
o matce. Umarła, gdy oboje mieliśmy po dziesięć lat, ale
prawie wcale o niej nie wspominał. Czasami boję się, że
pewnego dnia ten chłopak po prostu wybuchnie. Tyle rzeczy
w sobie kisi.

- Ale, kobieto... - obruszył się. - Zostawmy mnie. Za
piętnaście minut masz rozmowę kwalifikacyjną. Powiedz mi
coś o sobie. Podaj trzy słowa opisujące twoje...

Nagle usłyszeliśmy przeraźliwy łomot i samochód
szarpnął do przodu, wpadając na krawężnik. Wrzasnęłam,
kurczowo chwytając się deski rozdzielczej, a Adam szpetnie
zaklął. Zapadła cisza. Odwróciliśmy się. Od mojego tylnego
zderzaka odklejała się stara furgonetka na tablicach z Nevady.

- Cholera! - krzyknęłam. - Cholera! Adam uniósł rękę.

- Cicho, wszystko będzie dobrze. Uspokój się... Uspokój
się! Nie jesteś chyba ranna?

Otworzył szeroko drzwi po swojej stronie.

- Nie, nie jestem, ale mój samochód jest - odparłam. - Jak
mam być spokojna?

Obszedł wóz, podszedł do mnie i zaczęliśmy oglądać strzaskany zderzak, rozbity tylny reflektor i nadwyreżone koło.

- Nie jest najgorzej - powiedział uspokajająco Adam. - Szkody pokryje ubezpieczenie tego gościa. Zaraz się tym zajmę. - Machnął lekko w stronę kierowcy ciężarówki i ruszył w jego stronę. Był spokojny i profesjonalny. I wtedy... facet odpalił silnik, wycofał samochód i wystrzelił z parkingu.

- Boże drogi! - krzyknęłam. - Co on robi?!

- Wygląda na to, że zwiewa - stwierdził Adam. Jakimś cudem, mimo zaskoczenia, udało mu się powiedzieć to niezwykle spokojnie.

- Nie możemy na to pozwolić! - Wskazałam bezradnie furgonetkę, która właśnie wtapiała się w uliczny ruch. Była już za daleko, żeby odczytać numery rejestracyjne. Dostrzegłam tylko ogromną tablicę z napisem „My Bulls Itch”.

- Ryden. - Adam podszedł i położył rękę na moim ramieniu. - Pojechał. Nie złapię go na piechotę. Zajmiemy się tym później. Teraz wsiadaj, zawiozę cię na rozmowę.

Westchnęłam żałośnie. Miał rację, nic więcej nie mogliśmy zrobić.

Wsiadłam do samochodu, przyglądałam włosy i poprawiłam szminkę, żeby poczuć się pewniej. I może wszystko skończyłoby się dobrze, gdyby Adam naprawdę mógł mnie zawieźć na rozmowę. Ale nie mógł. Szybko się przekonał, że samochód nie chciał ruszyć.

- Aaaaaaaach! - zawyłam, przyglądając się, jak Adam usiłuje uruchomić moje biedne auto.

Przekręcił kierownicą w jedną stronę, potem w drugą -

- Chyba poszła tylna opona. Może nawet oś. Masz ubezpieczenie assistance? - zapytał z nadzieją.

Zerknęłam na zegarek. Nie było czasu na odpowiedź. Właściwie nie było czasu na nic. Jeśli miałam zdążyć na rozmowę kwalifikacyjną, musiałam biec.

I tak pognałam sprintem chodnikiem w szpilkach i ołówkowej spódnicy, z życiorysem w jednej ręce i wydrukowaną mapką w drugiej. Przy okazji, jeśli kiedykolwiek będziecie chcieli, żeby gapił się na was tłum ludzi, to doskonały sposób, żeby urzeczywistnić to pragnienie.

Jakimś cudem zdążyłam na czas. Spocona i zdyszana stanęłam przy biurku recepcjonistki o dwunastej pięćdziesiąt osiem. Dwie minuty przed czasem!

Kobieta popatrzała na mnie dziwnie znad najmodniejszych czarnych okularów i zasznurowała ciemnoczerwone wargi.

- Ryden Malby? - zapytała. - Spotkanie o pierwszej z szefem kadr, Barbarą Snaff? Doskonale. Oczywiście mamy drobny poślizg... Prawdę mówiąc, jakieś dwie godziny. Może pani usiądzie? Poprosimy panią, kiedy będziemy gotowi.

Wskazała gdzieś za moje plecy. Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam dwa tuziny innych kandydatów na to stanowisko. Trzymali w dłoniach życiorysy i wystroili się w najlepsze ciuchy, zupełnie jak ja. Tyle że oni nie wyglądali, jakby właśnie ukończyli maraton i mieli zaraz zasłabnąć z braku tlenu. Gapił się na mnie w nieprzyjemny sposób. Cholera! - pomyślałam. Ale wyprostowałam się, przygładziłam potargane włosy, wytarłam spocone czoło i usiadłam między nimi.

Rozdział 5

Rozumiem, że właśnie skończyła pani studia, tak, panno Malby? - Barbara Snaff złożyła ręce pod brodą i wpatrywała się we mnie spokojnymi zielonymi oczami. W lśniącej hełmie platynowych włosów i z przebiegłą miną wyglądała na kobietę ostrą, ale zmęczoną. Jakby potrzebowała podwójnej tequili na orzeźwienie. Była już trzecia i sama z radością wypiłabym odrobinę cuervo. Ale czekałam na ten moment praktycznie całe moje życie, więc nie zamierzałam tego po sobie pokazać.

- Tak - odparłam dziarsko. - Sko...
- Specjalizacja główna? Dobra, kobitka nie traciła czasu.
- Anglistyka, z naci...
- Dodatkowa? Postaraj się.
- Och, komunik...
- Praktyki?

Zaczerpnęłam powietrza. Może jeśli będę mówić bardzo szybko, zdolałam wyrzucić cztery słowa, zanim mi przerwie.

- Odbyłam trzy staże - zaczęłam śmiało. - W Penguin, Random House i...

- Warner Books, zgadza się. Mam to w życiorysie. Jakież inne stosowne doświadczenia? - Uniosła niecierpliwie brwi.

Nerwowo przekreśliłam trzymane na kolanach dłonie. Rozmowa nie szła zgodnie z planem.

- Byłam też redaktorem uczelnianego „Daily Bulletin”, przez trzy lata prowadziłam internetowy magazyn literacki, a wcześniej, w liceum, pracowałam w wyd...

Podniosła rękę i mi przerwała.

- Liceum nas nie interesuje. Dlaczego stara się pani o tę pracę?

Słyszając to pytanie, wyprostowałam się i obdarowałam ją swoim najlepszym uśmiechem. Na to czekałam. Moja szansa.

- Bo to dla mnie coś więcej niż praca, pani Snaff. Kocham to i jestem w tym dobra. Gdy miałam jedenaście lat i byłam na letnim obozie, koledzy kąpali się w jeziorze i zdobywali odznaki w łucznictwie i ceramice, a ja siedziałam w namiocie i kończyłam Buszującego w zbożu. Gdy miałam dwanaście lat, pięć razy przeczytałam Wielkiego Gatsby'ego i pokochałam Fitzgeralda na całe liceum. Potem przyszedł czas na Listonosza Bukowskiego, najbardziej dosadną, nieprzyzwoitą lekturę, z jaką się spotkałam. Przeczytałam ją, gdy miałam czternaście lat, i to było jak lekcja wychowania seksualnego, tylko pięknie ubrana w słowa. Potem nastąpił okres T.S. Eliota, ścięłam włosy i zaczęłam postrzegać się niezwykle poważnie. Taki etap: „Starzeję się... starzeję... Pora podwinąć spodnie”. A potem był Czechow, następnie Sexton, a dalej Yates i Hemingway. Teraz zakochałam się w Alice Munro, Jonathanie Franzenie, Alice Sebold... - Przerwałam, żeby nabrać tchu. - Zmierzam do tego, że książki to wszystko, co znam i kocham. Staram się o tę pracę, bo nie wyobrażam sobie, żebym mogła robić cokolwiek innego.

Odetchnęłam głęboko, zdumiona, że pozwoliła mi mówić tak długo i nie przerywała. Powiedziałam, co pragnęłam powiedzieć.

Ale Barbara Snaff nawet się do mnie nie uśmiechnęła. Skinęła tylko krótko głową i wysunęła na pożegnanie kościstą dłoń.

- Miło było panią poznać - powiedziała. - Dziękuję za rozmowę.

Wyszłam oszołomiona z biura. Zastanawiałam się, co poszło nie tak. Rozejrzałam się po holu. Zauważyłam drogie meble, ściany wyłożone drewnianymi panelami i obwieszone nagrodami National Books Critics Circle i komitetu Pulitzera, i piękne kompozycje z kwiatów. A do tego tłum potencjalnych

redaktorów, czekających na rozmowę. Poczułam się prawie, jakbym patrzyła na znikające w dali marzenie.

- Ryden? - zapytał ktoś. - To ty?

Odwróciłam się i zobaczyłam Jessicę Bard, dziewczynę, która wygłosiła mowę pożegnalną na zakończenie studiów, prymuskę i okropną wazeliniarę. Pamiętacie tamte bułeczki? Miała staranną fryzurę i naprawdę super wyglądała w szalowej sukni od Diany von Furstenberg. Perfekcyjne połączenie mody i praktyczności.

- Jessica - wykrztusiłam, próbując ukryć zaskoczenie, nie wspominając o niezadowoleniu. - Co tu robisz?

- Wezwali mnie na rozmowę - odparła po prostu, jakby to była najzwyklejsza rzecz na świecie. - Fajną masz fryzurę. Trochę poplątana i taka swobodna, jakbyś przed chwilą wstała z łóżka.

Co wydało mi się komplementem tej samej natury, jakby powiedzieć komuś, że ma minę szympansa albo tyłek jak szafa.

- Jessico? - Barbara Snaff wysunęła głowę na korytarz.

Dziewczyna popędziła do niej z wyciągniętą ręką.

- Barbaro! - wykrzyknęła ciepło. - Jak cudownie cię widzieć.

Zmarszczyłam brwi. Są po imieniu? Ja byłam „panną Malby”. Stałam tam, obserwując, jak te dwie szczerzą do siebie zęby, i nagle sprawdziły się moje najgorsze przeczucia.

- Dziekan Brunswick dzwonił w twojej sprawie - powiedziała Barbara Snaff. - Tak się cieszę, że udało się zmieścić cię...

Odwróciły się i pomaszerowały korytarzem jak najlepsze przyjaciółki. Cholera! - pomyślałam po raz trzeci tego dnia.

Oczywiście powinnam się spodziewać, że spotkam tu Jessicę. W końcu też robiła specjalizację z anglistyki i była prawdziwym mołem książkowym. Ale to takie

niesprawiedliwe! Cztery lata byłam we wszystkim druga, za nią, i teraz miało być dokładnie tak samo. Jeśli pójdzie jej dobrze w Happermanie - a jej zawsze wszystko szło dobrze - wtedy to ona odkryje następną Wielką Amerykańską Powieść. Bez wątpienia to ona poślubi też Jonathana Micaha Millera. Będą wiedli wypełnione literaturą, inteligentne życie gdzieś w twórczym odosobnieniu w Topanga i przez resztę życia będzie mu piekła te swoje głupie bułeczki.

Zjeżdżając windą, skrzyżowałam palce, życząc jej z całego serca, żeby gdzieś, z jakiejś półki spadł stos rękopisów i rozbił jej głowę.

Rozdział 6

Niestety, widok Jessiki Bard kradnącej mi sprzed nosa moją wymarzoną pracę, nie był ostatnim upokorzeniem, które czekało mnie tego dnia. Gdy poszłam do pięknego mieszkania, mając nadzieję otrzymać od właściciela klucze, zastałam go oczekującego mnie z gniewną miną na opalonej, łykowatej twarzy.

- Happerman & Browning? - zapytał, drapiąc się w policzek, brązowy i błyszczący jak skórzany but. - Zabawne, ale powiedzieli, że żadna Ryden Malby tam nie pracuje.

A więc stało się. Moja wymarzona praca i wymarzone mieszkanie, wszystko rozwiało się jak mgła w ten pogodny, czerwcowy dzień. Cholera! Ten zwrot staje się mottem mojego życia.

- Hej, kłapouszku - zagadnął Adam, przywołując mnie do rzeczywistości. - Skąd ta smężna mina?

- Wiesz skąd, głupolu. - Ułożyłam się w leżaku, który wyciągnęliśmy z półki na tyłach Valley Discount Foods, sklepu spożywczego należącego do taty Adama. Adam śmigał po alejkach działu mrożonek w zmotoryzowanym wózku. Takim, które kochają babcie robiące zakupy. Wszystkie, poza moją. Moja babcia wybierała się na zakupy w butach na obcasach. A laskę niosła tylko po to, żeby w razie czego wygrażać nią gburowatym sprzedawcom.

- Masz, napij się jeszcze. - Adam wyjął z koszyka dwulitrową pepsi i napełnił nią plastikowy kubek. Potem rzucił na podłogę u moich stóp torbę chipsów, pudełko ciastek, dwie torby cukierków i wielką butelkę turns. - Wybierz coś sobie - powiedział. - Jesteś w krainie obfitości, dziecino. Korzystaj.

- Na pewno twój tata nie będzie miał nic przeciw temu? - zapytałam, łapiąc żółte podobne do kukurydzy cukierki.

Adam prychnął i zrobił wózkiem kółko.

- Jasne, że będzie. Ale on ciągle robi coś, co mnie wkurza, więc chyba jestem mu coś winny. - Po czym zeskoczył z wózka, pochylił się i wyjął z pokrowca gitarę. Wspomniałam już, że Adam prawie nigdzie nie rusza się bez gitary? Leniwie zabrzdąknął kilka akordów.

Niewątpliwie od czasów naszego dzieciństwa zrobił postępy. Często chodziłam go posłuchać do studenckiej kafejki w kampusie. Siadałam i odrabiałam prace domowe, gdy panienki z pierwszego roku śliniły się i omdlewały, marząc, żeby zadedykował im utwór. Chodziłam tam, kiedy występował solo - tylko on, gitara i, czasem, harmonijka ustna. Jego zespół, Captain Corduroy, był za głośny, żeby przy ich muzyce odrabiać lekcje. Gdy grali, po prostu trzeba było wstać i tańczyć.

- Dylan? - zapytałam.

- Tangled up in blue - potwierdził Adam i grał dalej. Ale nie śpiewał, tylko ze mną rozmawiał. - Widocznie praca w Happerman & Browning po prostu nie była ci pisana. Pewnie wyjdzie ci to na dobre. Jest tyle innych rzeczy, które możesz robić. Żadna zrzędliva stara kadrowa o nudnym nazwisku cię nie powstrzyma.

- Jasne - powiedziałam, upijając spory haust pepsa. - Da się przeżyć. Co z tego, że nie wyszło tak, jak planowałam? Na co komu doskonałość? Doskonałość to nuda, prawda? - Próbowałam przekonać siebie. - Dostanę inną pracę. Zrobiłam testy zawodowe. Jestem graczem zespołowym. Dali mi wskazówki i...

Adam się roześmiał.

- Czy ty nigdy nie odpuszczasz? - Podszedł do zamrażarki, wyciągnął opakowanie eskimo pie i rzucił we mnie lodami. Nie trafił. Mówiłam, że rzuca gorzej od dziewczyn.

Złapałam opakowanie i odrzuciłam.

- Nie, dzięki.

Adam popatrzał na mnie niedowierzająco.

- Nie, dzięki? Nie chcesz eskimo pie?

- Na to wygląda - odparłam.

- A kiedykolwiek ich próbowałaś? Pokręciłam głową.

- W takim razie najwyraźniej nie masz pojęcia o jedynych w swoim rodzaju zaletach eskimo pie - zawyrokował Adam, unosząc opakowanie. - Wiesz, że każde zło i beznadzieję świata można zaleczyć gryzem eskimo pie? Tylko dlatego wszechświat utrzymuje się jeszcze w jakiej takiej równowadze i nie wybuchł supernową złej karmy czy czymś takim. - Podsunął mi pod nos mrożoną kurację.

- Czy tobie ktoś kiedyś odmówił? - zapytałam, biorąc od niego lody.

- Ty - powiedział, patrząc na mnie uważnie. - Cały czas.

Patrzył, jak odgryzam kawałek eskimo pie. Speszyło mnie to, a to uczucie, którego bardzo rzadko doświadczam w towarzystwie Adama, dlatego właśnie jest moim najlepszym przyjacielem. Ale patrzył na mnie tak - czy ja wiem - jakoś tak trochę zabawnie. Jakby chciał być tymi lodami. Nie bądź śmieszna, powiedziałam sobie. To Adam, nie jakiś napalony podrywacz.

- Uch, pyszne - powiedziałam. Musiałam przyznać, że lody były całkiem, całkiem.

Pokręcił głową.

- Tylko tyle?

Trochę po to, żeby wykazać się dowcipem, a trochę, żeby rozładować atmosferę, zaczęłam się wygłupiać.

- Ooch! - zajęczałam, oblizując wargi. - Mmm... Och, tak! Tak! Fantastyczne. Ekstatyczne. Tańcząca na języku tęcza. Nektar i ambrozja z nasłonecznionych stoków Olimpu. Jakby Bóg stworzył w moich ustach wszechświat.

Adam się zaśmiał.

- No tak, zakochałem się w dziewczynie... - przerwał i wyrzucił w górę ręce - a ona żywi do mnie tylko platoniczne uczucia.

Rzuciłam w niego opakowaniem po eskimo pie. Nigdy nie brałam go poważnie, gdy wygadywał takie rzeczy. W końcu znamy się piętnaście lat. Dorastaliśmy razem, bawiąc się w wojnę i budując w mojej piwnicy forty. Urządzaliśmy konkursy plucia i zdarzało się, że zakładaliśmy się, kto z nas zje robala. Raz nawet zapłaciłam mu dolara za zjedzenie pajaka. Jak ktoś, kto zna mnie od zawsze - między innymi na etapie różowej szminki i trwałej ondulacji - mógłby czuć do mnie coś poza lojalnością i braterską sympatią?

Wyciągnęłam nogę i szturchnęłam go lekko palcami stopy.

- Głuptas - powiedziałam.

Chwycił moją stopę. Ale zamiast ją odepchnąć, zdjął but i zaczął ją masować.

- Rety - powiedział - masz lodowate stopy. Na dworze trzydziestostopniowy upał, a są zimne, jakbyś całą noc trzymała je w zamrażarce.

- W końcu jesteśmy w dziale mrozonek. Ale zawsze są lodowate. Mam krążenie osiemdziesięcioletniej staruszki.

- Więc domyślałam się, że wolałabyś raczej być flamingiem niż pingwinem - powiedział. - Pasujesz do cieplejszego klimatu.

- Zdecydowanie. I lubię różowy kolor. Poza tym, od czasu Marszu pingwinów tym ptaszydłom poprzewracało się w głowach. Za agentów chcą mieć hollywoodzkie szychy i jadać w Ivy. I domagają się kry w hotelowych basenach.

Adam się roześmiał. Oparł na kolanie moją drugą stopę i zaczął ją rozcierać. Westchnęłam i wygodnie ułożyłam się w leżaku.

- Przyjemnie, co? - zapytał. - Ale zanim całkiem się mi rozkrochmalisz, nie zapominaj, że już ani odrobinę mnie nie pociągasz. Żeby przypadkiem niewinne rozcieranie stóp nie uderzyło ci do głowy. Nic z tych rzeczy.

Prawie go nie słuchałam. Jego kciuki wciskały się w moje podbicie, palce masowały kostki. Było bardzo, ale to bardzo przyjemnie.

- Ale mi dobrze! - jęczałam. - Ale dobrze. - Tym razem wcale nie wyolbrzymiałam. Nie, żeby eskimo pie nie były pyszne. Okazały się bardzo czekoladowe, śmietankowe, lodowe i wspaniałe. Ale gdzie im do masażu stóp.

Po chwili poczułam, że jego dłonie suną odrobinę w górę, muskają łydki i pną się wyżej. Zastygłam, niepewna jak zareagować. Do czego on zmierzał?

I wtedy z zaplecza sklepu dobiegł wysoki, przenikliwy chichot. Otworzyłam oczy i podniosłam się z walącym sercem. Adam przytknął palec do warg, po czym przeszedł na palcach do zamrażarki. Wyjął pęto zmrożonej kiełbasy, pewnie chciał użyć jej jako broni. Zasłoniłam się torbą chipsów jak tarczą. Adam zaczął się skradać sklepową alejką. Tętno podskoczyło mi gwałtownie.

Na końcu sklepu, obok dużego regału z doritos, pojawiły się dwie przygarbione postacie. Zbliżały się, chichocząc i szarpiąc na sobie ubranie. I mogłabym przysiąc, że nawet ze swojego leżaka poczułam od nich zapach alkoholu. Wtedy usłyszałam zdziwione sapnięcie Adama,

- Tata?

Pan Davies odkleił się od bujnych, prawie nagich piersi towarzyszki. Rozdziawił usta.

- Juanita? - zapytał Adam, tym razem głośniej. - Rety, ledwie cię rozpoznałem, kiedy nie stoisz za kasą.

Juanita, ładna pulchna dziewczyna dwa razy młodsza od pana Daviesa, wbiła speszona wzrok w ziemię.

- Cześć Adamie - odparła cicho. - Miło cię widzieć.

Roy Davies oparł ręce na biodrach.

- Co ty, u diabła, tu robisz?

Nie było to rozsądne pytanie, zważywszy, że Adam wciąż był wściekły na ojca za to, że w zeszłym tygodniu nie przyszedł na ceremonię ukończenia studiów. Nie wspominając o tym, że co nieco wypił, co zwykle wprawiało go w wojowniczy nastrój.

- Zabawne - odparł ojcu. - Właśnie zamierzałem spytać cię o to samo.

- To mój sklep - zaczął pan Davies. - Mam klucze i prawo...

Zorientowałam się, że to starcie do niczego dobrego nie prowadzi. Złapałam Adama za ramię.

- Chodź, idziemy. Przepraszamy, panie Davies.

- Ale tato, naprawdę miło cię widzieć - stwierdził złośliwie Adam. - Ostatnio w ogóle nie bywasz w domu. Więc fajnie było wpaść na ciebie i przyjaciółeczkę. Nic do ciebie nie mam, Juanito. Chyba miła z ciebie dziewczyna. To ojciec jest bałwanem. Powiedział ci, że nie raczył się zjawić na ceremonii zakończenia studiów? Może byliście na pikniku czy może gdzie indziej?

Juanita pokręciła głową; wytrzeszczyła przestraszone oczy. Pan Davies podszedł do syna z wyciągniętą w geście przeprosin ręką.

- Przecież wiesz, że chciałem przyjść, ale Albert i Rodrigo się rozchorowali. Obaj naraz! Co miałem zrobić, zamknąć sklep? Gdzie pani Alvarez kupiłaby swoje frijoles negros? A Jimmy Valentine zdrapki? Zresztą... nie chcę teraz o tym rozmawiać.

Adam roześmiał się smutno.

- Jasne, że nie. Później też nie będziesz chciał. Znam to. Bawcie się dobrze.

- Chodź, Adamie - wysyczałam, szarpiąc go za rękaw. - Spadajmy.

Pozwolił mi się odciągnąć, ale jeszcze nie miał dosyć. Odwrócił się i krzyknął przez ramię.

- Hej, Juanito, jeśli nie zaliczy ci nadgodzin, dasz się wyrolować. Na wszystkie strony, jeśli wiesz, co mam na myśli. Zaskarż go do związku zawodowego. Masz prawa!

Dopiero teraz wyciągnęłam go na dwór. W alejce działu mrożonek zostawiliśmy bałagan i miałam małe wyrzuty sumienia. Ale przecież - powiedziałam sobie - nasz piknik mogą dokończyć pan Davies i Juanita. W końcu chipsy i cukierki najlepiej smakują po pijaku.

Pożałowałam tylko, że zjadłam całe eskimo pie, bo widząc, jak Adam maszeruje przez parking, gotując się ze złości na ojca, pomyślałam, że by się przydały.

Rozdział 7

Oczywiście, eskimo pie, mrożony poprawiacz humoru, ma swoje ograniczenia. Przyjemność na pewno nie była tak wielka, żebym przetrwała następny dzień. Stałam przed koniecznością załadowania mojego życiowego dobytku na wynajętą furgonetkę i przewiezienia go po marnych i zakorkowanych drogach Los Angeles. I to bynajmniej nie do mojego pięknego nowego apartamentu, ale do stylizowanego na ranczo oliwkowego domu rodziców w San Fernando Valley.

Jakby tego nie było dość, ojciec jechał za nami zakurczonym chevroletem suburban, ciągnąc zwłoki mojego biednego pokiereszowanego wozu. Gdy skręciliśmy w Palm Drive, odniosłam wrażenie, że szerokie zielone ulice mojej dzielnicy drwią ze mnie, a czerwcowe słońce jest wyjątkowo bezlitosne.

- Wszystko będzie dobrze - pocieszał mnie Adam. Uśmiechał się do mnie z drugiego końca siedzenia rozgruchotanej ciężarówki. - To tylko drobna komplikacja.

Nadal możesz realizować Plan. - Sięgnął dłonią do kieszeni drzwi i wyciągnął paskudny pomarańczowy lizak zostawiony przez poprzednich klientów. — Popatrz! - powiedział wesoło. - Mamy coś słodkiego! - Udał, że go liże.

Przewróciłam oczyma.

- Jesteś odrażający - jęknęłam.

Matka czekała na nas na podjeździe, z wypisanym na twarzy współczuciem.

- Możesz zostać, jak długo zechcesz, kochanie - stwierdziła, porywając mnie w pachnący Anais uścisk. Pewnie będzie perfumowała się nimi do końca swoich dni, bo na wyprzedaży kupiła za jedną trzecią ceny cały zapas i zostały jej tego hektolitry. - Nic się nie martw.

Rozdrażniona strząsnęłam z siebie jej ramiona.

- Jak długo zechcę? Wcale nie chcę. Uwierz mi, gdybym miała jakieś inne wyjście...

Podszedł do nas Adam. Podłożył palec pod moją brodę i uniósł mi głowę, jakby chciał powiedzieć: „Głowa do góry, harcerzu!” Pacnęłam go w dłoń.

- Daję słowo, mamó, że to nie potrwa długo. Podniosła wzrok i spod przymrużonych powiek popatrzyła na ojca.

- Walter, kochanie - zawołała - potrzebujesz pomocy?

Odwróciłam się i zobaczyłam, że tata mociuje się, żeby zdjąć z holu mój samochód. Towarzyszyły temu przekleństwa, ale przynajmniej ciche. Na razie. Podeszłam i klepnęłam go w ramię.

- Co robisz? Trzeba go ściągnąć do warsztatu.

Zignorował mnie i z twarzą czerwoną z wysiłku znowu zaatakował hak holowniczy. Nawet już nie chce mi się wspominać, że kierunek rozłączania miał wyrysowany na tabliczce tuż przed nosem. Był facetem typu „sam do tego dojdę”, co można uznać za godne podziwu, ale też niezwykle nieefektywne.

Ostatecznie udało mu się rozdzielić samochody, po czym otworzył maskę escorta i zaczął gapić się w jego bebechy, marszcząc intensywnie brwi. Po kilku minutach kontemplacji i drapania się w głowę odszedł na bok, stuknął w przednią szybę, dotknął potłuczonego tylnego reflektora i kopnął po kolei w każdą oponę.

- Hej - powiedziałam, wyciągając spod wycieraczki zabłąkany liść - to jakiś prymitywny test diagnostyczny, czy co? Tato, od tego są fachowcy. Z komputerami itp. - I umiejętnościami, pomyślałam. Tego akurat nie chciałam mówić.

Ale tata się nie odzywał i dalej przeprowadzał inspekcję wozu. Dotarła do mnie straszliwa prawda. Otóż od zawsze

uważał się za mistrza majsterkowiczów, choć dowody temu przeczyły.

- Och, nie - błagałam, próbując odciągnąć go od samochodu. - Och, nie! Nie! Nawet nie myśl, że będziesz sam go naprawiać.

Chrząknął. Opuścił dłoń, żeby dla odmiany podrapać się w zamyśleniu po brodzie. Zdaje się, że jednak chciał go naprawiać sam.

- Tato! - ostrzegłam. - Nie, nie pozwalam. Naprawdę potrzebuję tego samochodu.

W końcu odwrócił się do mnie z urażoną miną.

- Może tak trochę wiary w moje zdolności, he? Rozłożyłam ręce, bezsilna w obliczu jego determinacji.

- Ale jeszcze nigdy nie naprawiałeś samochodu! - przypomniałam. - Nie umiesz! Pamiętasz, jak próbowałeś naprawić kosiarkę do trawy i potem jeździła tylko do tyłu? Nie mogę jeździć tyłem po Los Angeles, tato. Nic z tego. Nie pozwalam.

- Już dobrze, dobrze - powiedział, poklepując mnie po głowie, jakbym była w wieku Huntera. - Był też taki okres w moim życiu, gdy nie wiedziałem co to kopnięcie okrężne w szyję. A teraz ćwiczę je co środę i, wierz mi lub nie, jestem w tym bardzo dobry. - Kopnął tylną oponę mojego wozu i skrzywił się z bólu. Ale szybko odzyskał rezon. - Ryden, mózg twojego ojca jest chłonny jak gąbka. Pochłania wiedzę jak plankton. Nie powstrzymasz kanonady moich synaps. Bum, bum! Pach, pach! - Zamachał ramionami wokół głowy, ilustrując ten proces.

Powlokłam się przybita w stronę domu. Po drodze napatoczył mi się młodszy brat. Biegł, ściskając kurczowo lepkimi łapkami ulotkę. Prawie mnie nie zauważył, tak był pochłonięty misją.

- Tato, tato! - zawołał. - Zbudujemy samochodzik? Zbudujemy?

- Nie teraz - odparł tata, opuszczając maskę escorta. - Musimy pomóc rozpakować się twojej siostrze. Bo może zauważyłaś, że nie przeprowadza się do tego ślicznego mieszkanka, o którym tyle gadała. Adam, złap za drugi koniec tego niebieskiego, możesz?

Adam zasalutował.

- Gotowy do akcji, sir - zameldował, ruszając w stronę niebieskiej toaletki, którą dostałam, gdy miałam pięć lat. Przez cztery lata towarzyszyła mi w akademiku i myślałam, że stamtąd przeniesie się ze mną do mojego dorosłego mieszkania. Teraz wróciła na stare śmieci. Tak jak ja.

Hunter nie dawał się tak łatwo spławić.

- Proszę! Proszę! Bardzo, bardzo proszę! W przyszłym miesiącu będą wyścigi.

- Nie mów, bardzo, bardzo proszę, Hunter - obruszył się ojciec. - Brzmisz jak pedał.

- Tato! Nie używaj tego słowa! - krzyknęłam. Próbowałam, i to tyle razy, wyjaśnić mu pojęcie politycznej poprawności, ale wydawało się, że nie potrafi go sobie przyswoić.

Hunter stał z zawiedzioną miną, patrząc, jak tata siłuje się z końcem toaletki. Adam, jak zauważyłam, podniósł drugi bez problemu. Zastanawiałam się, jak się wymigać od pomocy. W końcu na ciężarówkę ładowałam wszystko ja. Chyba może wyładować ją ktoś inny?

- Tata zaraz ci pomoże - uspokoiłam Huntera. - Teraz jest tylko trochę zajęty.

Ojciec, dysząc i pocąc się, ruszył z meblem. Ponieważ szedł tyłem, nie zauważył kota sąsiadów, który właśnie postanowił załatwić grubszą potrzebę fizjologiczną na samym środku drogi.

- Hej! - zawołałam. Ale było za późno. But ojca z głośnym plaśnięciem wylądował w samym środku kupy. To kara za tego pedała, pomyślałam.

- Jasna cholera! - wrzasnął ojciec. Kot zniknął na podwórku sąsiada. Z hukiem postawił mebel. - Ten cholerny zwierzak znów to zrobił! - Wytarł but o asfalt, zostawiając długą, brązową smugę.

- Tato, to się zmyje, żaden problem - powiedziałam. - Idę po wąż. - Uznałam, że łatwiej zmyć kocią kupę, niż rozładowywać pudła. Mogłam się poświęcić, chociaż kupa była dość okazała.

- Nie, dosyć tego! Tego już za wiele! - wrzeszczał ojciec. - To ostatnie gówno tego kota na moim terenie! - Ściągnął rękawice i wściekły pognał przez trawnik do sąsiada.

- Zostańcie tutaj - poinstruowałam Huntera i Adama, wyraźnie zaciekawionych zbliżającą się awanturą. - Publiczność to ostatnie, czego mu teraz trzeba. Tylko się bardziej nakręci. - Popędziłam za ojcem, modląc się, żeby nie rozpętał piekła. - Tato! - wołałam. - Proszę, uspokój się. Zostaw tego biedaka. - Biedaka, który nie ma pojęcia, że wprowadził się w sąsiedztwo wariatów, pomyślałam.

- Hej tam, koleżko! - krzyknął mój ojciec w otwarte drzwi obite siatką przeciw owadom.

- Przecież to żaden twój kolega - powiedziałam, stając za nim. Dotknęłam jednej z muszelek, zwisających na niteczkach z krokwi ganku. Zadźwięczała lekko, jak dzwoneczek.

Tata stał z zaciśniętymi pięściami, czekając, aż ktoś pojawi się w drzwiach. Doczekał się... i wstrzymałam oddech.

Nasz nowy sąsiad był na oko zaraz po trzydziestce. Miał czarne włosy i ciemne, wesołe oczy. Spod na wpół rozchylonego szlafroka wyglądała muskularna klatka piersiowa, opalona i gładka. Przeniósł wzrok ze zdenerwowanego ojca na mnie i się uśmiechnął. Rzucił mi

taki powolny, seksowny uśmiech, od którego zakręciło mi się w głowie.

- Cześć - powiedział i utkwił spojrzenie w moich oczach. Po czym wyszedł z domu i wyszarpnął gazetę ze skrzynki pocztowej. Poczułam zapach mydła Ivory, kremu do golenia i ciepłej, męskiej skóry. - Mam na imię David.

- Cześć! - Nagle poczułam się bardzo nieśmiała. - A ja Ryden. Podobają mi się twoje dzwoneczki wietrzne - dodałam głupio.

Tata wyciągnął rękę.

- Hm, przepraszam, że przeszkadzam, ale to już trzeci raz, kiedy pański kot zapaskudził mój podjazd.

- Tak mi przykro - zatroskał się David z gardłowym, cudownie hiszpańskim akcentem. - To się nie powtórzy. - Znow się do mnie uśmiechnął, jakby chciał powiedzieć „Zabiorę cię na randkę” albo „Ciekawe, jak wyglądasz nago?”, po czym cofnął się do domu. Chciał - przed nosem ojca - zamknąć drzwi, więc próbowałam zapuścić żurawia do środka. Czy mi się wydaje, czy w holu stoi półnaga blondynka? A te dźwięki dobiegające o dziesiątej rano z jego stereo to chyba pierwsze takty Lets get it on? Kim był ten latynoski Lothario i gdzie się podziewał za moich licealnych czasów, gdy bez pamięci durzyłam się w Marku Consuelosie? I w Gabrieli Garcii Marquezie, należy dodać, choć pociąg do tego ostatniego był czysto intelektualnej natury.

Gdy drzwi się zamknęły, tata pochylił się lekko i wrzasnął:

- Pretensjonalny argentyński dupek!

- Brazylijski! - odkrzyknął pogodnie nasz sąsiad.

To przepełniło czarę goryczy ojca. Przysięgam, że zaczął warczeć. - Ty! - zawołał.

Szarpnęłam go z całej siły za koszulę.

- Wracajmy do domu. Proszę!

Tata podniósł pięść na nieustępliwe drzwi.

- Przysięgam na Boga, że jeśli jeszcze raz ten kot napaskudzi na moim podjeździe, to zamorduję skurczysyna. Rozjadę zapchlonego łajdaka, jak babcię Kocham!

W końcu zdołałam ściągnąć ojca z ganku. Strząsnął moje ręce, wygładził koszulę i wytarł o trawnik sąsiada resztki kociego gówna. Potem podszedł do Adama, który, nieco wstrząśnięty, wciąż stał obok toaletki.

- Możemy przenieść ten mebel? - zapytał.

- Tak, ale Hunter się zmył - odparł Adam. - Nie ma co liczyć, że pomoże przenieść lżejsze kartony.

Westchnęłam. Biedny Hunter i jego wyścig. Pewnie zamknął się w swoim pokoju i liże rany po tym, jak ojciec sprawił mu zawód po raz kolejny. Nie sugeruję tu, że tata zawsze był dla niego niedobry ani nic podobnego. Łatwo wpadał w złość, to prawda. Wystarczy spojrzeć, jak zachował się w stosunku do Davida. Ale rozumiałam, dlaczego ojciec miał czasami trochę dość swego syna. Hunter świetnie wiedział, jak doprowadzić go do furii, i robił to z lubością. Parę dni temu odmówił chodzenia i upierał się, żeby go wszędzie nosić, nawet z salonu do łazienki. Jasne, że wymyślił to po to, żeby zdenerwować tatę. I, jak można było się spodziewać, udało mu się. Jeszcze przed południem ojciec zabronił mamie, żeby go nosiła, i oznajmił, że jeśli Hunter nie chce iść do łazienki, jego sprawa, niech robi w majtki.

- Zamierzasz w końcu podnieść tę toaletkę? - zapytał teraz Adam, wskazując na mebel. - Rusz się człowieku!

Tak przebiegło całe popołudnie. Adam pomagał, tata krzyczał i przeklinał, a ja - w przewie między kolejnymi kartonami - rozmyślałam o nowym sąsiedzie.

Rozdział 8

Oznajmiając, że mogę zostać, jak długo będę chciała, mama zapomniała dodać, że tata - w napadzie nietypowego optymizmu związanego z moimi życiowymi planami - przejął moją sypialnię i zapakował ją rupieciami zbieranymi przez minione dwie dekady. Dlatego w pokoju, który kiedyś nazywałam swoim, stały teraz trzy pudła starych podkładek pod kufle, dwie zabytkowe maszyny do prażenia kukurydzy, które ojciec zamierzał naprawić, a które nappełniały pokój nieapetycznym zapachem starego oleju i zatechłego kina; brudne akwarium z ledwie żywym złocistym karasiem w środku; kilka na pół wykończonych modeli samolotów i setki małych figurek średniowiecznych rycerzy ściskających w maleńkich, barbarzyńskich rączkach dzidy i kusze. W rzeczywistości rupieci było znacznie więcej, ale daruję sobie wyliczanie.

Dodajcie do tego cały dobytek, jaki przywiozłam z akademika, i recepta na zespół stresu absolwentki gotowa. Od tygodnia byłam bezrobotna, i wystarczy. Więcej spania i odcinków wznowionego Top chef nie strawię. Ani walki o łazienkę z Hunterem, który jak na siedmiolatka, bardzo dbał o wygląd. Choć może nikt by się nie zorientował, bo cokolwiek wyczyniał w łazience, najwyraźniej nie szło mu to najlepiej.

Stałam przed swoim starym lustrem w różowych ramkach - przydałoby się podciąć tę kasztanową grzywkę - wytrzymałam własne spojrzenie i wyszeptałam:

- Dostanę pracę, dostanę pracę. Naprawdę, na pewno dostanę pracę.

Zrobiłam sobie w kuchni filiżankę herbaty i rozłożyłam na stole gazetę z ogłoszeniami. Metoda bez wątpienia staromodna, ale byłam zdecydowana spróbować wszystkiego. Z długopisem w dłoni i nadzieją w sercu zabrałam się do czytania. Od razu uderzył mnie fakt, że gdybym była kierownicą

ciężarówce z prawem jazdy CDL, cokolwiek to znaczyło, mogłabym przebierać w ofertach. Gdybym chciała spróbować sił w telemarketingu, też nie brakowało okazji. Podobnie z fakturowaniem usług medycznych oraz pielęgniarstwem domowym. Ale nie po to kończyłam anglistykę, żeby podcierać tyłki staruszkom, prawda? Poza tym, gdybym chciała się spełnić w tej roli, mogłam to robić w domu. Co nie znaczy, że chciałam albo żeby babcia mi pozwoliła. Wciąż potrafiła sama się sobą zająć, dzięki Bogu.

Gdy przeglądałam gazetę, przy drugim krańcu stołu usiadł mój brat. Odgrywał jakąś zażartą bitwę między dwoma plastikowymi figurkami.

- Pach! - zawołał, wciskając widły jednego plastikowego facecika w brzuch drugiego. - Masz, frajerze! Myślisz, że jesteś twardzielem? Zaraz wydlubię ci oczy i nasikam do mózgu!

Natychmiast wpadła matka, jak jakieś ufryzowane, wyperfumowane drapieżne ptaszysko.

- Chryste, Hunter - rzuciła, wydzierając mu z palców zabawki. - Uważaj na język. Siedzisz przy stole.

- Ale już zjadłem - zauważył dość inteligentnie chłopak. - Sama właśnie powiedziałaś „Chryste”.

- Nie zjadłeś - zaprotestowała matka, wskazując na podgrzaną w kuchence mikrofalowej grzanekę z jajkiem i kielbasą. - Widzę tu jeszcze co najmniej sześć kęsów. A „Chryste” to nie przekleństwo.

Hunter nie raczył odpowiedzieć. Zamiast tego porwał solniczkę i pieprzniczkę i wciągnął je do bitwy. Gdy solniczka pobiła pieprzniczkę, wróciłam do swoich ogłoszeń.

Mama zapakowała Hunterowi lunch, ubrała go (koszula na lewą stronę, ale w końcu jaki to problem?) i odwiozła do szkoły. Potem przez kuchnię przepłynął tata w drodze na swój menedżerski stołek w Świecie Walizek i babcia, która

wybierała się do fryzjera, bo uznała, że jej włosy straciły pożądany odcień. Jako że wszyscy się ewakuowali, miałam chwilę spokoju. Byłam jedyną osobą, która nie miała dokąd pójść.

Zrobiłam sobie kolejną filiżankę herbaty i rozważyłam możliwości. Jedno było pewne, nie czekały na mnie tuziny wydawnictw polujące na nowych redaktorów.

Ale po kilku godzinach ślęczenia nad gazetą i w sieci, znalazłam parę stanowisk, na które mogłam aplikować. Może nie klasy Happerman & Browning, ale przynajmniej nie był to telemarketing. Szybciutko przeczytałam jeszcze raz swój życiorys, po czym zadzwoniłam do Adama po odrobinę otuchy.

- Ktoś obiecał, że od razu ma się to, czego się pragnie? - zapytałam. - Tak byłoby za łatwo. To pouczające doświadczenie, prawda?

- Mmm... - odparł nieprzytomnie Adam. Słyszałam, że czymś jest zajęty - pewnie jakimś instrumentem. Miał prawie wszystkie możliwe, od prostej gitary, perkusji i basu do ksylofonów, cytr, mandolin, harmonijek ustnych i syntezatorów. Jedyne, od czego się odżegnywał to aborygeńska tuba, bo jego zdaniem grali na niej tylko neoaborygeńscy pozerzy.

- Słuchasz mnie w ogóle? - zapytałam, bazgrząc „Zatrudnijcie mnie, zatrudnijcie mnie” na marginesie gazety. - Szukam u ciebie wsparcia. Prawda, że będzie dobrze? I że takie doświadczenie rozwija? Zgodnie z tym nietzscheańskim „Co cię nie zabije, to cię wzmocni”? - Czekałam niecierpliwie, żeby Adam skończył się zabawiać, czymkolwiek się bawił, i w końcu zauważył, że zadałam mu pytanie.

- Oczywiście, że to pouczające doświadczenie, dokładnie jak mówisz - stwierdził, po czym znów zamilkł.

Położyłam stopy na kuchennym stole, czego nie ośmieliłabym się zrobić, gdyby w domu była matka. Nie tolerowała nóg na stołach.

- Studiujesz utwór Van Halena, czy co? - zapytałam. - Bo jeśli jesteś zbyt zajęty, żeby teraz poprawić mi nastrój, to mogę zadzwonić później - zaproponowałam, choć wcale tak nie myślałam. Bo chciałam, żeby teraz poprawił mi nastrój.

W tle słyszałam ciche arpedzio na keyboardzie.

- No co ty! - prychnął. - Van Halena? Nie wydaje mi się. Prędzej Bowiego. Oczywiście Ryden, że to cię czegoś nauczy. Sama przecież wiesz. Wolałabyś być małpą czy leniwcem? Małpa musi harować, na przykład u katarzyniarza, a leniwiec tylko się leni. Ale kto pod koniec dnia jest szczęśliwszy? Ten, kto za dobrą robotę dostał wór orzeszków, czy ten, kto co najwyżej przewrócił się z boku na bok?

Roześmiałam się.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - stwierdziłam, idąc do salonu i włączając telewizor.

- Mówię, że jesteś wspaniałym pracownikiem. I że na pewno znajdziesz coś odpowiedniego, masz moje słowo.

- Więc nie jestem leniwcem? - Zmieniłam kanał na show Marthy Stewart, kobiety z takim wigorem, że przy niej nawet krasnoludki wypadają jak leniwece.

- Nie, na pewno nie jesteś leniwcem.

- Dzięki, Adamie - powiedziałam i przełączyłam na program Top chef. Jury usiłowało zdecydować, który z aspirujących do tytułu kucharzy lepiej przyrządził coś owijanego bekonem. - Poprawiłeś mi nastrój. - Dla porządku, głosowałabym na figi w bekonie. Danie może nie oryginalne, ale jakie pyszne.

- Poprawianie ci nastroju to najważniejszy cel w moim życiu - powiedział, po czym brzdąknął kilka taktów z So long, farewell. - I się rozłączył.

Położyłam się na kanapie i złapałam z półki czytane przez mamę „Better Homes & Gardens”. Kartkując strony i prawie nie zwracając uwagi na przepisy na niskokaloryczne desery i porady, jak udekorować łazienkę, myślałam, jakim szczęściarzem jest Adam. Nawet nie chciało mu się otworzyć koperty, ale byłam przeświadczona, że dostał się na Uniwersytet Columbia. I chociaż nie był pewien, czy naprawdę chce studiować prawo, przynajmniej miał wybór. Jego przyszłość nie była niepewna. A ponieważ, w przeciwieństwie do mnie, był spokojny i zdrowy psychicznie - też jestem zdrowa psychicznie, albo przynajmniej zdrowsza niż reszta rodziny, ale zwykle nie można o mnie powiedzieć, że jestem spokojna - cierpliwie poczeka na odpowiedni moment, żeby zdecydować, co chce robić.

Zawsze miał w sobie tę cierpliwość, nawet jako mały chłopiec. Był jedynym znanym mi dzieciakiem, który nie zżerał całej torby haloweenowych słodczy w jedną żarłoczną noc. Był wstrząśnięty faktem, że zaglądam do bożonarodzeniowych prezentów w tej samej chwili, gdy tylko znalazły się pod drzewkiem. I zawsze odczekiwał pełne trzydzieści minut nim po jedzeniu wskoczył do basenu kąpielowego. Cierpliwość pomagała mu we wszystkim, od unikania skurczów żołądka, przed czym przestrzegali nas ratownicy, do nauki gry na gitarze, gdy ojciec odmówił płacenia za lekcje, o których Adam tak bardzo marzył. Po prostu poszedł do biblioteki, wypożyczył składanki nut i książki na temat techniki gry i zanim skończył trzynaście lat, umiał grać wszystkie utwory Johnny'ego Casha. Przed czternastką poznał większość kawałków Neila Younga, a w wieku lat piętnastu umiał zagrać wszystko od Black Flag do Sonic Youth.

Miał szesnaście lat, gdy i mnie próbował nauczyć grać, bo wpadłam na pomysł, żeby założyć zespół i jeździć po świecie

w chwale i sławie. Adam miał grać na gitarze prowadzącej, ja na gitarze rytmicznej, mielibyśmy dziewczynę basistkę i chłopaka perkusistę. Albo odwrotnie, najważniejsze, żeby zachować stosunek płci. Śpiewalibyśmy na zmianę i wspólnie pisali piosenki. Zespół miał być taką koleżeńską kooperatywą. Przygotowaliśmy nawet długą listę potencjalnych nazw, między innymi Hollies, Secret Service, Silence (pomysł Adama, dla mnie zupełnie bez sensu) oraz Uncle Joey and His Barn Cats (ten z kolei mój, też zupełnie bez sensu).

Wymyśliliśmy logo i projekty koszulek. Planowaliśmy autobusowe tournee z Los Angeles do Nowego Jorku tak, żeby nie jechać autostradą tylko trzymać się bocznych dróg i dobrze poznać Amerykę. Jadalibyśmy w małych knajpkach i dawali improwizowane darmowe koncerty w barach i na szkolnych placach zabaw. I w ogóle mieliśmy być najfajniejszą kapelą od zarania dziejów.

To było piękne marzenie. Problem w tym, że nie miałam za grosz słuchu.

Większość ludzi próbujących przez sześć miesięcy nauczyć się trzech prostych gitarowych chwytów - G, C i D - w końcu dopina swego. Niektórzy łapią je nawet w piętnaście minut. Ale ja nie potrafiłam zapamiętać, który palec gdzie naciska, a te kilka razy, gdy zagrałam poprawnie, zdarzyło się przypadkiem.

Normalny nauczyciel poddałby się po jednej lekcji ze mną, ale Adam próbował i próbował, cierpliwie ustawiając palce we właściwej pozycji. Kazał mi śpiewać gamy i pasaże, ale jak się okazało, śpiewać też nie umiałam.

Myślę, że dalej by mnie uczył, do osiągnięcia postępów albo do czasu, gdy pomarlibyśmy jako staruszkowie, cokolwiek nastąpiłoby pierwsze. (Bez wątpienia to drugie.) Ale w końcu się załamalam i przyznałam, że to beznadziejne.

Powiedziałam mu, żeby sam założył zespół. I wkrótce to zrobił. Świetnie im szło, a ja zawsze ich oklaskiwałam.

A teraz zastanawiał się, co będzie robił w przyszłości. I, jak go znam, uda mu się, cokolwiek postanowi. Prawo czy scena, będzie wspaniała i tu, i tu. A na decyzję, co wybrać, ma całe lato. A ja? Cóż, obiecałam sobie, że niedługo znajdę coś, w czym będę dobra.

Moja pierwsza po Happerman rozmowa kwalifikacyjna odbyła się w Barer and Bostitch, małej agencji literackiej z siedzibą w Santa Monica. Kobieta, która prowadziła mnie do swego gabinetu, była wysoka i chuda, taka trochę Olive Oyl. Rzuciła okiem na mój życiorys i zmarszczyła brwi.

- Więc nie pracowała pani w żadnej agencji? - stwierdziła.

Pochyliłam do przodu i odpowiedziałam promiennym uśmiechem.

- Sądzę, że przekona się pani, że brak doświadczenia bez problemu nadrobię wizją i entuzjazmem.

- Mmm... - mruknęła, stukając długopisem w doskonale białe zęby, po czym go przygryzła. Jakby próbowała nie wybuchnąć śmiechem, który wywiałyby mnie z jej gabinetu. Ponownie zerknęła w życiorys i popatrzyła na mnie. - Wizja, tak! To ulubione słowo wszystkich, którzy nie mają o tej pracy pojęcia, kochana. Może zgłoś się do nas za pięć lat.

Następna rozmowa, dwa dni później, odbyła się w różowym, ukwieconym biurze Romansu co Miesiąc. Ściany redakcji zdobiły ogromne zdjęcia Fabia, nie wspominając o tuzinie innych modeli z okładek romansów - wszyscy z nienormalnie mocnymi, rozczepionymi podbródkami i potężnymi, lśniącymi od oliwy klatami, które ledwie mieściły się w koszulach wyjętych z najlepszego katalogu mody męskiej.

Zastanawiałam się przez chwilę, czy nie rozpiąć bluzki trochę bardziej, żeby delikatnie zasugerować, że skoro w

powietrzu wisi romans, jestem gotowa. Ale powstrzymały mnie dwie rzeczy. Po pierwsze, nie chciałam, żeby Louella Braverman, redaktor naczelna, uznała, że próbuję ją uwieść. A po drugie, szczerze mówiąc, dekolt nie jest moim największym atutem.

Zapytana o doświadczenie zawodowe, uciekłam się do odpowiedzi podobnej do tej, której udzieliłam w Barer and Bostitch.

- Sądzę, że przekonają się państwo, iż brak doświadczenia nadrabiam pasją - powiedziałam śmiało.

Ale Louella Braverman obracała w upierścienionych palcach okulary z wyjątkowo nieprzekonaną miną.

- Ktoś, kto nie poznał namiętności - powiedziała rozmarzona, gapiąc się w przestrzeń nad moją głową - nie może chyba redagować książek o niej?

Pokiwałam milcząco głową. Niewykluczone, że miała trochę racji.

Rozmowa numer trzy odbyła się w kawiarni nieopodal siedziby wydawnictwa Literatura dla Najmłodszych. Powodem, dla którego spotkałyśmy się w Starbucks zamiast w redakcji - jak wyjaśniła szefowa redaktorów, Molly Fortunata - było to, że bliźniaki redaktor naczelnej, przebywające w biurze w ramach akcji Przeprowadź do Pracy Synów, zaproszyły ogień w pokoju ksero i pomieszczenia zostały zalane przez automatyczny system gaśniczy.

- No dobrze, co robiła pani wcześniej? - zapytała, strzepując z twarzy zabłąkany jasny lok.

- Prawdę mówiąc, studiowałam. Ale sądzą, że przekonają się państwo, że braki w doświadczeniu z nawiązką zrekompensuję entuzjazmem - zapewniłam.

Molly upiła łyk dużego zmrożonego bezkofeinowego cappuccino z lodami waniliowymi z mleka sojowego na pół

odtłuszczonymi, przyprawionymi odrobiną imbiru. I uśmiechnęła się do mnie macierzyńsko.

- Jaka była pani ulubiona powieść dla dorastającej młodzieży? - zapytała.

Poczułam pustkę w głowie. W wieku dziewięciu lat zaczęłam czytać Steinbecka, o co jej chodzi z tą dorastającą młodzieżą? Powinnam skłamać i powiedzieć, że czytałam Sweet Valley High czy jak?

- Hm... - zaczęłam niepewnie. Marzyłam, żeby przyszło mi do głowy coś poza Sweet Valley High i Encyclopedia Brown. - Boże... Jest tego tyle...

- Dziękuję za pani czas - powiedziała łagodnie.

Czwarta rozmowa, tym razem w „Magazynie Motoryzacyjnym”, skończyła się w dwadzieścia sekund po rozpoczęciu, gdy pomyliłam gaźnik z alternatorem. Piąta, we „Wszystko o Kotach”, zakończyła się gwałtownie, gdy popełniłam błąd i opowiedziałam wydawcy, Barry'emu Michaelsowi, o tym, jak tata zagroził sąsiadowi, że zabije jego kota za to, że traktuje nasz podjazd jak publiczną toaletę. Szósta rozmowa przebiegała w przyjemnej, koleżeńskej atmosferze, ale widocznie nie byłam dziewczyną, jakiej szukali w „Holla. Magazyn Hip - Hop Numer 1 na West Coast”. Moje umiejętności uznał za nieprzydatne również redaktor „Zbrojności”. Wydawca miesięcznika „Kamienie Półszlachetne” za osobistą zniewagę uznał fakt, że nie noszę biżuterii, a szef tygodnika „Tekstyliia we Wnętrzu” zasugerował, że nie przyjmie na pokład osoby nieumiejącej poprawnie zdefiniować rypsu.

Uwierzcie mi, nie miałam pojęcia, że na świecie istnieje tyle czasopism i że każde uzna, że do niego nie pasuję. No bo skoro nawet w „Nowinkach Recyklingu” dają człowiekowi kosza, to co dalej?

Było piątkowe popołudnie, sam koniec czerwca, a ja siedziałam na niewiadomo którym niewygodnym krześle z rzędu, przyjechawszy autobusem na kolejną rozmowę. (Tak, tata nie naprawił jeszcze mojego samochodu). Byłam zgrzana i zmachana. Właśnie złamałam obcas w szpilkach, w których chodziłam na wszystkie te rozmowy, żeby nie wspomnieć o kawie wylanej na ołówkową spódnicę, która też stanowiła część mundurku na podobne okazje.

Koordinator zasobów ludzkich w American Insurance czekała cierpliwie, aż osuszę plamę, która przed chwilą spowodowała oparzenie drugiego stopnia mojego uda.

- Bardzo chciałabym pracować w pani firmie, robicie fantastyczne rzeczy - oznajmiłam.

Chwyciła ołówek i wsunęła go za ucho.

- Doprawdy? - zapytała. - A konkretnie? Mogłam tylko wytrzeszczyć na nią oczy. Nic mi nie przychodziło do głowy.

Rozdział 9

Waż czy tarantula? - zapytał Adam.

Ułożyłam ostrożnie telefon w zagłębieniu szyi, przerzucając stos życiorysów i listów motywacyjnych, które rozpaczliwie próbowałam przefaksować do jednego w szczególności, a w ogólności do wszystkich innych biur poszukujących niedoświadczonych pracowników.

- Nie cierpię węży - odparłam, waląc w bok wiekowego kolosa, będącego zestawem faksująco - kopiującym mojego ojca. Przeczytałam gdzieś, że faks wynaleziono na początku XX wieku, i ten zdecydowanie wyglądał, jakby pamiętał tamte czasy.

- W takim razie tarantula - stwierdził bardzo spokojnie Adam.

- Nie, waż. Cholera, chyba właśnie przefaksowałam do kwartalnika „Sypialnia i Łazienka” menu Domino Pizza.

- Gdybyś była węzem, tobyś się nienawidziła - ciągnął.

- O właśnie! - powiedziałam, nieprzytomnie naciskając na guziki maszyny. - Jak najbardziej się ostatnio nienawidzę. Bezrobotna i nienawidząca siebie. Wąż doskonale do mnie pasuje. Powinnam być węzem i cały boży dzień leżeć i napawać się odrazą do siebie.

Już miał zaprotestować, gdy do pokoju weszła babcia, nucąc coś zadowolona. W fiołkowej szacie i białych kapciach z króliczkiem, wymachiwała metkownicą. Przykleiła „Carmella” do jarmarcznej szklanej ryby na gzymisie kominka, potem „Walter” na rzeźbiony na kształt słoniowej nogi stojak na parasole.

- Chwila - powiedziałam do Adama. - Babciu, co robisz?

Odwróciła się do mnie, uosobienie niewinności. Jej włosy zamiast zwykłego ciepłego, statecznego gołębiego koloru były przeraźliwie niebieskie. Poszła do praktykanta, bo było taniej, i nie pierwszy raz przytrafiła jej się wpadka z kolorem. Kiedyś

przyszła do domu z głową zieloną jak wielkanocna trawka. Można by pomyśleć, że czegoś ją to nauczyło, ale widocznie skąpstwo było silniejsze od próżności.

- Przyklejam etykiety, żebyście wiedzieli, kto co dostanie po mojej śmierci. - Uniosła dumnie metkownicę.

- Tak lubię tę maszynkę, że chcę być z nią pochowana. Widzisz? Przyczepię do niej swoje imię i notatkę: „Pogrzebać z ciałem”.

- Och, babciu! Zlituj się! - błagałam. - To chore. Nakleiła metkę „Ryden” na faksie i się uśmiechnęła.

- Bo chyba bardzo potrzebujesz tej maszyny - szepnęła. Pokazałam jej język.

- Pogadamy później, Adamie, muszę lecieć - powiedziałam, odklejając metkę i wrzucając ją do śmieci.

Moje protesty nie zdołały odwieść babki od metkowania. Czynność ta sprawiała jej taką frajdę, że nie poprzestała na przedmiotach będących jej własnością. Nakleiła „Hunter” na leżance, którą kupił ojciec i „Carmella” na mojej czarnej skórzanej torbie, przyobiecując ją mojej mamie. Jakby była wystarczająco duża, by zmieścić wszystkie rupiecie, która lubiła nosić matka. Ta kobieta była chodzącym sklepem mydło i powidło!

- Dlaczego nie przykleisz naklejki na telefon - zapytał tata, wchodząc do pokoju owiany zapachem Aqua Velva. - Daj go Ryden, bo wciąż do niej wydzwania - dodał złośliwie i podał mi stos kopert. - Przesyłka specjalna - powiedział. - Rachunek za telefon komórkowy, za kartę kredytową i za kredyt studencki. Ale tu mamy coś interesującego. Twój dyplom!

Super, pomyślałam, wielki z niego pożytek. Podszedł do stojaka na parasole i kopnął w metkę.

- Chryste miłosierny, mamó, co podsunęło ci myśl, że chcę dostać to okropieństwo?

Babcia podbiegła do stojaka, zdarła naklejkę „Walter” i wymieniła ją na „Ryden”.

Tata zapadł się w fotelu, dziwnie zadowolony, chociaż przed chwilą rozważał smutne konsekwencje bezrobocia córki i nieuniknioną śmierć matki.

- Wiesz co, Ryden - powiedział - mam bardzo ważną wiadomość dotyczącą twojej przyszłości. Chcę, żebyś mnie uważnie wysłuchała. Słuchasz mnie?

Przestałam mocować się z przedpotopowym faksem i usiadłam na otomanie naprzeciw ojca.

Oparł o nią stopy. Znów założył skarpety do sandałów, choć tysiąc razy go błagałam, żeby tego nie robił.

- Mam dla ciebie, dziecino, jedno słowo. Klamry. Oderwałam wzrok od jego obuwniczego faux pas i zapytałam:

- Klamry? Klamry jak Buckles? Żebrzący kłown, który występuje na Fairfax, robiąc gwiazdy i puszczając bańki? - Przez chwilę myślałam, że tata chce, żebym została jego pomocnicą. Na przykład robiąc za dolara stójkę na rękach. Już słyszałam, jak mówi: „Żywa gotówka! Wolna od podatku!”

Tata się zaśmiał.

- Nie. Wiesz, że nie cierpię kłownów. Odrażające łajdaki w koszmarnych strojach. I te ich szkaradne buty! Chodzi mi o klamry do pasków. - Gdy gapiłam się na niego bezmyślnie, ciągnął. - To nisza warta milion dolarów. Idą w Internecie jak świeże bułeczki. Mówię ci, ludzie dostali bzika na ich punkcie. Jest nawet strona w całości poświęcona klamrom.

- Żartujesz - powiedziałam, mając głęboką nadzieję, że to prawda.

- Nie, mówię całkiem poważnie. I wiesz, kto właśnie spotkał się z dystrybutorem i zakłada firmę? Twój staruszek. Będę sprzedawał je na eBayu trzy razy drożej niż cena kupna. Po czym szybko uruchomię własną stronę internetową i wytnę eBay z tego rynku. Zbiję majątek.

To nie był absolutnie najgorszy pomysł, na jaki kiedykolwiek wpadł, ale blisko. Co więcej, uznałam za interesujący fakt, że facet, który nigdy nie nosił paska - „Wolę zostawić sobie miejsce na po lunchu”, mówił - zamierzał otworzyć taki biznes.

- Mama o tym wie? - zapytałam z powątpiewaniem w głosie.

Tata machnął ręką.

- Dajmy spokój mamie. Nie ma czasu się w ucho podrapać, harując u tego dentysty i zajmując się twoim stukniętym bratem.

- A co ze Światem Walizek? Jesteś regionalnym menedżerem.

- Mogę sobie trochę odpuścić - powiedział, siadając i opierając dłonie na okazałym brzuchu.

- Słuchaj - ciągnął - skoro ci nie wychodzi z pracą

- tu wskazał na stos życiorysów i podań - to, między nami mówiąc, będę musiał zatrudnić kogoś do pomocy w biznesie. W grę wchodzi stanowisko wiceprezesa. - Uniósł brwi i poruszył nimi, gotując się na wdzięczność i zdumienie.

Kiedy się nie odzywałam, pochylił się do przodu i powiedział.

- Mówimy o pensji i prowizji.

Nie chciałam ranić jego uczuć, ale to było tak różne od tego, co chciałam usłyszeć. Już raczej wolałabym sprzątać toalety w dojo niż musieć zмагаć się z ojcem i jego kłamrami.

- Tato - powiedziałam, wstając - dzięki, że o mnie pomyślałeś. Ale to chyba nie dla mnie. To znaczy, zastanowię się, ale naprawdę, nie licz na mnie za bardzo. Mam nadzieję na coś lepszego. Jego entuzjazm był niewzruszony.

- Do zobaczenia, wiceprezesko! - zawołał.

Po prostu musiałam wydostać się z domu. Pobyć chwilę z dala od machinacji ojca i zacieklego wycinania kuponów

przez mamę - co tydzień jadalnia tonęła w stosach gazetowych ogłoszeń i sklepowych ulotek. Zadzwoiłam do Adama, żeby po mnie przyjechał. Pojechaliśmy do baru Eddiego, klubu, który nie jest prawdziwym klubem, ale ma do niego pretensje. Wiecie, o czym mówię - neonowe reklamy piwa, stara szafa grająca, tarcza do strzelania. U Eddiego było też martini po dwanaście dolarów i sześćdziesiąt gatunków tequili, więc miejsce nie było takie złe. Kiedyś spotkałam tam nawet Kirsten Dunst w towarzystwie dwóch ochroniarzy i dziwnie wyglądającej dziewczyny, podobnej do Betty z Flintstonów. Ale ludzie szukający prawdziwego klubu szli kawałek dalej, do Franka, gdzie było piwo za dwa dolary, stary czarno - biały telewizor i tłum podchmielonych bywalców, którzy na nowicjuszy takich jak Adam i ja patrzyli nie bez pewnej dozy pogardy i wrogości.

- Dostaję szału - powiedziałam, gdy tylko usiedliśmy w naszej kabinie. Przychodziliśmy tu od lat, odkąd nasze fałszywe dowody tożsamości zaczęły być wystarczająco przekonujące. - Ojciec wpędzi mnie do grobu.

Tym razem Adam nie prosił mnie o szczegółową relację, choć zwykle delectował się opowieściami o wyczynach Waltera.

- A mój mnie - stwierdził. Wyciągnął podkładkę spod swojej butelki z piwem i podarł ją na kawałki.

- Tyle że twój nie próbował cię zwerbować do jakiegoś absurdalnego przedsięwzięcia; sklepu internetowego. Boże! Przecież on ledwo posługuje się komputerem - zauważyłam. - Aż tak źle pewnie nie było.

Adam uśmiechnął się blado.

- Nie. Poszło tylko o studia prawnicze. Wiesz, on nie powie mi wprost, że chce, żebym na nie poszedł. Ale wiem, że tego chce. Powiedziałem, że wiem, iż mi nie daruje, jeśli z nich zrezygnuję. Stwierdził, że to nieprawda. Że tylko chce,

żeby mnie ułożyło się lepiej niż jemu. Czy to nie irytujące, kiedy rodzice tak mówią? To przebijanie kartą litości. Jego życie nie poszło tak, jak sobie wymarzył, więc teraz naciska, żebym żył za niego jego marzeniem. To okropne.

- Twój tata chciał być prawnikiem? - zapytałam. Podałam mu swoją podkładkę pod szklanę, żeby sobie podarł.

- Chyba nie - odparł Adam, z pociemniałymi ze smutku zielonymi oczami. - Ale na pewno, u diabła, nie chciał wieczór w wieczór harować do jedenastej, żeby stać go było na kredyt hipoteczny za mieszkanie w Encino i podryw dwa razy młodszej kasjerki. Sama powiedz, co to za życie?

- Nie powiedział tego, prawda? - Pan Davies zawsze wydawał mi się typem zapiętym na ostatni guzik, wyjąwszy tę jedną pijaną noc z Juanitą w alejce z mrożonkami.

Adam zaśmiał się smutno.

- Nie, ja to powiedziałem. Wypomniałem mu Juanitę i wtedy powiedział mi coś strasznie smutnego: - „Prowadzę sklep spożywczy, Adamie, Szukam odrobiny szczęścia tam, gdzie mogę”.

Położyłam rękę na sercu.

- Och! Rzeczywiście.

Adam popatrzał na mnie żałośnie znad kupki strzepów po piwnych podkładkach.

- Co za głupota. Rodzice chcą dla nas jak najlepiej, my chcemy tego samego dla nich, a ani im, ani nam się nie układa.

Pomyślałam o mojej rodzinie. O tym, że im też chyba się nie ułożyło. Ojciec pracuje jako sprzedawca walizek, mama spędza dni w gabinecie dentystycznym, marząc o powrocie na studia i zostaniu antropologiem. Mój młodszy brat z uporem pakuje się w kłopoty w letniej szkole, zjadając gumki, mażąc po rękach i twarzy cudownymi mazakami i rozpowiadając dookoła, że jest marmozetą zaklętą w ciele siedmiolatka. A

babcia? Cóż, farbuje się na niebiesko, zbiera kapelusze i jest chyba najmniej przyjazną ludzom osobą, jaką znam.

Ale przynajmniej mam rodzinę. Kocham ją bardzo, mimo jej mankamentów. Samo to, że jest dość liczna, oznacza bezpieczeństwo. Gdy tata doprowadzał mnie do obłędu, mogłam pójść pogadać z mamą, i vice versa chociaż prawie zawsze to ojciec doprowadza mnie do szału. Uznałam, że to smutne, że Adam ma tylko zapracowanego od rana do nocy ojca i starego, ocalonego przed hyclem buldoga, który nie lubił spacerów, zabawy, przynoszenia patyków ani niczego. To smutne, że obydwaj chcieli dla siebie jak najlepiej i że nie są szczęśliwi.

- Ale za to dostałeś się na wydział prawa - powiedziałam.

- Bo w końcu otworzyłeś kopertę?

- Tak. - Upił duży haust piwa. Wcale nie wydawał się podekscytowany, to było widać. Mimo to złapałam szklanekę i wzniosłam toast.

- Gratulacje! - zawołałam, szczerząc zęby. - Zaprosiłabym cię na chińszczyznę, żeby to uczcić, ale jest za późno. Już zamknęli.

- I wcale za nią nie przepadamy - dodał. Kiwnęłam głową.

- To też. - Zamachałam do kelnerki, żeby przyniosła nam następną kolejkę. - O kurczę - powiedziałam. - Prawo na Columbi.

Ale nie dociekałam, czy się tam wybiera, bo w głębi serca wolałam nie wiedzieć.

Rozdział 10

Mama zlitowała się nade mną i zaproponowała, że w dni wolne od pracy będzie mnie zawoziła i przywoziła z rozmów kwalifikacyjnych. I dlatego właśnie w środowe wczesnolipcowe popołudnie usiadłam na miejscu pasażera, świeżo po kolejnej porażce, czując się tak beznadziejnie, jak tylko można. Powinnyśmy akurat odebrać z letniej szkoły mojego brata. Uczęszczał tam, bo był utalentowany, nie dlatego, że nie zdał do drugiej klasy czy coś w tym stylu. Zajechałyśmy więc przed podstawówkę i przeszukiwałyśmy wzrokiem chmary dzieci w poszukiwaniu Huntera. Po kilku minutach dostrzegłam go przy drzwiach pożarowych. Stał obok dyrektora, który sprawiał wrażenie bardzo zagniewanego.

- Znowu? - Mama westchnęła.

- Co znowu? - zapytałam.

Nie odpowiedziała. Wsiadła z samochodu i podeszła do nich. Nie słyszałam, o czym rozmawiali, ale widziałam pełne frustracji gesty dyrektora i kiwanie głową matki, przepraszające i lekko zdenerwowane zarazem. Hunter nie zwracał na nich uwagi. Gapił się w niebo i kręcił w kółko z wyciągniętymi do chmur rękoma. W kolorowej hipisowsko ufarbowanej koszulce wyglądał jak siedmioletni fan Deadhead.

Po paru minutach mama wróciła z nim do samochodu i pomogła mu zapiąć pasy na tylnym siedzeniu.

- Hunter - powiedziała łagodnie. - Wiesz, że nie znoszę, gdy dyrektor wychodzi po mnie na parking, nie mogąc się doczekać, kiedy mi opowie, co znów wykręciłeś. Co mówiłam o lizaniu dzieci po głowie?

Hunter zwiijał się na siedzeniu.

- Mmm... żebym tego nie robił?

- Właśnie. Nigdy.

- Nawet wtedy, gdy ktoś rzuca mi wyzwanie? - Popatrzył na nią z nadzieją.

Pokręciła głową.

- Zwłaszcza wtedy.

- A jeśli mi za to płaci?

Mama westchnęła.

- Hunter, kto miałby ci płacić, żebyś go lizał po głowie?

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

- Do diabła, gdyby mnie ktoś zapłacił, polizałabym go - wymamrotałam. W końcu karta kredytowa sama się nie spłaci.

- Babcia zapłaciła mi za spiłowanie paznokci u nóg - poinformował nas Hunter.

Obie z mamą zadrżałyśmy na myśl o moim bracie wbijającym pilniczek w stare kościste stopy babci.

- To nie to samo. Może już przestań dyskutować, zgoda? - poprosiła mama. Właściwie błagała.

Hunter zwiesił głowę.

- Chyba zgoda.

- Dzięki - powiedziała, całując go w czoło. Wsiadła do samochodu, odpaliła silnik i, kiedy w suchym skwarze jechaliśmy do domu, zapytała mimochodem:

- Nie miałam kiedy cię zapytać, Ryden. Jak poszło?

Pokręciłam żałośnie głową.

- Zapytałam wiceprezeskę, czy jest w ciąży. Okazało się, że po prostu była gruba. - Zupełnie jakbym sunęła po jakiejś koszarnej zjeżdżalni, każda następna rozmowa wypadła gorzej od poprzedniej. Zaczynałam powoli podejrzewać, że to kwestia psychiki. Skoro nie zdobyłam upragnionej pracy, teraz podświadomie sabotuję szansę zdobycia innej.

- Och, to rzeczywiście pech - stwierdziła mama. Ale szybko się rozpogodziła. - Tłuszcz na brzuchu odkłada się z powodu stresu, tak słyszałam. Więc pewnie i tak nie

chciałabyś tej pracy. Odbiłaby się na twojej talii. A w tym drugim miejscu? W tym wydawnictwie... Jak się nazywa to czasopismo? „Kalifornijski Ślusarz”?

- Facet zapytał mnie, czy mogę mu przesłać zdjęcie swoich stóp.

- Co mają stopy do zamków? - zawołał z tylnego siedzenia Hunter. Rozpakował zapomniane dropsy owocowe i poprzyklejał je sobie do twarzy. Boże! To dziecko jest szalone.

- Nic - odpowiedziałam. - W tym problem. Mama, która do tej pory nie okazywała wielkiego zainteresowania moimi poszukiwaniami pracy, plasnęła dłonią w kierownicę i powiedziała nagle:

- Wiesz, co zrobię? Zadzwonię do Milly Freeman, koleżanki z liceum. Wiesz, że prowadzi małe niezależne wydawnictwo? Zapytam ją. Poproszę ją o przysługę.

Opuściłam szybę i wystawiłam głowę na zewnątrz. Może odetnie ją jakaś skrzynka pocztowa. To byłoby świetne rozwiązanie.

- Milly nie żyje, mamó - powiedziałam. - Tata już tam dzwonił.

- Naprawdę? Ależ to przykre. - Zadzwoił jej telefon, odebrała i zbladła. - Babcia? Trumna? Gdzie?

Moja babka ze strony ojca, Maureen Ruth McKenna Malby, z rękoma złożonymi na piersiach leżała w wybitej białym atłasem trumnie w kolorze kości słoniowej. Z niewidzialnych głośników płynęła kojąca muzyka, wypełniając powietrze przesycone zapachem stojącego obok bukietu żółtych róż.

- Co myślisz o tej? - zapytała, otwierając gwałtownie oczy. - Podoba ci się? Czy lepsza tamta elegancka mahoniowa, w której leżałam wcześniej? Ta ze skrytką na kosztowności.

Ukryłam twarz w dłoniach.

- Babciu - powiedziałam zza nich - naprawdę nie mogę teraz o tym myśleć.

- Och, czyżbyś aż tak się przejęła? - Pociągnęła za atlasowe wstążki w wyściełanym wieku i zawiązała je na kokardę.

- Tak, to właśnie powiedziałam.

Wyraźnie zdenerwowana moim brakiem entuzjazmu dla jej szalu upiornych zakupów, skinęła, żebym się odsunęła.

- Chodź tu, Hunter, powiedz, co myślisz o tym, żeby babcia spała snem wiecznym w takiej trumnie?

Hunter podszedł nieśmiało i dotknął ozdobnego mosiężnego uchwytu.

- Podoba mi się - szepnął. Babcia usiadła i klasnęła w ręce.

- Doskonale - oznajmiła przedsiębiorcy pogrzebowemu, który wychynał właśnie z mroku jak ponury duch. - Biorę tę.

- Doskonały wybór - powiedział mężczyzna. Małe ciemne oczy ginęły niemal pod ciężkimi siwymi brwiami. Jakimś sposobem udawało mu się jednocześnie okazywać powagę i entuzjazm. To dopiero musi być dziwna praca, pomyślałam. Ale byłam już tak koszmarnie zdesperowana, że zastanawiałam się, czy go nie zapytać, czy przypadkiem nie potrzebuje pomocy. Powstrzymywał mnie tylko wstyd. Nie chciałam, żeby mama widziała, jak zebrzę.

- Ile kosztuje? - zapytała mama, ściskając kurczowo torebkę, jakby się bała, że facet z nią ucieknie.

- Osiem tysięcy dolarów - powiedział łagodnie.

- Osiem tysięcy dolarów? - powtórzyła matka, głosem o oktawę wyższym niż zwykle.

Babcia uśmiechnęła się promiennie i gestem właścicielki położyła dłoń na wieku.

- Ręcznie rzeźbiona - dodał przedsiębiorca pogrzebowy, poprawiając krawat.

Mama wydała z siebie jakiś dziwny dźwięk, niegodny damy.

- Przez kogo? - zapytała. - Przez samego papieża w Rzymie?

Przedsiębiorca pogrzebowy uśmiechnął się wyrozumiale.

- Zrobili ją mnisi. Żyją i pracują w klasztorze we francuskich Alpach. Na całym świecie słyną ze swych dopracowanych trumien i ekologicznego koziego sera. A obicie jest z tkaniny o najgęstszym splocie. Miększych w dotyku już nie ma.

Kozie sery? - pomyślałam.

Mama rzuciła okiem na babcię, która obchodziła jeszcze raz wystawione modele, chcąc się upewnić, że wybrała najlepszy. Kiedy uznała, że babcia znalazła się poza zasięgiem głosu, pochyliła się i wyszeptała.

- Czy przypadkiem nie zapominamy o kluczowej części równania?

Babcia - która czasami, gdy chciała zignorować tatę, udawała głuchotę - tak naprawdę miała słuch jak nietoperz. Błyskawicznie znalazła się u boku mamy, z rękoma na biodrach, stając między nią, a przedsiębiorcą pogrzebowym.

- Absolutna racja. Po co płacić takie pieniądze za śliczną trumnę, kiedy pewnie można mnie za darmo wrzucić do byle jakiego dołu?

- No wiesz, mamó, teraz przesadziłaś!

- Nie marnuj mi - wysyczała babcia. - Jestem twoją teściową i nie pozwolę się wyrzucić z samolotu albo zostawić w lesie na pożarcie kojotom, czy co tam planujesz. Chcę, żeby moje doczesne szczątki złożono owinięte w elegancką miękką tkaninę.

- Bądźże rozsądna, Maureen - zaczęła moja mama. -
Mówię tylko...

- Elegancka i miękka! - krzyknęła babcia. Uznałam, że sprzeczką chwilę potrwa, przeszłam więc do sali wystawowej, w której rzędami stały lśniące trumny, jakby czekały na nieboszczyków. Albo może na wampiry? Zadrżałam. Widok przyprawiał o gęsią skórę, nawet w biały dzień.

W kącie, przykryta gałązką lilii, stała długa niebieska skrzynia zdobiona po bokach błyskawicami. Wyraźnie oddzielono ją od pozostałych trumien i jako jedyna w sali miała zamknięte wieko.

Te błyskawice to od San Diego Chargers? Ktoś musiał być naprawdę zdeklarowanym fanem, bez dwóch zdań. Na tę myśl przystanąłam i zadałam sobie pytanie. Gdyby trumna symbolizowała życie, to w czym pochowano by mnie? W trumnie podobnej do książki? Czy może dużego czerwonego redaktorskiego ołówka? Uśmiechnęłam się smętnie. Jeśli się weźmie pod uwagę ostatnie tygodnie, będzie raczej przypominać czek z zasiłkiem dla bezrobotnych.

Podeszłam do trumny. Miała zamknięte wieko, więc byłam prawie w stu procentach pewna, że w środku leży nieboszczyk. Dotknęłam jednej z błyskawic, zauważając przy okazji, że uchwyty są chyba ze świńskiej skóry, takiej samej, z jakiej się robi piłki.

Brr, pomyślałam. Kto by się spodziewał, że taka tandeta może zmrozić krew w żyłach? ,

I wtedy wieko uniosło się gwałtownie.

Serce zamarło mi w piersi. Rety! Opuściło chyba ze dwadzieścia uderzeń. Hunter usiadł i wrzasnął:

- Hu!

Zatoczyłam się do tyłu, ściskając się za klatkę piersiową i resztką tchu informując Huntera, że gdy tylko wróci mi oddech, spiorę mu tyłek na kwaśne jabłko.

Może bym i sprąła, a może zbyłabym to śmiechem. Ale nie było mi dane sprawdzić, jak daleko mogę się posunąć, bo cofając się, wpadłam na inną trumnę. W tej samej chwili nadbiegła reszta, zaniepokojona zamieszaniem.

Usiłowałam przytrzymać chwiejącą się skrzynię, ale palce ześliznęły mi się z lakierowanej powierzchni. Boże kochany! Tylko nie to! Sapnęłam, czując umykający spod nich ciężar. Przedsiębiorca pogrzebowy rzucił się na pomoc, ale było za późno. Trumna rąbnęła o podłogę. Znieruchomieliśmy.

Cholera! Cholera! Cholera!

- O Chryste! - Matka westchnęła.

- Rozbiliście, kupujecie! - zauważył inteligentnie Hunter, wskazując napis głoszący dokładnie to samo.

Pamiętacie, jak powiedziałam, że jeśli zapragniecie uwagi tłumów, powinniście spróbować sprintu w szpilkach i obcisłej spódnicy chodnikami Los Angeles w drodze na rozmowę kwalifikacyjną? Zapomnijcie.

Jeśli naprawdę pragniecie tłumów, polecam jazdę Wilshire Boulevard w różowym le baron z przyczepioną do dachu ogromną, na wpół strzaskaną trumną. Będą się na was gapić wszyscy znajomi królika i ich bracia, nie wspominając o wujkach, siostrach, kuzynach i innych pociotkach, wraz z terapeutami i trenerami jogi. Nie macie pojęcia, jak dziwnie w takiej sytuacji czuje się dziewczyna.

Rozdział 11

Spójrz, jak ma ustawione palce - powiedział Adam, wskazując obraz. - Widzisz? Bierze C.

Posłusznie wpatrywałam się w szczupłe palce kobiety o sarnich oczach sportretowanej na obrazie Kobieta grająca na lutni.

- Masz nadzieję mnie zainspirować? - zapytałam. - Bo chyba wiesz, że jestem w tym beznadziejna. Z czego wynika, że powinieneś również wiedzieć, iż gapienie się na obraz namalowany przez jakiegoś faceta w XVI wieku nie pomoże mi zapamiętać, który palec naciska którą strunę. Poza tym ona gra na lutni, nie na gitarze. Widzisz? Tak jest napisane na tabliczce.

Postanowiliśmy z Adamem zrobić sobie przerwę od naszych zwykłych zajęć. Dla mnie oznaczało to dzień, w którym nie musiałam się wbijać w tę cholerną ołówkową spódnicę i mizdrzyć do osób, które nie miały najmniejszego zamiaru mnie zatrudnić. Dla Adama był to dzień, w którym nie obija się po domu, brzdąkając na gitarze i próbując się zdecydować, iść, czy nie iść na prawo. Wybraliśmy się do Getty Museum. Przechadzaliśmy się po cichych białych salach i wpatrywaliśmy w obrazy bogów i demonów, sielskie krajobrazy i krwawe bitwy. Adam pochylił się, żeby przeczytać tabliczkę.

- Napisane jest również, że obraz ten przypisywano Leonardowi da Vinci. Czy to nie okropne, być przekonanym, że kupiło się obraz da Vinci, po czym dowiedzieć się, że to dzieło jakiegoś Bartolomea Veneta?

Kiwnęłam głową.

- To znacznie gorsze niż zakup książki napisanej ponoć przez kilkunastoletniego syna tirówki i odkrycie, że autorką jest kobieta w średnim wieku.

Adam popatrzał na mnie, nic nie rozumiejąc.

- Kuku - powiedziałam. - Nie słyszałeś o T.J. Sandersie? To właśnie on miał niby napisać te książki, ale tak naprawdę nie istniał. Przespałeś to, czy jak? Trąbili o tym w programie Oprah i wszędzie. Wierz mi, afera była jak ta lala.

Adam kontemplował damę i jej lutnię.

- Musiałem przegapić - stwierdził ani trochę nie zmartwiony tym faktem.

Co akurat dobrze się składa, pomyślałam. Gdybyśmy chodzili do tej samej szkoły, bez przerwy włączyli się razem, zawsze się zgadzali, jakim wolimy być zwierzakiem i mieli taką samą wiedzę o muzyce i literaturze, równie dobrze moglibyśmy być jedną osobą. Trudno być sobie samemu najlepszym przyjacielem.

Wyszliśmy z budynku i kupiliśmy na stoisku z napojami dwie niesamowicie drogie wody. Poszliśmy do ogrodu, do miejsca, skąd widać całe miasto. Niebo było niebieskie, ale nad śródmieściem wisiał siwobrazowy smog, przez co budynki wydawały się szare i rozmazane.

- Tęskniłbym za Los Angeles, gdybym wyjechał. - Adam zadumał się, gapiąc się na miasto. - A płuca pewnie doznałyby szoku z nadmiaru tlenu.

Oparłam się o chłodny kamienny mur i zmrużyłam oczy.

- W Nowym Jorku też na pewno nie brakuje smogu. W końcu Columbia nie leży w środku pradawnej puszczy.

- Fakt - zgodził się Adam. - A gdybym kiedyś poczuł, że powietrze jest zbyt czyste, zawsze można przyłożyć nos do rury wydechowej i się inhalować.

- No właśnie. Albo postać na Times Square razem z Gołym Kowbojem. To zapewni ci stosowną dawkę tlenu węgla. - Odwróciłam się do niego, nagle poważniejąc. - Co nie znaczy, żebym uważała, że powinieneś wyjechać. - Przerwałam. - To znaczy, chyba, że chcesz, albo... Ale... - Zamilkłam, niepewna, co chcę właściwie powiedzieć.

Adam wychylił się i spojrział przez balustradę na dół.

- Och, nie rozmawiajmy teraz o tym. Wiesz, że w miarę możliwości unikam nudnych tematów. Jesteśmy w muzeum! Porozmawiajmy o sztuce.

Mijała nas jakaś trzymająca się za ręce starsza para, wpatrzona w mapę ogrodów. Mimo zagubienia wyglądali na szczęśliwych. Nagle poczułam do nich dziwny przyptyw sympatii.

- No dobrze, a o jakiej sztuce porozmawiamy? Zastanawiał się przez chwilę.

- Widziałaś reklamę Getty? Tę, w której ludzie chodzą po Los Angeles z obrazami zamiast głów? Albo roślinami z ogrodu?

Zaśmiałam się.

- To nie jest rozmowa o sztuce tylko o marketingu sztuki.

- Co na to poradzę? - Adam wzruszył ramionami. - Jestem tylko głupim muzykiem rockowym.

- Fakt - powiedziałam, wzdychając. - Ja za to jestem chodzącą kulturą.

- To dlatego żadne czasopismo w Los Angeles nie chce cię zatrudnić? Jesteś zbyt wyrafinowana? - Skrzyżował ramiona i uśmiechnął się do mnie.

Uderzyłam go pięścią.

- Grasz nie fair - powiedziałam. - Nie kopie się leżącego.

- Auć! - jęknął, rozcierając ramię. - Przepraszam. Jezu, tylko zażartowałem. Ale wiem, co ci poprawi humor. Co powiesz na pyszny, czekoladowy esk...

Ruszyłam już do wyjścia.

- Chrzanić eskimo pie - powiedziałam, odwracając się do Adama. - Chodźmy się napić.

Rozsiadłam się na trawniku, pracując nad opalenizną, bo - jak mało pokrzepiająco zauważył tata - nic lepszego nie miałam do roboty, a bez samochodu i tak nie miałam szans

nigdzie się wybrać. I nagle ulicą nadjechała duża furgonetka w stylu lat osiemdziesiątych, pomalowana miedzianą farbą, i zatrzymała się przed naszym domem. Z drzwi po stronie kierowcy wytoczył się krępy nie najmłodszy już facet w okularach Rayban, z czarnymi włosami, które wyglądały jak czapka z wydry. Gdy ruszył do mnie, obserwowałam go zaniepokojona.

Czerwone bikini trafiło widocznie w jego gust, bo uśmiechnął się obleśnie i zaczął szukać jakiegoś tekstu w stylu: „Z przyjemnością wetrę w ciebie ten miedziany blask”, albo coś w tym typie. Mogłam się założyć, że to była jego stała zaczepka. Ale potem zobaczył wrak strzaskanej fioletowej trumny, który spoczywał na naszym frontowym trawniku. Czy wspomniałam już, że trumna była dokładnie w kolorze Barneya, fioletowego dinozaura? Uśmiech faceta szybko zgasł.

- Mogę panu w czymś pomóc? - zapytałam, okrywając się ręcznikiem.

Oderwał wzrok od trumny i odchrząknął.

- Szukam...

- Gary! - wrzasnął tata. Wypadł z domu ubrany w koszulkę z jakimś średnio śmiesznym i dość wulgarnym napisem. Tak a propos kultury. - Spóźniłeś się! - powiedział. Wyciągnął rękę i przywitał Gary'ego krzepkim uściskiem dłoni. - Gdzie towar?

Facet się odwrócił i wskazał na furgonetkę.

- Tam - odparł.

- No to do roboty! - wykrzyknął tata. - Zobaczmy te cudeńka!

Kopnął niecierpliwie na bok rozbity kawałek trumny. W życiu nie zgadnę, dlaczego nie wpadł na pomysł, żeby wstawić ją do garażu. Co zamierzał z nią zrobić? Miał nadzieję zastraszyć naszego gorącego brazylijskiego sąsiada?

Przesłanie w stylu: „Jeśli twój kot znów narobi na mój podjazd, skończy w czymś takim”. Ale bardziej prawdopodobne, że po prostu nie mógł się zebrać i przenieść tego pudła, bo za bardzo był zajęty planowaniem swojego fantastycznego, nowego, internetowego biznesu.

Gary pokłusował do furgonetki i wrócił z dużym tekturowym pudłem. Tata zajrzał do środka z zapalem. Sięgnął i wyciągnął dużą, błyszczącą klamrę do paska. Byłam za daleko, żeby zobaczyć, czym ją ozdobiono, ale dałabym głowę, że to ryba, puma albo coś podobnie męskiego.

- Jaki kunszt - rozpływał się ojciec. - A jakie gustowne wzornictwo.

O rety! - pomyślałam. Bo skoro tata uznał, że to coś jest gustowne, było pewne jak w banku, że okaże się okropne. Co gorsze, ojciec uparcie obstawał przy swoim smaku. Większość facetów, dobrze zdając sobie sprawę ze swojego wątpliwego gustu, urządzenie domu i kupno dodatków zostawiała małżonkom. Ale nie tata. On brał sprawy w swoje ręce. I dlatego któregoś roku, gdziekolwiek się człowiek obrócił, natykał się na makramową sowę. A innego nie można było zrobić kroku, żeby nie stąpnąć na turecki kilim albo kolorową jedwabną poduszkę.

- Tak - mruzczał ojciec. - Bardzo interesujące.

- Jeśli pan chce - powiedział Gary - mogę przywieźć więcej. To świetna inwestycja!

Gdy tata oglądał klamrę, obracając ją na wszystkie strony, zza rododendronu wychynął Hunter i zaczął się czołgać po trawie w jego stronę. Miał na sobie długą czarną pelerynę i doczepione bardzo ostre kły. Przytknął palec do warg, pokazując, żebym była cicho. Po brodzie spływała mu sztuczna strużka krwi.

Tata, pochłonięty sprzączkami, nie zauważył Huntera, dopóki ten nie wyskoczył na niego z przenikliwym wrzaskiem.

- Jestem Hugo wampir! - zawołał brat, wpadając między tatę a grubego Gary'ego i machając wściekle rękoma.

- Jezu Chryste! - krzyknął tata, chwytając się za serce.

- Chcę wyssać twoją krew, Walterze! - Hunter spojrzał na ojca oczami obwiedzionymi czerwoną kredką i powiedział groźnie: - Mam apetyt na krew utuczonego mężczyzny!

Kiedy tata zdał sobie sprawę, że jednak nie dostał ataku serca, uśmiechnął się do Huntera przez zaciśnięte zęby.

- Nie pora na figle, Hugonie. Po pierwsze, twój ojciec nie jest gruby. Po drugie, jestem zajęty.

Niezrażony Hunter przeskakiwał z nogi na nogę.

- Chcę wyssać twoją krew! - skandował.

- Hugonie... - ostrzegł ojciec.

Brat przerwał tańce i popatrzył na tatę.

- Pomóż mi zbudować samochód - poprosił. - Chcę wygrać wyścig. Jest za miesiąc. Wszystkie dzieci już zaczęły budować. Jimmy Gill mówi, że jego tata...

- Powiedziałem, że jestem zajęty - przerwał ojciec. Z teatralnym westchnieniem mój brat, początkujący wampir, pobiegł do domu. Pewnie po to, żeby wyssać kremowe nadzienie z twinkie, bardziej w jego guście. Bo tak naprawdę nie znosił widoku krwi. Ostatnim razem, gdy się skaleczył nożycami krawieckimi babci, zasłabł na podłodze łazienki.

Patrzyłam skonsternowana, jak tata odbiera od Gary'ego pudło z kłamrami i wyciąga z tylnej kieszeni spodni wypchaną pieniędzmi kopertę, którą Gary z zachłannym entuzjazmem włożył do kieszeni. Uścisnęli sobie ręce, po czym Gary pomknął do swojej furgonetki i odjechał, zostawiając na ulicy dwa czarne ślady opon.

- Ryden, chodź no tutaj! - zawołał radośnie tata. - Tylko popatrz!

Posłusznie, choć nie bez lęku, podeszłam, zajrzałam do pudła i ujrzałam setki dużych, błyszczących i bardzo tandetnych klamer.

- O kurczę! - jęknęłam. - Są naprawdę... naprawdę... ciekawe, tato.

- Moje pierwsze zamówienie. - Wyciągnął klamrę w kształcie wilka. Była tak duża, że Mel Gibson w Walecznym Sercu mógłby jej użyć jako tarczy.

- No i? - zapytał. - Czy jako wiceprezes staniesz na czele działu marketingu?

Piłam właśnie wodę i niemal się zachłysnęłam.

- Działu marketingu?

Tata entuzjastycznie potaknął.

- No wiesz, ogłoszenia reklamowe, slogany, nazwy. Może nadasz każdej inną. Na przykład - tu uniósł klamrę z węzem - Żmija. Albo - sięgnął po inną - Stan Delaware.

Wzięłam od niego Delaware.

- Wow! Naprawdę brak mi słów. Wymachiwał mi przed nosem klamrą w kształcie puszek coors.

- Ruszże głową, potrzebna mi twoja pomoc. Jesteś młoda. Wiesz, co jest w modzie.

- To bardzo miłe z twojej strony, że chcesz mnie włączyć, ale nie, dziękuję. Nie mogę - próbowałam łagodnie odmówić.

- Wydrukuję nam wizytówki na drukarce laserowej - zaproponował ojciec.

Teraz naprawdę zaczęłam się denerwować. Co z nim było nie tak? Uznał kiedyś, że sam jeden zdoła wskrzesić szaloną modę na zwierzaki Pet Rock, przez co na podwórku wciąż zalegała góra kamieni. Rok później doszedł do przekonania, że błyskające neonowo bumerangi to zabawka przyszłości. Po czym, kiedy - zgodnie z przewidywaniami - musiał się pozbyć

zapasów z magazynu, zaczął wysyłać te żałosne przedmioty naszym krewnym na Boże Narodzenie. Prezent jeszcze mniej pożądany niż owocowe ciasta mojej mamy. A już nawet nie chcę opowiadać o fretkach.

Złapałam klamrę Coors i cisnęłam ją do pudła.

- Wiesz, czego trzeba wiceprezescie, tato? Muszę odzyskać samochód. Mam dość jazdy autobusem, dzwonienia po taksówki i paradowania le baron z trumną na dachu za każdym razem, gdy muszę ruszyć się z domu.

- Powiedziałem ci, że czekam na część z fabryki - stwierdził, podnosząc klamrę i sprawdzając, czy się nie otarła.

Nie chciałam dłużej tego słuchać.

- Może zabierz swoje klamry do domu - zaproponowałam. - I zacznij wymyślać chwytliwe slogany. Co powiesz na: „Rzuciła cię laska? Dobij się ohydną klamrą do paska”. Albo: „Chcesz ukryć zwały tłuszczu na brzuchu? Kup wielką klamrę obzarciuchu!”

Tata zdawał się trochę obrażony. Ale nie zniechęcał się tak łatwo.

- Dziecko, powinnaś przemyśleć swój stosunek do ludzi. A teraz może wnieśmy ten karton do twojego pokoju i zobaczmy, gdzie da się je upchnąć.

- W moim pokoju? Dlaczego w moim pokoju?

Dzięki przebogatej kolekcji ojca, już prawie nie można tam było wcisnąć szpilki. Nie zliczę, ile razy budziłam się z przyklejonym do policzka średniowiecznym rycerzykiem.

Tata popatrzył na mnie, jakby to było niemożliwie głupie pytanie.

- Bo to miał być mój pokój. Miałaś się wyprowadzić. Ale się nie wyprowadziłaś, jak może zauważyłaś. I myślę sobie, że skoro tak, to mogłabyś trochę pomóc. Nie ty jedna musisz płacić rachunki. Twoja matka ostatnio szaleje w Wal - Mart, widocznie to genetyczne, skoro Hunter jest takim okropnym

dziwadłem. A w dodatku dzięki wam babcia spędzi wieczność w pudełku z tektury.

Rozłożyłam ręce.

- Powiedziałam ci, to był wypadek! Przeprosiłam. Co jeszcze mam zrobić?

Tata niemal dźgnął mnie palcem w twarz.

- Ruszyć tyłek i pomóc.

- Wrr! - zawyłam, zamierzając się na karton z kłamrami. - To takie niesprawiedliwe. Szukam pracy. Wstaję co rano i przeglądam Internet, szukając nowych fantastycznych ofert. Masz pojęcie, jakie okropne są te rozmowy kwalifikacyjne? Czy jestem graczem zespołowym? Czy mam podzielną uwagę? Czy nie mam za silnego uścisku dłoni? Czy się przypadkiem nie garbię? Skąd wiedzą, że zanadto się pocę, skoro na rozmowę pojechałam rowerem? Mam ładne stopy, a jeśli tak, czy mogę wysłać ich zdjęcie? Naprawdę nie trzeba mi jeszcze twoich kazań. Przecież się do cholery staram. Zrobiłam sobie tylko przerwę na lunch.

Jego twarz złagodniała. Miał taką minę, jakby trochę zrobiło mu się mnie żal. Podniósł pudło i jęknął pod jego ciężarem.

- Cóż, może za wysoko ustawiłaś sobie poprzeczkę - powiedział łagodnie.

Ale mnie nie przeszła jeszcze złość.

- Och, czyżby? A gdzie twoim zdaniem powinnam ją ustawić?

Uniósł brwi, namyślał się przez chwilę, po czym na jego twarzy rozlał się uśmiech i ruszył w stronę domu.

Rozdział 12

Witamy w Świecie Walizek - burknęłam w stronę pary w podeszłym wieku, która właśnie przekuśtykała przez drzwi. - Mogę państwu w czymś pomóc?

- Może w znalezieniu walizki? - zapytała starucha, szczerząc duże, białe i, oczywiście, sztuczne zęby.

- Możesz nam pomóc znaleźć walizkę. Chyba je sprzedajecie, prawda?

- Frances, bądź miła - napomniął ją mężczyzna.

- Nie widzisz, jaka smutna jest ta ładna panienka? - Przywitał mnie uniesieniem golfowej czapki, po czym wskazał żonę. - Wstała dziś lewą nogą, biedactwo.

- Nie szkodzi - mruknęłam. Stary miał rację, byłam nieszczęśliwa. Skończyłam uczelnię, marząc o fascynującej, świetnie płatnej pracy, a oto gdzie wylądowałam. Zostałam asystentką sprzedaży w Świecie Walizek, wystrojoną w poliestrowy uniform i zdobywającą szlify pod czujnym okiem ojca, Waltera Malby'ego, menedżera regionalnego i posiadacza tytułu Najlepszego Sprzedawcy Walizek. Próbowałam się pocieszyć, wspominając inne, bardziej upokarzające chwile w życiu. Na przykład kiedy w trakcie skoku z trampoliny spadł ze mnie stanik od kostiumu. Albo dzień, w którym wyszłam z domu w dwóch różnych butach. Imprezę, na której się zalałam i obściskiwałam z jakimś włochatym facetem. Ale żadne z tamtych zdarzeń nie równało się z pracą tutaj.

Poprowadziłam parę do toreb z kwiecistej tkaniny.

- Mamy wyprzedaż. - Kobieta zaczęła sprawdzać zamki błyskawiczne, nieustannie zasysając powietrze przez sztuczne zęby.

- Niedostatki wzornictwa nadrabiają atrakcyjną ceną - pospieszyłam z uwagą. Wyglądali na starych wyjadaczy, więc nawet nie próbowałam silić się na entuzjastyczny ton.

Przyglądałam się, jak mężczyzna próbuje odkryć, w jaki sposób w największej z walizek wyciąga się uchwyt. Nagle nie wiadomo skąd zjawił się ojciec. Pochwycił mnie za łokieć i zaciągnął w alejkę z walizkami Samsonite.

Przysunął swoją twarz do mojej i oznajmił:

- Twoja umiejętność obsługi klienta jest do niczego. Nie utrzymujesz kontaktu wzrokowego i masz beznadziejną postawę. - Odstąpił o krok i otaksował mnie wzrokiem. - I minę, jakby ci kot nasrał pod nosem - dodał.

Ściągnęłam czapkę i podałam mu, pokazując szorstką podszewkę, która torturowała mnie cały ranek.

- Masz pojęcie, jak niewygodny jest ten uniform? Jest tak syntetyczny, że czuję się, jakbym była ubrana w gumową rękawiczkę. Chcę nosić szalową suknię od Diany von Furstenberg i piękne buty, nie jakiś poliestrowy kombinezon i pożyczone od mamy czółenka. Tata wyprostował się, jakby kij połknął.

- Zechciej mieć na uwadze młoda damo, że od dziesięciu lat chodzę w tym uniformie i to dzięki niemu masz co jeść. - Po czym położył mi rękę na ramieniu. - Zrozum - powiedział życzliwiej. - O sukcesie sprzedawcy decyduje pozytywne nastawienie. Popatrz, jak to się robi. Będiesz klientem. - Przykleił do twarzy szeroki, radosny uśmiech i klasnął w dłonie. - Witam, jak się pani dziś miewa? - zapytał. - Wybiera się pani w podróż?

Niechętnie przyłączyłam się do gry.

- Och, no właśnie.

- Dokąd się pani udaje, jeśli wolno spytać? - zapytał tata, wciąż się uśmiechając. W życiu nie widziałam go takiego przyjaznego i trochę mnie to wkurzyło.

- Na Maui - powiedziałam.

Tata jeszcze raz radośnie klasnął w ręce.

- Na Maui! Cudownie! W interesach czy dla przyjemności?

- Hm, w interesach. - Już mnie znudziła ta gra.

- Nie! - wysyczał ojciec. Głos miłego sprzedawcy natychmiast szlag trafił. - Nie jeździ się na Maui w interesach. Powiedz, że dla przyjemności.

- To po co mnie pytałeś?

Ściągnął z półki dużą niebieską walizę Samsonite i zwałił ją z łomotem na podłogę u moich stóp.

- Obserwuj, jak to robię, dobrze? - Wycelował teatralnym gestem w walizkę. - Czy to nie zadziwiające?

Jej gładkie kółka mogą bez końca toczyć się po korytarzach lotnisk. Ma podwójną oś zawieszenia i hamulec, gdy trzeba się szybko zatrzymać na kawę, - Rozsunął ją z widowiskową łatwością. - Proszę spojrzeć do środka, mamy tu nawet skrytkę na kosztowności. - Przerwał i wrócił do roli ojca. - Jeśli się takowe ma. Przypominam ci, że jesteś tu na prowizji. - Wtedy zabrzączał dzwonek u drzwi i ojciec uśmiechnął się radośnie. - Pędź i dopadnij ich, tygrysie - powiedział. - Ja się zajmę staruszkami. I tak szukają byle jakiej taniuchy.

- Okej! - Westchnęłam. Ruszyłam do drzwi z podniesioną głową. Stała w nich kobieta, zwrócona do mnie plecami rozmawiała przez telefon komórkowy. Gdy usłyszałam, że się żegna, przybrałam możliwie najpogodniejszy ton i powiedziałam: - Witam! Wybiera się pani w podróż?

Kobieta odwróciła się i zamknęła z trzaskiem klapkę komórki. Gdy ujrzałam jej twarz, pożałowałam nagle, że w drodze do pracy nie potrafił mnie autobus. Do Świata Walizek weszła właśnie Jessica Bard, śliczna lizuska, i patrzyła na mnie z zaskoczeniem. Miała na sobie elegancki czarny kostiumik, do tego złoty naszyjnik i niebotyczne żółte szpilki.

- Witaj! - zawołała żywo. - Ryden! Nie wiedziałam, że... tu pracujesz. - Rozejrzała się z powątpiewaniem po sklepie i zobaczyłam go jej zimnymi niebieskimi oczami: wyblakła wykładzina, jaskrawo kolorowe wywieszki z napisami „30% zniżki na Luxe Line Bordena i Raty 0%”, ostre światło jarzeniówek, w którym każdy wyglądał na dwa razy starszego.

Rzuciłam okiem na parę starszków, rozpaczliwie poszukując wybawienia. Ale tata pomagał im właśnie przy wyborze lawendowej maskary, więc nie miałam żadnej wymówki, żeby uciec. Odwróciłam się do Jessiki.

- Nie pracuję - zaprzeczyłam. - Nie naprawdę. To chwilowe, pomagam tacie.

- Aha - mruknęła Jessica. - Miło z twojej strony.

Nie umiałam zgadnąć, na ile to stwierdzenie było szczere, ale próbowałam uwierzyć jej na słowo.

- Jak ci idzie w Happerman & Browning? - zapytałam, nie mając wcale chęci usłyszeć odpowiedzi.

Twarz Jessiki pojaśniała.

- Fantastycznie. Naprawdę wspaniale. W przyszłym tygodniu wysyłają mnie na kongres do Nowego Jorku. Dlatego potrzebuję nowej walizki. Bo po podróży do Tajlandii moja stara jest okropnie znoszona. Rodzice zafundowali mi bilet do Phuket w prezencie na ukończenie studiów.

Usiłowałam zachować pozytywne nastawienie.

- Fantastycznie! - Mam nadzieję, że złapałaś tam jakiegoś pasożyta jelit, pomyślałam. Albo chociaż pchły.

- Tak. I jak miło, że w Happerman & Browning dali mi urlop. Po dwóch tygodniach pracy pojechałam na dwutygodniowe wakacje. No dobrze, mogę zobaczyć tę czarną?

Chwyciłam stołek i sięgnęłam, żeby ściągnąć wskazaną przez Jessicę walizkę. Oglądała ją dobrą chwilę, po czym zapytała:

- A tamta szara? - Wskazała przeciwległą ścianę. Wzięłam stołek i przemaszerowałam przez sklep. Jessica z gracją podążyła za mną na swych obcasikach. Bajeczne podróże, wspaniała praca... Wolałabym, żeby ewentualne dalsze rewelacje zachowała dla siebie.

- To naprawdę wymagające stanowisko - oznajmiła moim plecom. - Wiesz, po raz pierwszy w życiu czuję, że stanęłam przed prawdziwym wyzwaniem.

- Snaff nie dała się przekupić bułeczkami? - wymamrotałam pod nosem.

- Czasami chciałabym, żeby zatrudnili jeszcze jednego asystenta. Na przykład ciebie. Miło byłoby z tobą pracować. Mogłabyś mi pomóc przy Jonathanie Micahu Millerze. Niedługo ukaze się jego nowa książka i wcale nie jest taki miły, jakby się wydawało. Wiesz, myślę, że między nami działa efekt synergii. Pamiętasz, jak robiłyśmy razem projekt na pierwszym roku anglistyki, ten esej na temat Piekła Dantego?

- Jasne - odparłam, sięgając po szarą walizkę. Pamiętałam nasz esej. Zatytułowaliśmy go Niebezpieczne konwersacje. Rozmowy Dantego z upadłymi aniołami. Teraz byłam całkiem pewna, że właśnie sama pograżyłam się w którymś z kręgów piekła. - Synergia, mówisz, niech będzie.

- Naprawdę, może coś z tego wyjdzie. Prawdę mówiąc, straszna u nich harówa - powiedziała Jessica, odwracając plakietkę z ceną i unosząc brwi. - Trzysta? To jakaś naprawdę specjalna walizka. W każdym razie wiem, że pewnie ci teraz nie najłatwiej. Weźmy choćby ten strój, wyglądasz w nim jak boj hotelowy. Ale pamiętaj, sukces stoi za staraniami i porażkami. Nawet w słowniku. - Uśmiechnęła się do mnie promiennie.

Wystarczy. Więcej nie zdzierzę. Zerwałam z głowy okropną drapiącą czapkę, rzuciłam nią o podłogę, po czym to samo zrobiłam z poliestrowym mundurkiem.

- Tato! - krzyknęłam. - Klientka czeka! - Po czym jak burza wypadłam ze sklepu.

Kiedy maszerowałam na przystanek autobusowy, czując na twarzy lipcowe słońce, mówiłam sobie, że wolę już chyba sprzedawać ciało na Bulwarze Hollywood niż walizki emerytom i korporacyjnym szczyrom. Jessica Bard! Życzyłam jej, żeby się udławiła tą swoją cholerną bułeczką.

Odsunęłam na bok starą gazetę i usiadłam na ławeczce, czekając na autobus numer 20. Czułam, że zaraz się spiekę, ale w pobliżu nie było skrawka cienia. To naprawdę niesprawiedliwe, pomyślałam. Nowy Jork? Nowa walizka? Jessice Bard wszystko przychodziło tak łatwo. Zdaje się, że przeprowadziła się też do apartamentu w pobliżu Happerman & Browning i pewnie co wieczór popijała na tarasie chardonnay i gratulowała sobie, jaka jest wspaniała. O ile mi wiadomo, jedyne, czego mimo starań nie zdobyła, to Adam. Zadurzyła się w nim na drugim roku i chociaż zaliczyli kilka randek, Adam nie był zainteresowany.

Zapikała mi komórka.

„Ćma czy ślimak?” - przeczytałam.

O wilku mowa. Pytanie było łatwe.

Ślimak. Ślimaki mają własne domy. Nie muszą mieszkać z rodzicami.

„Wiewiórka czy szczur?”

Też łatwe, choć wbrew intuicji.

Szczury nie nabierają się na truciznę. To sprytne bestie.

„Kurczak czy kaczka?”

Westchnęłam. Najwcześniejszy autobus miałam za czterdzieści minut, więc równie dobrze mogłam bawić się dalej.

„Kurczak”. Kurczak przynajmniej ma cholerną pracę.

„Co takiego?”

„Składa jajka!” - odpisałam.

Wtedy telefon zadzwonił i oczywiście to był Adam. Dość często podczas takiej wymiany SMS - ów zawodziła go sławna cierpliwość, bo bardzo wolno pisałam.

- Kaczki też składają jajka - zauważył. - Ale słusznie, nie na taką skalę, jak kury. Po co kurczak przeszedł przez jezdnię?

- Żeby utopić się w stawie po drugiej stronie? - zapytałam ponuro.

Adam nacisnął w telefonie jakiś klawisz i zapiszczało mi głośno w uchu. Robił to za każdym razem, gdy go zdenerwowałam.

- Bo miał na to ochotę, do diabła. Dlatego.

Wokół mojej kostki owinał się strzep gazety uniesiony przez podmuch z zaśmieconego chodnika. Co za bałagan.

- Gadasz jak mój ojciec - powiedziałam, odkopując gazetę.

- Bardzo spostrzegawcze - stwierdził. - Właśnie próbowałem się w niego wcielić. Jak mi poszło?

Zaśmiałam się niewesoło.

- Ech! Nie wiem, czy idziesz na to prawo, czy nie, ale nie próbuj sił w komedii. Chyba nie jesteś gotowy.

- Myślę, że mimo wszystko jestem śmieszny - orzekł Adam i zagrał nutkę na harmonijce. - Tak czy owak, nie po to zadzwoniłem. Chciałem ci przypomnieć o przyjęciu jutro wieczorem - powiedział. - Z okazji zdobycia Bastylli. Na pewno poprawi ci się nastrój.

Obok mnie na ławce przysiadł facet ubrany tylko w spandeksowe legginsy i zaczął oglądać sobie włosy na klatce piersiowej. Odsunęłam się od niego możliwie najdalej.

- Cóż, pogorszyć już się chyba nie może - powiedziałam.

I oczywiście zrobiłam to w złym momencie.

Rozdział 13

Mój escort nadal był w naprawie u taty. Przy czym naprawa oznaczała oglądanie i grzebanie niewłaściwymi narzędziami. Staralam się nie opłakiwać go za bardzo. Pocieszałam się, że kiedyś będę miała lepszy samochód. A ponieważ ten czas jeszcze nie nadszedł, na przyjęcie miał mnie zawieźć Adam.

- Jestem głodny - oznajmił, gdy ruszyliśmy z mojego podjazdu. W swetrze udrapowanym na ramionach wyglądał jak panienka z dobrego domu. Ale w każdej chwili mógł go ściągnąć. - A ty?

- Ostatnio zawsze - odpowiedziałam, otwierając okno. Jego samochód nie miał elektrycznie sterowanych szyb, ale chyba nie powinnam narzekać. - Jedzenie to teraz moja jedyna pociecha.

Kazał mi porzucić melodramatyczny ton i zawiózł nas do swojego ulubionego baru taco, aluminiowej przyczepy w Studio City. Jeździł tam, od kiedy zrobił prawo jazdy i zaprzyjaźnił się z właścicielami. Popołudniami grywał z ich synem w kosza.

. - Adam Davies! - przywitał nas mężczyzna w średnim wieku w poplamionym fartuchu, wycierając do czysta ogrodowy stół. - Dawno cię nie było.

- Witaj, Luisie - powiedział Adam, wysiadając i podając mu dłoń. - Miło cię widzieć. Jak się ma Benetta? A Julio? Mam ochotę na taco.

Luis się uśmiechnął i zanurkował w przerobionej przyczepie kempingowej.

- Świetnie, dziękuję. A kim jest twoja ładna przyjaciółka? Adam otoczył mnie ramieniem.

- Poznaj Ryden. Przyjaźnimy się od wieków, ale nie miałeś dotąd okazji, bo jeszcze miesiąc temu nie lubiła meksykańskiej kuchni. Czy to nie dziwne? Ale w końcu, po

latach namawiania, udało mi się ją przekonać do' taco. I nagle jej się odmieniło. Zasmakowały jej enchi - lady, wszystko.

Luis się roześmiał.

- Nawrócona duszyczka! Takie kocham najbardziej. - Zakrzętał się przy opiekaczu i wkrótce podał nam cztery rybne taco. Na ich zapach pociekła mi ślinka.

Adam zapłacił i usiedliśmy na ławie przy ogrodowym stole. Jedząc, patrzyliśmy na przejeżdżające wolno samochody. Chłopak powiedział szczerą prawdę - jeszcze niedawno nie znosiłam meksykańskiego jedzenia. I dlatego nie czułam się jak prawdziwa Kalifornijka. Teraz jednak uwielbiałam tę kuchnię, a najbardziej pozole. Mogłabym je jeść cały czas, od rana do nocy.

- Więc rzuciłaś Świat Walizek - powiedział, podnosząc strzęp kapusty i wkładając go do ust. - Wyniosłaś się bez pakowania. - Przerwał. - Łapiesz? Bez pakowania.

- Ale komiczne - sarknęłam, wgrzyzając się w taco.

- Chwileczkę, ja bym nie rzucił stałej pracy. Zmierzyłam go wzrokiem.

- Mogę ci przypomnieć, że nie masz stałej pracy? Uśmiechnął się.

- Och, niech ci będzie. Całe dnie się pokładam, próbując się zdecydować, zostać prawnikiem czy gwiazdą rocka.

Polałam taco strumieniem ostrego sosu.

- A ja się pokładam, rozważając, czy może złożyć podanie na stacji benzynowej Shella na mojej ulicy, czy raczej stanąć na rogu z małą tabliczką „Zdolna do pracy”.

Adam przewrócił oczami.

- Nie możemy pogadać o czymś innym? - zapytał. - Rozejrzyj się, świat jest wielki, można rozmawiać o tylu sprawach.

- Na przykład o jakich? Zamyślił się na moment.

- Nie wiem.

- Widzisz? - powiedziałam, szturchając go w ramię. - Nie ma innych tematów.

- Och, już wiem! - zawołał. - Czym wolałabyś być, rekinem czy wielorybem? - Wepchnął do ust ostatni kawałek taco i popatrzył na mnie wyczekująco.

- Wszystko mi jedno - odparłam. - Jedźmy już.

W zapadającym zmroku otoczona wysokim murem potężna fasada McMansion przypominała raczej małe więzienie niż stosowne miejsce na letnią imprezę.

- Ma nawet żelazne kraty w oknach - pokazałam Adamowi, gdy podeszliśmy bliżej.

- Tylko dla ozdoby - odparł. - To stara budowla. W każdym razie pasuje do okazji, prawda? W końcu święcimy szturm na Bastylię i uwolnienie francuskich więźniów.

- Święcimy fakt, że wczoraj dwie godziny miałam pracę - powiedziałam, poprawiając spódnice. Obawiałam się, że może jest za krótka, ale chciałam się pochwalić opalenizną. W końcu czym więcej mogłam się pochwalić w ciągu ostatnich dwóch miesięcy? - Zarobiłam piętnaście dolarów minus podatek. Czyja to impreza?

Podał mi piwo z przyniesionego przez nas sześciopaka, choć jeszcze nie weszliśmy do środka.

- Martina Blacka. - Powiedział to takim tonem, jakbym powinna wiedzieć, kto to taki.

- Kto to?

- Spotkaliśmy go na drugim roku. Jego rodzice są psychoanalitykami i specjalizował się z antropologii.

Przywołałam bardzo mgliste wspomnienie chudzielca z wściekle kręcącymi się włosami i spazmatycznym stylem tańca.

- To ten facet, który tańczy jak nawiedzony? Adam kiwnął głową.

- Gdy go ostatnio widziałem, z trudem się powstrzymałem, żeby nie podbiec i nie włożyć mu portfela między zęby. Bałem się, że odgryzie sobie język.

- W takim razie wiem, o kim mowa. - Martin sprawiał na mnie wrażenie nieudacznika, ale najwyraźniej znał mnóstwo ludzi. Musieliśmy zaparkować sześć przecznic dalej.

- Czy to nie on mawiał, że jedzenie sushi nago to najbardziej podniecająca rzecz na świecie? - zapytałam.

Adam pokiwał głową.

- Zgadza się.

- Nie rozumiem - powiedziałam, otwierając piwo z teatralnym rozmachem. - Jedzenie nago na przykład granatów ma sens, bo pryskają dookoła i człowiek jest cały w soku. Ale rolki ze skóry łososia? Nie widzę powodu.

Adam się zaśmiał.

- Ludzie miewają dziwne erotyczne gusta. Znałem faceta, który lubił patrzeć, jak dziewczyny zdejmują buty, po czym spacerują po patelni z odsmażaną fasolą. Odwróciłam się i popatrzyłam na niego.

- Nabierasz mnie, prawda? Wzruszył ramionami.

- Hej, każdy robi, co lubi. Fetysze są niegroźne.

Postanowiłam zmienić temat, zanim opowie mi o kimś z naszej szekspirowskiej grupy, kto miał erotycznego bzika na punkcie pluszaków albo coś w tym guście. Wiecie, są rzeczy, których lepiej nie wiedzieć.

Podeszliśmy do imponujących drzwi wejściowych. Strzegły ich dwa duże kamienne lwy, jeden w bejsbolówce Dodgersów, drugi z przyklejonym do pyska papierosem.

- Elegancik - orzekł Adam, przekręcając czapkę na ukos. - Tak lepiej stary. Teraz wyglądasz w porzo. - Z zamyśloną miną podszedł do drugiego lwa. - Ale tobie trzeba zabrać tego papierosa. To taki wstrętny nałóg. Co by powiedziała twoja matka? - Wyciągnął rękę i zerwał śliczną różę z jednego z

rosnących obok krzaków. Wsadził ją między przednie łapy zwierzaka. - Teraz dużo lepiej.

- Halo, doktorze Dolittle - powiedziałam, pociągając łyk piwa. - Wchodzimy czy nie?

Adam poprawił odrobinę ułożenie róży, po czym się wyprostował i podał mi ramię. Umieściłam rękę w zagłębieniu jego łokcia i razem weszliśmy do dużego i tłoczego domu chłopaka, który uwielbiał nago jeść surowe ryby.

W olbrzymim zatłoczonym salonie zobaczyłam mnóstwo znajomych z uczelni i Facebooka wylegujących się na skórzanych kanapach i popijających margaritę. Zamachałam do Kena z wykładów ekonomii (o mały włos bym ją oblała) i Julie z naszego seminarium Szekspir i teatr świadomości, ale nie miałam chęci z nimi rozmawiać. Trzymałam się Adama, który właśnie skończył pierwsze piwo i zabierał się za następne.

Z głośników leciał Gold Digger zmiksowany z piątką Beethovena, a na ścianach wisiały świąteczne lampiony. Obok nas przewinęła się jakaś laseczka w spódniczce tak krótkiej, że bardziej przypominała pasek. Zmierzyła Adama wzrokiem i poszła dalej.

- Czy ta dziewczyna mi się przyglądała? - zapytał, przyjemnie połechtany.

Potaknęłam i zdrapałam nitkę z jego koszuli.

- Tylko niech ci to nie uderzy do głowy. Masz koszulę całą w kłakach.

Spuścił wzrok i odczepił kolejną.

- Nie bój się o moją głowę. Z natury jestem skromny i nie lubię przyciągać uwagi. - Podał mi następne piwo, chociaż jeszcze nie skończyłam poprzedniego. - I niezwykle przystojny.

- Och, zamilcz - powiedziałam. Ale zmierzyła go kątem oka. Naprawdę był przystojny, chociaż po tylu latach

znajomości trudno mi było to zauważyć. Inni, patrząc na niego, widzieli wysokiego faceta z gęstą jasną czupryną, zielonymi oczami ocienionymi długimi rzęsami, wydatnymi kośćmi policzkowymi i ładnym, prostym nosem. Ja natomiast widziałam go zwykle takim, jak wyglądał kiedyś: chudzielec o nieco głupekowatej minie, w podkolanówkach i szortach z poliestru, bębniący w klawisze fortepianu w suterenie albo siedzący przy naszym kuchennym stole i obżerający się płatkami cookie crisp, których zakup wyblagałam u matki w nagrodę za plus z kaligrafii na świadectwie ukończenia piątej klasy.

- Coś mi się wydaje, że muszę sobie zaaplikować coś mocniejszego, jeśli mam się na tej imprezie dobrze bawić - stwierdził Adam. - Poszukamy czegoś?

Rozejrzałam się po kolorowym tłumie ludzi opychających się chipsami i prowadzących półpijane towarzyskie pogawędki. Było zupełnie jak... na studiach. Czy nie powinniśmy już nieco wydorosnąć? Zdecydowanie tak.

Przecisnąwszy się przez tłum, dotarliśmy na tylny pokład, gdzie bar - oświetlony lampkami w kształcie papryczek chili - oferował wybór lśniących butelek.

- Wolisz szkocką czy dżin? - zapytał Adam, wyciągając rękę z jednym i drugim.

Podrapałam się w zamyśleniu po brodzie.

- Dżin - zdecydowałam. - Z tonikiem.

- Świetny wybór. Zaraz wracam.

Gdy zajmował się naszymi drinkami, gapiłam się na tłum. Dostrzegłam grupę ludzi skupionych nad butelką SoCo, których jak przez mgłę pamiętałam z seminarium psychologii. I wtedy, szybko i nieprzyjemnie, zostałam przywołana do terażniejszości przez dochodzące znad basenu charakterystyczne ćwierkanie Jessiki Bard.

- Wydzwaniają do mnie - mówiła - bo mają mój życiorys i tak dalej, ale pracuję już w Happermanie, więc powiedziałam im, żeby złożyli lepszą ofertę, to porozmawiamy.

- Tak jest, trzeba walczyć o swoje - przytaknął jej jakiś blondas w koszulce wyciętej w serek. - Dzisiaj inaczej się nie da. Trzeba samemu troszczyć się o siebie.

- Właśnie to mówię - stwierdziła Jessica.

Szli w stronę baru, więc rozejrzałam się, spanikowana, gdzie by się schować. Niedaleko rósł rododendron. Co za różnica, pomyślałam, i zanurkowałam w krzak. Niestety wtedy dostrzegła mnie Jessica. Rozjaśniła się.

- Ryden! Fajnie cię znów tak szybko widzieć! Mały ten świat, no nie?

- Chyba - zgodziłam się, wygrzebując się z krzaka. Gdybym była o włos szybsza, teraz, bezpieczna i niewidoczna, stałabym wśród błyszczących zielonych liści!

- Hej chłopie - powiedział facet w koszulce w serek, podchodząc do Adama. - Nie widziałem cię od czasów wykładów z polityki. Co porabiasz?

Adam podniósł szklankę.

- Próbuję się urząnąć, koleś.

Stłumiłam chichot. Adam nigdy nie używał słowa „koleś”. Chyba że naprawdę kogoś nie trawił.

- Andy - powiedział blondyn, wyciągając do mnie dłoń. - A to Ted i Maureen. - Wskazał dwójkę przyjaciół, stojących za nim z butelkami corony. - Pracujemy razem z Tedem w Global Finance. Ścigamy się, który pierwszy zdobędzie własny gabinet, nie chłopie? - Wymierzył Tedowi udawany cios pięścią. Tamten się uśmiechnął i zrobił unik.

- To będę ja, frajerze - zapowiedział Ted. - Brak ci jaj, żeby przeprowadzać ryzykowne transakcje. - Choć było ciemno opuścił na oczy słoneczne okulary, udając prawdziwego macho.

- Myślę, że są tacy hop do przodu - powiedziała Maureen, zabierając się za talerzyk z plasterkami ananasa. - Tylko dlatego, że pracują w finansach. A mnie się wydaje, że medycyna też jest super.

Adam próbował udąć zainteresowanie. Był z natury uprzejmy.

- Medycyna?

- Johns Hopkins - potwierdziła Maureen, próbując nie okazywać dumy, ale niezbyt jej to wychodziło. - Koleżanka z pokoju idzie na Yale.

Dolałam do szklanki więcej dżinu i dodałam na pokaz odrobinę toniku. Kim byli ci ludzie i niby dlaczego miałyby nas interesować ich życiowe plany? Bardzo chciałabym wiedzieć.

- A ty? - zapytał Andy, wskazując na mnie. - Co porabiasz ładna osóbkko?

Powinłam się spodziewać, że nadejdzie moja kolej. Trzeba się było po prostu schować w tamtym rododendronie, jakkolwiek dziwacznie by to wyglądało. Wyraźnie coś szwankowało u mnie z myśleniem. Inaczej już dawno byłabym w połowie drogi do domu, widząc przed oczami wielką miche przalonej kukurydzy i telewizor włączony na kanał CW.

- Hm... jestem na etapie pomiędzy - powiedziałam. - Szukam... najlepszej okazji, prawdę mówiąc. - Nikt się nie odzywał, więc uznałam, że muszę brnąć dalej. - W trakcie rozmów kwalifikacyjnych poznałam tyle interesujących osób. Tyle ciekawych stanowisk...

- Nie pracujesz już w Świecie Walizek? - niewinnie spytała Jessica.

- Pomagałam tylko jeden dzień ojcu - powiedziałam. - To nie jest moja prawdziwa praca.

- Szkoda, wyglądałaś naprawdę bardzo fajnie w tym uniformie - powiedziała Jessica. - Mało komu do twarzy w poliestrze z mosiężnymi guzikami, ale tobie się udało.

Zapatrzyłam się w górę na ciemnogrnatowe niebo, mając nadzieję, że przybędzie jakiś kosmiczny statek i porwie mnie w swój srebrzysty uścisk. Przez cały tydzień mogliby mnie badać tymi swoimi marsjańskimi instrumentami i nie byłoby to nawet w połowie tak okropne upokorzenie.

- Coś się zdaje, że wcale nie masz pracy - zauważył Andy.

- Ma duży zapis w funduszu powierniczym - przerwał mu Adam, po czym odciągnął mnie nad basen kąpielowy.

Staliśmy w cieniu, wiszący niedaleko sznur świątecznych lampek oświetlał słabo nasze twarze. Zawstydzona zwiesiłam głowę.

- Boże, ale obciach.

Adam objął dłonią mój nadgarstek i ścisnął lekko.

- Nie ma się czym przejmować, może wiedzą, że jesteś bezrobotna, ale przynajmniej myślą, że jesteś bogata. - Uśmiechnął się.

Spojrzałam na niego żałośnie.

- Naprawdę jestem taka niewydarzona, że musisz mnie kryć?

- Chcesz znać prawdę? - zapytał.

- Nie.

Puścił mój nadgarstek i otoczył mnie ramieniem. Oparłam się o niego i poczułam miły zapach płynu do płukania.

- Ryden, wcale nie jesteś niewydarzona - powiedział łagodnie.

- Ale czuję się taką nieudacznicą! Każdy robi coś ze swoim życiem, a ja wszystko knocę.

- Nie jesteś nieudacznicą - nalegał. - Jesteś tylko niekompetentna.

Wlepiłam w niego oczy.

- Żartowałem! - powiedział. Odstąpił parę kroków i skinął, żebym poszła za nim. - Chodź do mnie.

Stałam jak wryta. - Daruj sobie te litościwe uściski. Poklepał się po piersi.

- Chodź tu, ty biedna, żalosna, niewydarzona nieudacznico.

- No dalej, dowcipkuj sobie! Dostałeś się na wydział prawa!

Roześmiał się.

- No tak, i co z tego?

- To znaczy, że jesteś dobry, ustawiony... Cokolwiek. Rano założysz krawat i pójdziesz do pracy, każesz sekretarce umówić cię na lunch, o szóstej zagrasz mecz squasha z kumplem z biura, a potem załapiesz się na happy hour w Senor Swanky i będziesz flirtował z jakąś asystentką o imieniu Marigold.

- Marigold? - zapytał Adam. - W Senor Swanky?

- Właśnie - zawołałam. - Mają świetne happy hours, przeczytałam o tym w „Time Out New York”, gdy byłam u dentysty. A Marigold będzie blondynką i będzie miała duże cycki. I nogi też. I będzie wiedzieć, jak je wykorzystać.

Adam zrobił krok do tyłu.

- O rety! Od kiedy jesteś taka zazdrosna o tę Marigold?

Westchnęłam i pstryknęłam w sznur lampek.

- Nie wiem. Jestem taka zagubiona.

- Słuchaj, może i jestem ustawiony, jak mówisz - powiedział cicho. - Ale to nie znaczy, że będę szczęśliwy. - Stał na trampolinie, która ugięła się lekko pod jego ciężarem. - Chodź tu. Uparłam się.

- Mowy nie ma, nie podejść, żebyś mnie zepchnął.

- Kto mówi o spychaniu? Podejść, chcę ci coś powiedzieć. - Wyciągnął ramiona.

Rzuciłam okiem na ugiętą trampolinę.

- Ta konstrukcja nie wydaje mi się godna zaufania.
- Przestań marudzić i chodź tu. Czy kiedyś cię oszukałem?

Zastanawiałam się minutę.

- Namówiłeś mnie na dwa kurczakowe burrito, a potem zabrałeś na diabelskie koło.

- Touche - powiedział i na wspomnienie tego zdarzenia uśmiechnął się. - Ale naprawdę. No chodź tu.

Więc się poddałam. Zdjęłam buty i weszłam na trampolinę. Od razu poczułam, że to był zły pomysł, wszystko się chwiało.

- No i co chcesz mi powiedzieć?

- Jesteś za daleko. Podejdź bliżej.

- Zabiję cię, i to dwa razy, jeśli mnie tam wrzucisz - ostrzegłam, idąc do niego. - I mam już nawet trumnę, w której cię pochowam. - Kiedy znalazłam się przed nim, oparłam ręce na biodrach i zażądałam: - Teraz gadaj.

Uśmiechnął się szerokim, durnym uśmiechem.

- W przyszły czwartek gram na otwarcie w Mint.

- Nie mów! - wrzasnęłam. - Żartujesz sobie? Nie do wiary! Chrzanić prawo, będziesz słynnym muzykiem! Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej?

Adam przyłożył palec do warg.

- Uspokój się, osiołku. To niekoniecznie oznacza, że nie idę na prawo.

- Więc jednak idziesz na Columbię.

Adam popatrzył na taflę wody. Wydawał się lekko wkurzony.

- Tego też nie powiedziałem.

- Więc co w końcu chcesz mi powiedzieć? Tylko nie wzruszaj ramionami.

Rozłożył ręce.

- Mówię, że nie wiem, co będę robił, Ryden! Nie wiem. Ty poradziłaś sobie z najtrudniejszym. Wiesz, czego chcesz. Daj sobie tylko trochę czasu, żeby to zdobyć. Nie śpiesz się tak. Wszystko się ułoży. Pij swój cholerny dżin i spróbuj się dobrze bawić. Przecież jest lato, a my jesteśmy na imprezie w Los Angeles. To dzień zdobycia Bastylii. Tam stoi facet w berecie, z kołem sera brie i zaraz będzie nam życzył bonsoir. Czego więcej ci trzeba?

Popatrzałam za palcem Adama. Rzeczywiście był tam facet w berecie i tańczył z wielkim kołem brie do muzyki ABC Jackson 5. Skąd Martin wytrzasnął tych ludzi?

- Potrzebuję pracy, żebym nie musiała zostać czeladniczką u zebrzącego klowna - powiedziałam, ale mój głos stłumiła pierś Adama, kiedy przyciągnął mnie i mocno przytulił.

Rozdział 14

Z niedzielnych śniadań mama zawsze robiła wielkie halo. Gdy chodziłam do liceum siadywaliśmy wszyscy przy stole i jedliśmy jajka na bekonie, a tata bezskutecznie próbował rozwiązać krzyżówkę, prosząc nas przy każdym haśle o pomoc. Jednak ostatnio niedzielne śniadania całkiem się posypały, bo tata siedział w garażu i eksperymentował z moim samochodem, a babcia na górze, pisząc i zmieniając swój testament.

Dziś rano mama postanowiła się poświęcić i zrobić gofry.

- Hunter - powiedziała srogo - nie możesz się bujać, kiedy gotuję.

Mój młodszy brat, przyczepiony do jej stopy niczym narośl, popatrzył w górę.

- Pokołysz mnie! - zawył.

- Jezu Chryste! - Westchnęła, otwierając i zamykając drzwi od serwantki. - Och! - Przepraszam za język. Hunter wzruszył ramionami.

- Guzik mnie obchodzi twój język.

Dolała wody do proszku Bisquick. Hunter nadal trzymał jej nogę.

- Przysięgam - powiedziała - to jest nie do wytrzymania. Ryden, byłaś takim rozumnym dzieckiem. Może przemówisz bratu do rozsądku?

Przerwałam bezowocne przeglądanie ogłoszeń i podałam Hunterowi pomarańczę.

- Masz, mały potworku - powiedziałam kusząco. - Chodź zjedz pomarańczę!

Hunter w odpowiedzi pokazał mi język, uparcie klejąc się do matki.

- Chłopcu potrzeba trochę moresu - zawyrokowała babcia. Wparowała do kuchni z okularami słonecznymi Jackie O

osadzonymi na niebieskiej trwałej. - Hunter, puść nogę matki albo zjem twój mózg.

Chłopak popatrzył na nią wytrzeszczonymi, przerażonymi oczami i szybko zlął na podłogę.

- Piękna metoda - powiedziała cicho mama, patrząc za nim, gdy zniknął w salonie. - Dzięki Maureen. To daje dodatkowy rok terapii.

Babcia wbiła palec w rzadkie ciasto na gofry i się skrzywiła.

- Jego czy twojej?

- Nas obojga - powiedziała mama, odganiając babcię od miski. - Sama widzisz, Hunter to nie bułka z masłem. Jest... inny.

- Ale z ciebie Sherlock - powiedziała babcia, podchodząc i siadając obok mnie przy kuchennym stole.

- Doskonale o tym wiem. Wiecie, że wczoraj w salonie kosmetycznym pozbierał spinki do włosów, przywiózł je do domu i umieścił w pudełku. Przykrył je kocem i postawił miseczkę mleka. Mama westchnęła.

- Chyba naprawdę chce królika. Ale nie jestem przekonana, czy jest gotowy na taką odpowiedzialność.

- Rozpieszczasz go, Carmello! Chcesz, żeby stał się z czasem jeszcze większym maminsynkiem?

- Nie rozpieszczam go - zaprotestowała mama. - Poza tym możesz mówić ciszej?

- Widzisz? Rozpieszczasz go.

- Prawdę mówiąc, babciu... - wtrąciłam się, kładąc dłoń na jej sękatych dłoniach. - Nie wydaje mi się, żeby można nazwać rozpieszczaniem fakt, że mama nie chce, żeby Hunter słyszał, co o nim wygadujesz. Myślę, że to po prostu, no wiesz... humanitarne.

Babcia prychnęła.

- Nie znam tego słowa - powiedziała. Co bez wątpienia było kłamstwem.

- Po prostu martwię się o Huntera - stwierdziła mama, wlewając ciasto do gofrownicy. - Wydaje mi się trochę... dziwny. Wyjątkowo dziwny.

Babcia wyprostowała się na krześle i stuknęła pięścią w stół.

- Jasne, że jest dziwny! Powinien być. W końcu to Malby. Dziwność jest dobra. Świadczy o kreatywności.

Mama wcale nie wyglądała na pocieszoną. Nalała do szklanki sok pomarańczowy i postawiła na stole przede mną.

- Witamina C - powiedziała. - Wypij szybko.

Wtedy do kuchni wszedł tata z zadowoloną miną, nucąc melodię z Odysei kosmicznej 2001. Fałszował.

- Ryden! - zawołał, przerywając muzyczny występ.

- Chodź, musisz to zobaczyć.

Niechętnie uniosłam się z krzesła. Oczywiście, cokolwiek chciał mi pokazać, należało poczekać, aż pożre gofra prosto z gofrownicy. Bez widelca, bez syropu, jak leci.

- Chodź ze mną - powiedział z pełnymi ustami.

- Tylko nie siadaj mu na stopę jak twój braciszek - poprosiła babcia, ale nie zaszczyciłam tej uwagi komentarzem.

Tata popił suchego gofra szklanką mojego soku pomarańczowego, po czym wytarł usta w rękaw.

- Wy też chodźcie. Carmello, kochanie, zostaw na chwilę tę kuchnię. Mam wam do pokazania coś wielkiego!

Przywykliśmy już do pokazowych sesji taty. I chociaż nigdy nie warte były zamieszania, nie chciałyśmy robić mu przykrości. Nawet jeśli - tak jak w miniony weekend - wezwał nas na dwór, żeby pokazać, ile wy pielł mleczów. Posłusznie ruszyłyśmy za nim gęsiego przez drzwi na podwórze. Tata teatralnie nacisnął guzik pilota i drzwi garażu wolno się

podniosły, ukazując mój samochód. Lśnił jak wypolerowany i znów był cały.

- Nie wierzę! Naprawdę go naprawiłeś?! - krzyknęłam.

Tata dumnie kiwnął głową.

- Twój ojciec nie rzuca słów na wiatr. Teraz wsiądę i odpalę silnik, a wy posłuchajcie jak pracuje. - Podniósł maskę. Posłusznie podeszłam i stanęłam przed nią, patrząc na zaczynający się obracać pasek i drgający, mruczący silnik. To był cud! Klasnęłam w ręce.

- Wiedziałam, że ci się uda! - W najmniejszym stopniu nie było to prawdą. Nawet przez chwilę nie wierzyłam, że kiedykolwiek usiądę jeszcze za tą kierownicą. Ale uznałam, że teraz, kiedy samochód wrócił do życia, równie dobrze mogę wykazać się pozytywnym podejściem.

- Tak! - krzyknął tata. - Podkręcę gaz i zwiększę obroty maleństwa! - Silnik zajęczał. - Ju - hu! - zawołał.

Nachylił się, manipulując przy desce rozdzielczej czy może przy dźwigni biegów, trudno to było określić, po czym nastąpił dziwny szczeł. Następne, co zobaczyłam, to że mój samochód wyjeżdża tyłem z garażu, przewracając po drodze pojemnik na śmieci. Po czym zjechał podjazdem i bynajmniej nie zatrzymał się na chodniku. O, nie! Jechał dalej, póki nie rąbnął w krawężnik po drugiej stronie ulicy i nie uderzył w olbrzymi sagowiec państwa Ubbinsów.

Usłyszałyśmy plaśnięcie.

I wtedy na podjeździe zobaczyłam małą kocią kupe, a obok niej plamę rozjechanego szarego futra.

Cholera!

- Boże kochany! - zawołała mama, zakrywając dłonią usta. Babcia zakryła twarz rąbkiem sukni i wyzierała zza niego ostrożnie. Poczułam mdłości i wyciągnęłam rękę do mamy, żeby się nie przewrócić.

- Kot Davida - wyszeptałam.

Stanąłszy nad nim, niepewne, co zrobić. Babcia otarła oczy.

- To okropne. W jednej chwili sobie żyjesz, biedny zwierzątku, niewiniątko, które nawet muchy by nie skrzywdziło... - Znow zasłoniła twarz, uciekając od widoku jatki. - A w następnej giniesz, zamordowany przez mojego syna, Waltera Malby, człowieka, który naprawił samochód tylko po to, żeby zaraz znow go zepsuć.

Bardziej niż był popsuty wcześniej, należy dodać sprawiedliwie.

- To był wypadek! - krzyknął tata. - Jasne, że to wypadek. Ryden, dlaczego mi nie powiedziałaś o tym kocie?

Rozłożyłam ręce.

- Więc to moja wina? Nawet nie widziałam tego cholernego zwierzaka, bo kazałeś mi słuchać pracy silnika! - Byłam wściekła. To takie do niego podobne zwalać winę na kogoś innego. Gdyby kręcił się tu Hunter, zamiast gapić się na górze w telewizor, tata pewnie jego obarczyłby winą. Powiedziałby, że przejechał kota bo rozproszył go syn dziwak.

- Och, więc nie umiesz robić dwóch rzeczy naraz? Nie mogłaś rozejrzeć się trochę w lewo i prawo?

Przenosiłam wzrok z martwego zwierzęcia na mój roztrzaskany samochód i z powrotem.

- To żalosne! Nie cierpiałeś tego kota! Powiedziałeś, że go rozjedziesz i tak zrobiłeś!

Tata pokiwał mi palcem.

- Ciszej!

Zerknęłam ukradkiem na zasłonięte okna domu Davida, a mama przeczesła palcami krótkie czerwone włosy, co robiła zawsze, gdy była zdenerwowana.

- Powiedziałeś, że zamordujesz tego kota, jeżeli jeszcze raz napaskudzi - zauważyła.

- To był cholerny wypadek! - krzyknął ojciec, nie przestrzegając własnego nakazu, żeby ściszyć głos.

- Dobrze, dobrze - powiedziałam. - Uspokójmy się wszyscy. Ktoś musi pójść powiedzieć sąsiadowi.

Popatrzyłyśmy na ojca, ale cofnął się, kręcąc lekko głową.

- O, nie! - zaprotestował. - Nie chcę.

- Ale musisz. Ty jesteś za to odpowiedzialny - oświadczyłam.

Popatrzył na nas - córkę, żonę, matkę - i zobaczył, że jest trzy do jednego.

- Co mu powiem? Jak to zrobić? - Wpatrywał się w kota, rozpląszonego jak puszysty dywanik. Po chwili podniósł wzrok i popatrzył na nas, z wyraźnie rozjaśnioną twarzą. - Już wiem! Zaśpiewam. „Zgadnij, kto twojego kota zabił dziś, trala la, trala la, zgadnij, kto go zabił dziś, tralalala dziś!”

- Nie zaśpiewasz mu - wysyczałam, łapiąc go za łokieć. - Chodź, pójde z tobą. Mamo, możesz zadzwonić do assistance i wezwać pomoc drogową? I może zechcesz przeprosić Ubbinsów za wgniecenie w palmie.

Powlekliśmy się z tatą przez trawnik i pełni obaw stanęliśmy na ganku Davida. Zastukałam cicho w drzwi, bo tatę stać było pewnie tylko na zwykle - bum, trara, bum, bum, bum! - radosne pukanie, nie bardziej stosowne do okazji niż piosenka „Zgadnij, kto twojego kota zabił dziś”.

Po chwili drzwi się wolno otworzyły, ukazując ogorzałą, zaspaną twarz Davida. Wstrzymałam oddech. Jakoś zapomniałam, jaki z niego przystojniaczek.

- Witam - powiedział uprzejmie.

- Pański kot zdechł - wypalił ojciec. Skuliłam się i uniosłam ręce.

- Chcę powiedzieć, że...

Ale tata brnął dalej.

- Przejechałem go. Niechcący. David stał nieruchomo, kompletnie ogłuszony:

- Naprawdę bardzo nam przykro - dodałam. - Czujemy się okropnie. - A kiedy tata się nie odzywał, kopnęłam go w goleń.

- Tak - powtórzył jak papuga. - Czujemy się okropnie. David wyszedł na ganek. Miał na sobie wymięte spodnie khaki i spraną koszulkę.

- Gdzie on jest?

- Na naszym podjeździe - powiedział tata. - Przyczepił się, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

- Jezu, tato! - jęknęłam. - Umiesz być jeszcze bardziej niestosowny? - Odwróciłam się do Davida. - Przyniesiemy go panu - powiedziałam. - Włożymy go do pudełka i będzie pan mógł... Nie wiem... pożegnać się z nim czy coś w tym stylu. - Prawie się rozplakałam. Tak naprawdę też nie lubiłam tego kota. - Ugryzł mnie kiedyś, gdy próbowałam go pogłaskać. Ale czułam się okropnie, że stracił życie.

David spuścił wzrok na swoje bose stopy. Na pewno był zmartwiony, ale pewnie nie chciał tego po sobie pokazać.

- Tak - powiedział łagodnie. - pewnie tak będzie najlepiej.

I w taki oto sposób cała rodzina Malbych stała nad dziurą, wykopaną przez tatę na podwórku Davida. Z naszego przenośnego stereo płynęło smętne Memory z musicalu Koty (dzięki uprzejmości Huntera, który miał kolekcję różnych płyt. W większości była to muzyka z broadwayowskich musicali. Znał na pamięć Les Miserables, a teraz słuchał Jezus Chrystus Superstar i Spamalot).

David nerwowo przestępował z nogi na nogę. Oczy miał czerwone i zapuchnięte.

- Chciałby pan coś powiedzieć albo... hm, no... powiedzieć? - zapytał tata.

- Sąsiad mrugnął, zaskoczony.

- Buster był dobrym kotem - rzekł w końcu. - Przykro mi, że zginął w taki okropny, gwałtowny sposób.

- Przykro mi, że wciąż srał na moim podjeździe - usłyszałam mamrotanie ojca.

- Będzie mi go brakowało - ciągnął David.

- Zawsze możesz wziąć następnego - uprzejmie podpowiedział Hunter. Nie bardzo zmartwił się wypadkiem Bustera. Wierzył, że kot jest teraz w lepszym miejscu i w kocim niebie goni za anielską myszką.

Babcia potrzęsnęła współczująco głową. Włożyła ogromny czarny, bardzo pogrzebowy kapelusz i jasno pomarańczową welurową podomkę (z końca lat sześćdziesiątych).

- Nie powinien brać nowego - wtrąciła. - Koty są dobre dla grubych samotnych kobiet i homoseksualistów.

Skuliłam się, ale ugryzłam w język. Gdybym zwróciła jej uwagę, mogłoby się skończyć gorzej. Dobrze przynajmniej, że nie powiedziała „pedałów”.

Tata zrobił krok do przodu i podał sąsiadowi pudełko z kotem. Na wieczku widniał napis „Ś+P Señor Gato”. Kocie zwłoki leżały w kartonie po pizzy Domino, taki nieszczęśnik był płaski.

Czułam się, jakbym grała rolę w jakimś absurdalnym dramacie. Chwyciłam brata za rękę i patrzyłam, jak David powoli wkłada pudełko do dołka. Weszło na parę centymetrów i utknęło.

- Jest za duże - stwierdził Hunter oczywisty dla wszystkich fakt.

David lekko je obrócił, próbując wpasować w dziurę, a mój ojciec pochylił się i za pomocą kielni próbował ją nieco poszerzyć.

Ale metoda ta okazała się jak dla niego zbyt mało efektywna, więc po chwili się wyprostował, otrzepał rękę, po

czym zaczął deptać po pudełku, wciskając pozostałości
biednego kota do jego mogiły

Babcia sapnęła i chwyciła się za serce.

- Niedługo zrobi to samo ze mną - szepnęła przerażona. -
Zdepcze moją twarz i zasypie ją ziemią.

Och mój Boże! - pomyślałam, gorzej już chyba nie
będzie?

Założę się, że znacie odpowiedź. Bo kiedy w grę wchodzi
moja rodzina, zawsze może być gorzej.

Kiedy tata zaczął sypać łopatą ziemię na pudełko,
zauważył, że wciąż jest do niego przyklejony talon zniżkowy
na pizzę. Wszedł do dziury.

- Dwadzieścia pięć procent zniżki! Dzięki, Buster! -
powiedział wesoło i schował talon do kieszeni.

Rozdział 15

Cały dzień czułam się okropnie, myśląc o Davidzie i jego biednym kocie. Uznałam, że powinnam pójść do niego i trochę go pocieszyć. Koło obiadu włożyłam ładną letnią sukienkę na ramiączkach i udałam się do Davida. Chyba miałam też inne motywy, bo wzięłam ze sobą butelkę wina. Miałam zamiar zaoferować ją na przeprosiny, ale jeśli, powiedzmy, zdarzy się, że David zaprosi mnie do siebie, żeby wypić ją razem, na pewno nie odmówię. Ostatnim facetem, z którym poszłam na randkę - teraz oczywiście to nie randka - był Billy Stephens. Pracował w kafejce studenckiej w kampusie i cały wieczór spędziłam, wysłuchując jego przechwałek, jaki to z niego wspaniały snowboardzista.

Gdy David otworzył drzwi, podałam mu wino.

- Nie umiem powiedzieć, jak bardzo mi przykro - oznajmiłam. - Z powodu tego wszystkiego. Pańskiego biednego kota, tego horrendalnego pogrzebu urządzonego przez mojego ojca i w ogóle mojego szalonego ojca. Przykro mi, że za sąsiadów ma pan kompletnych wariatów. Nie wiem, jak pan to znosi. Nawet nie poskarżył się pan na tę fioletową trumnę, która stoi na środku naszego trawnika. David się uśmiechnął.

- Cóż, niezłe cacko - powiedział. - Znaczy się to, co z niej zostało.

Odwzajemniłam się uśmiechem, ale nie byłam pewna, co powiedzieć dalej.

- Zjesz obiad? - zapytał, odbierając mi wino. Zaproszenie mnie ośmieliło.

- Zależy, co będzie.

- Naleśniki - oznajmił. - Lubię śniadanie na obiad.

- Śmieszne - stwierdziłam. - Ja lubię obiad na śniadanie.

Zwłaszcza resztki pizzy. - Skuliłam się, myśląc o Busterze w

poplamionym papryką pudełku po Domino. - Um... Mam na imię Ryden - przedstawiłam się.

- Ryden Malby.

- Wiem. Już mi kiedyś mówiłaś - przypomniał.

- Przynajmniej, że na imię ci Ryden. Nazwisko znam z waszej skrzynki pocztowej, taki jestem sprytny. - Odsunął się i wprowadził mnie do środka. - Tak czy owak, zapraszam, Ryden Malby.

Gdy weszłam do jego salonu doświadczyłam dziwnego, oszałamiającego uczucia.

- Ale to dziwne - powiedziałam, kręcąc głową. - Tu jest dokładnie jak u nas, tyle tylko że wszystko jest odwrócone. Na przykład my mamy korytarz z tej strony, a okno wykuszowe z drugiej.

- Naprawdę tak samo?

- Cóż masz lepszy gust niż moja rodzina - przyznałam. - U nas w salonie wisi antyrama ze sklepowym obrazkiem kotka.

Roześmiał się.

- Żartujesz.

- Trochę. Ale mamy mnóstwo obrazów z wiatrakami. Tata przez chwilę niezwykle się nimi interesował. - Zrzuciłam sandały i wcisnęłam palce stóp w puszysty nowy dywan. - Nasze dywany też są kompletnie niedobre. Po etapie tureckich kilimów przeszliśmy na sizal i bambus. Wiesz, że z włókna bambusowego robi się dywany?

- Twój ojciec jest... unikatem - dyplomatycznie powiedział David.

- Tak też można to ująć. - Poszłam za nim do kuchni i patrzyłam, jak wlewa ciasto na elektryczną blachę do pieczenia. - Nie używasz bisquick? - zapytałam.

Pokręcił głową.

- Nigdy. To tragedia nie umieć samemu zrobić ciasta na naleśniki czy gofry. Przecież to tylko cztery składniki.

Zamieszałam ciasto w ładnej niebieskiej misce.

- Nie mów tego mojej matce. Jej zdaniem bisquick to ciasto domowe. I jeszcze mówi, że powinniśmy się cieszyć, że nie serwuje nam zamrożonych.

- Kluczem do doskonałego naleśnika, poza ciastem, jest obrócenie go dokładnie we właściwej chwili. To naprawdę sztuka. Używałem do tego minutnika, ale teraz umiem na wyczucie. - David wsunął łypatkę pod naleśnik i podrzucił go umiejętnie, ukazując piękną złotą powierzchnię.

- Jestem pod wrażeniem - powiedziałam.

- Taki był plan - odparł.

Zwiedziłam kuchnię i wsadziłam głowę do jadalni, podziwiając modernistyczne lampy z połowy wieku, wiszące na ścianach obrazy i solidne półki z drewna tekowego. To było mieszkanie osoby prawdziwie dorosłej i obdarzonej dobrym smakiem. Gdy dotknęłam palcami liści jakiejś rośliny, zdałam sobie sprawę, że chciałabym mieć taki dom. Urządzony przez siebie.

Kiedy nałożył na talerze stosy parujących, pachnących wanilią naleśników, zaprosił mnie do salonu..

- Nie lubię jadalni - powiedział. - Czuję się tam zbyt formalnie. A na dodatek znajomy wypożyczył wszystkie krzesła na sesję zdjęciową, więc trzeba by jeść na stojąco.

Wskazałam stertę kolorowego plastiku pod jedną ze ścian.

- Co to takiego?

- To? Kanapa. Przyjrzałam się jej dokładniej.

- Wygląda jak olbrzymia piłka plażowa. - Okropnie się klóciła z resztą wnętrza.

David podszedł do niej, nacisnął guzik i plastik zaczął się wypełniać powietrzem.

- Nadmuchiwana kanapa jest dwa razy tańsza od normalnej, łatwo ją schować w szafie czy pod łóżkiem, a w razie powodzi można jej nawet użyć jako szalupy ratunkowej - powiedział sztucznym wazeliniarskim tonem. Potem usiadł i poklepał miejsce obok siebie. - Siadaj, wypróbujesz.

Zrobiłam to z wahaniem. Nie chciałam, żeby zapadła się pode mną, bo nie sprawiała wrażenia solidnej.

- I jak?

- Czuję się trochę jak na nadmuchiwanej tratwie czy czymś takim.

- Tyle że nie jesteś na basenie i nie popijasz daiquiri. Jest do niczego.

Roześmiałam się.

- To po co ją kupiłeś?

- Nie kupiłem. Reżyserowałem film reklamowy.

Przyjrzałam mu się baczniej. Był taki opalony, wysportowany. Chyba uznałam, że się wspina, jest instruktorem tenisa albo kimś takim.

- Rety! Więc tym się zajmujesz. Brzmi interesująco.

- Niespecjalnie - stwierdził David, podnosząc widelcem do ust ostatni kęs naleśnika. Jadł bardzo szybko. - Szczerze mówiąc, to okropna robota. Dokładka?

- Dzięki, jeszcze nie uporałam się z tymi. Jak zacząłeś się tym zajmować?

Odchylił się i kanapa skrzypnęła głośno.

- Chciałem zostać reżyserem filmowym. Niezależnych, niskobudżetowych filmów. Potrzebowałem wizy uprawniającej do pracy. Ale przyjechałem tu goły, i to była szansa.

- Rozumiem - powiedziałam, upijając łyk wina. Ku mojemu zdziwieniu nawet nieźle komponowało się z naleśnikami. - Masz pensję i dostęp do sprzętu potrzebnego, żeby nakręcić własny film. To ma sens.

David kiwnął z roztargnieniem głową.

- Potem, buch! Minęły trzy lata, a ja kręcę reklamówki krzesel Hula Chair i automatycznej szczoteczki do zębów o nazwie Dent - A - Fun 2000. I nie przestanę, bo już się przyzwyczailem do stałych dochodów. Nie mógłbym spłacać kredytu hipotecznego, pracując jak Quentin Tarantino czy w wypożyczalni wideo, jednocześnie kręcąc swoje arcydzieła. - Wziął mój talerz i poszedł do kuchni. - Jak to się mówi? Złote kajdany? - zapytał przez ramię.

- Mnie nie pytaj - powiedziałam. - Nie mam specjalnych doświadczeń ze stałymi dochodami. - Słyszałam, jak krząta się po kuchni, i upiłam jeszcze trochę wina. Obawiałam się, że będę zdenerwowana, ale nie byłam. Na jednej z półek zauważyłam zdjęcie Davida trzymającego na kolanach ładną dziewczynkę ze ślicznymi ciemnymi włosami. - Co to za dziewczynka? - zagadnęłam.

David wrócił, wycierając ręce w ścierkę.

- Moja córka. Carolina. Właśnie skończyła cztery lata. To zdjęcie zrobiliśmy podczas wycieczki do Peru.

Rozejrzałam się po pokoju, szukając innych oznak bytności dziecka, ale nic nie znalazłam.

- Och! Ona tu nie...

David uśmiechnął się smutno.

- Mieszka ze swoją matką, w Brazylii. Jesteśmy po rozwodzie.

- Tak mi przykro - powiedziałam, choć wcale tak nie było. W każdym razie nie z powodu rozwodu. - Pewnie często do niej jeździsz. - Próbowałam przybrać pogodny ton.

Popatrzał w zamyśleniu na swoje dłonie. Miał krótkie, bardzo czyste paznokcie.

- Nie widziałem jej... jedenaście miesięcy. Och Boże! - powiedział, dotykając czoła. - To już prawie rok. - Milczał przez chwilę, po czym chyba otrząsnął się ze smutnych myśli.

- Wystarczy o mnie. Kolej na ciebie. Co porabia Ryden Malby ze swoim życiem?

Westchnęłam.

- Naprawdę nie rozumiem, dlaczego ostatnio wszyscy mnie o to pytają. Ale wiesz co? Jest wspaniale, naprawdę rozkosznie. Dostałam kosza we wszystkich czasopismach i wydawnictwach w całym Los Angeles, a do tego w dwóch agencjach ubezpieczeniowych. Rozwalono mi samochód. Potem tata go naprawił, a następnie wjechał nim w drzewo. Straciłam pracę sprzedawcy walizek. I mieszkam z rodzicami. No i z babcią, która umie być podła jak żmija, i młodszym bratem, który niewykluczone, że jest kompletnie obłąkany.

David się zaśmiał.

- Życie jak w bajce - stwierdził. Popatrzał na mnie oczami, które były ciemne i, nie chcę prawić komunałów, płomienne. Naprawdę, zarzyły się jak małe czarne węgielki.

Wyprostowałam się, upiłam pokaźny łyk wina. Zobaczyłam, że zauważył moje nogi i wyciągnęłam je nieco ostentacyjnie. Nie miałam pojęcia, do czego to wszystko zmierzało, ale po raz pierwszy od tygodni dobrze się bawiłam.

- To całe bycie absolwentką niedokładnie wygląda tak, jak planowałam, to na pewno - przyznałam.

David nie spuszczał wzroku z moich łydek.

- Ale nic nigdy nie wypada tak, jak planujemy, prawda? - zauważył cicho.

Odchyliłam się na oparcie plastikowej kanapy i zamknęłam oczy.

- Byłam taka pewna, że będę robić coś niesamowitego - wyznałam. - Albo przynajmniej cokolwiek. A teraz? Mam się zatrudnić w sekstelefonie? Podobno tam zawsze szukają ludzi.

David odchrząknął.

- Posłuchaj - powiedział. - Wiem, że to nie rozwiąże problemu, ale jeśli potrzebujesz czegoś tymczasowego,

zawsze możemy zatrudnić dodatkową asystentkę planu. Asystent produkcji, wiesz, co to takiego? Pracy jest niewiele i pieniądze niewielkie, ale będziesz mogła odpocząć od domu. Mogę zaczepić cię przy następnym projekcie. Zaczyna się na początku sierpnia.

Ta propozycja mnie poruszyła.

- Naprawdę? - spytałam, odwracając się do niego. To było już za tydzień, co oznaczało tylko siedem dni nudy. - Zrobisz to dla mnie?

- Jasne - odparł. - Lubię pomagać przyjaciółom. A teraz, skoro to załatwiliśmy, zajmijmy się czymś przyjemnym.

- Chętnie, na przykład czym? - zapytałam, czując się z każdą minutą coraz lepiej.

Pochylił się w moją stronę.

- Na przykład twoimi uszami. Posłałam mu podejrzliwe spojrzenie.

- Czego chcesz od moich uszu?

- Nic, są po prostu fantastyczne - powiedział, wyciągnął rękę i dotknął jednego koniuszkiem palca.

- Jesteś jakimś zwariowanym fetyszystą? - zapytałam frywolnie. Chociaż może w głębi duszy odrobinę się zaniepokoiłam. W końcu wiedziałam, że istnieją faceci, którzy lubią fasolę na kobiecych stopach i wypchane żyrafaćka.

David się roześmiał.

- Nic z tych rzeczy. Po prostu masz doskonałe małe uszka. Nieskazitelne, zdumiewające małe uszka.

Nikt, w całym moim życiu, nie zwrócił jeszcze uwagi na moje uszy. Nieważne, czy naprawdę są ładne czy brzydkie. Kogo to obchodzi? Liczy się tylko to, że podziwia je ten zachwycający Brazylijczyk, a ja czuję w sobie ciepło wina i pierwszy od tygodni powiew optymizmu. Wstrzymałam oddech, nachyliłam się i pocałowałam go w usta.

Chyba go zaskoczyłam, ale szybko doszedł do siebie. Chwilę później we włosach poczułam jego dłonie. Objęłam go w pasie i smakowałam słodki syrop klonowy i wino na jego wargach.

Przytulił twarz do mojej szyi i poczułam, że jego dłonie wędrują w górę moich nóg, muskając mnie i łaskocząc tuż przy rąbku sukienki, po czym suną wyżej i wyżej. Łagodnie zepchnęłam go z siebie, a gdy oparł się o skrzypiącą plastikową kanapę, przerzuciłam przez niego nogę i usiadłam mu na kolanach.

Pochyliłam się, żeby go pocałować, i poczułam sosnowy zapach skóry. Jego dłonie powędrowały w górę moich pleców i zaplątały się w moich włosach.

Długo nikogo nie całowałam. Szybko się zadyszałam.

- Wargi też masz doskonale - wyszeptał David. - A usta i język...

- Mmm... - mruknęłam, pochylając się, żeby go pocałować w szyję.

Poczułam, jak jego ręce sięgają, żeby rozpiąć stanik. Zrobił to umiejętnie. Byłam gotowa odrzucić wszelkie skrupuły i zdjąć sukienkę przez głowę, gdy za plecami usłyszałam jakieś hałasy. Nie zwróciłam na nie uwagi. Tylko na chwilę przestałam go całować. W następnej podciągnęłam sukienkę, a David wyciskał na mych piersiach słodkie pocałunki...

- Co tu się u diabła wyrabia?

Na środku salonu stał mój ojciec, przypominając do złudzenia gotującego się do szarży nosorożca. Za nim zatrzymała się matka z półmiskiem babeczek, a na końcu babcia i Hunter, oboje z pękiem stokrotek z naszego ogrodu.

- Och, ja cię pieprzę! - warknął David.

- Ale nie mnie, ktoś mnie uprzedził! - zawołała zadziwiająco nieporuszona babcia.

Opuściłam sukienkę i zesłam z kolan Davida.

- Co tu robicie? - zapytałam. Moja twarz była szkarłatna, czułam, jak piecze.

- Przyszliśmy złożyć kondolencje - powiedziała ciężko matka. Tata był też czerwony na twarzy i chyba zbyt wściekły, żeby się odezwać.

- Mogliście zapukać. - Zjeżyłam się. - Tak zwykle zachowują się ludzie.

- Czułem, że coś tu kombinujecie! - wrzeszczał tata. - Rozwaliłbym drzwi, więc cieszcie się, że były otwarte!

Odwróciłam się do Davida, mówiąc bezgłośnie: „Przepraszam, przepraszam”. Uśmiechał się słabo i mam nadzieję ze współczuciem.

- Czas na mnie - oznajmiłam bezradnie.

- Oczywiście.

- Dzięki za naleśniki - szepnęłam, po czym popchnęłam rodzinę ku drzwiom.

Mama postawiła na stole w przedpokoju talerz z babeczkami, ale tata go zabrał.

- Zboczeńcom seksualnym nie zostawia się babeczek - mruknął.

Chciałam zaprotestować. Moment, David nie jest zboczeńcem! To ja do niego przyszłam! Ale pomyślałam, że lepiej nie walczyć. Lepiej wyprowadzić go stamtąd jak najszybciej.

Gdy znaleźliśmy się na dworze i wracaliśmy do domu, Hunter szarpnął mamę za sukienkę.

- Co oni robili? Czy Ryden uprawiała z tym panem zapasy? Lubię zapasy. Dlaczego nie wolno mi walczyć? Jestem dobrym zapaśnikiem.

Matka rzuciła mi spojrzenie, które mówiło: „Teraz będę musiała go okłamać!”

- Tak, Hunterze - powiedziała. - Twoja siostra i ten pan bawili się w zapasy, ale już skończyli i Ryden wraca z nami do domu.

- I kto wygrał? - zapytał Hunter.

- Nikt - oznajmiłam. - Remis.

Tata chwycił mnie za ramię i kiedy pozostali weszli do domu, zatrzymał mnie na dworze. Zjrzał mi w oczy.

- Powiedz, że użyliście gumki - zażądał.

- Czego? - Byłam wstrząśnięta.

- Gumki. Płaszczyka? Kapturka na wacusia? Miłosnej rękawiczki? - Jego głos nabierał z każdym słowem mocy i wysokości.

- O Boże! - zawołałam, chowając twarz w rękach. Nie wierzyłam własnym uszom. Moje uszy, te same, które tak się podobały Davidowi, już nigdy nie będą takie same.

- Prezerwatywy, Ryden - krzyknął ojciec. - Użyliście prezerwatywy?

- O czym ty mówisz? Przecież ja nawet...

Nie czekał, aż skończę.

- Bo opryszczka to nie pikuś. Ani nie wycieczka kajakiem, jak pokazują w reklamach.

Nie mogłam powstrzymać śmiechu.

- Co takiego?

Niemal wbił palec w moją twarz.

- Nigdy więcej! Koniec. Krzyżyk i kropka.

- Krzyżyk i kropka?

- Krzyżyk! Na ptaszku! Jednookim pytonie! Pędzelku! Świńskim penisie!

Zakryłam uszy.

- Skończ już! - błagałam. - Natychmiast!

- Ryden! - z emfazą wykrzyknął tata. - Więcej go nie zobaczysz. - Pogroził mi palcem. - Słyszysz?

Odwróciłam się do niego z wściekłością.

- Bo co zrobisz? Zamkniesz mnie? Nie bardzo sobie wyobrażam, jak moje życie mogłoby być jeszcze gorsze, więc nie krępuj się i spróbuj! Zamknij swoją dwudziestodwuletnią córkę, a zobaczysz, co z tego wyniknie.

- Mieszkasz w moim cholernym domu, młoda damo! - zawołał.

Otworzyłam drzwi i znalazłam się w pokoju niezwykle podobnym do tego, w którym byłam bliska rozebrania się do naga. Wisiały w nim głupie obrazy z wiatrakami, stała stara zielona kanapa, na której oglądaliśmy telewizję, i pasiasty fotel, obrzygany przez Huntera po przyjęciu z okazji jego piątych urodzin. Spojrzałam na kominek, z którego nie było pożytku po tym, jak utknął w nim i zdechł szop pracz. Wszystkie te rzeczy, które miałam nadzieję mieć już za sobą.

- Słyszałaś, co powiedziałem, Ryden? Mieszkasz w moim domu! - powtórzył ojciec.

- Wierz mi, zrobię wszystko, żeby to zmienić! - Potem wbiegłam po schodach na górę, zostawiając pniącego się ojca w holu. Moja mama kręciła się wokół niego, próbując go udobruchać babeczkami przeznaczonymi dla Davida.

Rozdział 16

Co powiedział? - zawył Adam w słuchawkę.

Opadłam z powrotem na łóżko, lądując na ciepłej plamie letniego światła.

- Jednooki pyton - powtórzyłam żałośnie.

- Musisz opuścić ten dom - stwierdził z przekonaniem.

- Wiem - powiedziałam. Zawsze mogłam liczyć na współczucie Adama, jeśli chodziło o wybryki mojej przerażającej rodziny. Ale coś powstrzymało mnie przed opowiedzeniem mu całej tej historii ze szczegółami. Zamiast tego pozwoliłam mu wierzyć, że ojciec kazał mi unikać każdego męskiego przyrodzenia, jakie tylko mogłam spotkać, a nie tylko Davida.

- Chodźmy na lunch - zaproponował.

- Lepiej na zakupy - wysunęłam kontrpropozycję.

Byłam pewna, że spyta mnie, co zamierzam kupować, skoro wszystkiego razem mam na koncie ze dwa centy, ale powiedział tylko:

- W porządku. Zaraz będę.

Zjawił się pół godziny później, prosto spod prysznic, w spłowiałej koszuli z kołnierzykiem przypinanymi na dwa guziki. Rudawozłote włosy opadały mu na zielone oczy. Gdy szliśmy do jego samochodu, wiekowej toyoty, która sprawiała wrażenie, jakby miała nie ruszyć z miejsca, zerknęłam na dom Davida. Zastony były zaciągnięte, a na ganku leżała gazeta. Śpi jeszcze? A może leży w łóżku i myśli o dziewczynie z sąsiedztwa, z którą prawie by się przespał?

Otrząsnęłam się z tych myśli. Zażenowanie na wspomnienie tego, jak nakrył nas tata, było nie do zniesienia. Wiedziałam, że i tak będę się musiała z tym uporać, bo za parę dni miałam zacząć pracować z Davidem.

- To dokąd idziemy? - zapytał Adam, otwierając przede mną drzwi.

- Do Melrose - odparłam, nurkując do środka. Uniósł brwi, ale nic nie powiedział.

W Lily, bardzo eleganckim butiku z limonowymi ścianami, w obitej jedwabiem garderobie przymierzałam sukienkę za sukienką - jadowicie cytrynową, o odcieniu zgaszonego barwinka, klasyczną małą czarną. .. Podobały mi się wszystkie, więc stanęłam półnaga i wpatrywałam się tęsknie w stertę.

- Powiedz to mi jeszcze raz - poprosił Adam. - Zamierzasz zostać asystentką produkcji? - W szparze pod drzwiami widziałam jego stopy drepczące w tę i z powrotem po owczym dywaniku.

- To tylko na chwilę - powiedziałam. - Sąsiad mnie zaczepił i dostałam od niego taką propozycję.

- Sąsiad? Ten sam, któremu zabiliście kota?

- Facet, któremu mój ojciec zabił kata. Tak. Jest naprawdę miły.

- Dziwne, że w takiej sytuacji postanowił ci wyświadczyć przysługę.

- Może uznał, że jestem czarująca - odparłam.

Po drugiej stronie drzwi zapadła cisza. Wśliznęłam się w mlecznokawową jedwabną tubę z głębokim dekoltem i wyszłam z przymierzalni.

- Zapniesz mi? - zapytałam.

Gdy sięgnął do suwaka i powoli pociągnął zamek w górę, poczułam na krzyżu jego palce. Chociaż dłonie miał ciepłe, przeszył mnie lekki dreszcz.

Odwróciłam się i uśmiechnęłam.

- O kurczę! - zachwycił się Adam, mierząc mnie wzrokiem od góry do dołu. - Naprawdę wyglądasz super.

- Podoba ci się? - zapytałam. Spojrzałam w dół i zobaczyłam (nie do wiary!) lekko zaznaczający się biust. Ta sukienka naprawdę była mi przeznaczona.

- Bardzo. - Uśmiechnął się. - Pamiętasz o występie we czwartek wieczorem? Napisałem dla ciebie kawałek.

- Dla mnie? Żartujesz? Myślisz, że powinnam znaleźć do tego jakąś torebkę?

- Nie żartuję - odparł. - Zaśpiewać ci kawałek? - Nie czekając na odpowiedź, otworzył usta i zaczął śpiewać. Na cały głos. - Ryden jest śliczna, wielkie niebieskie oczy ma. Któregoś dnia dotknąłem jej cycka i nie jestem już taki saaaaaaaaam...

Rzuciłam w niego skarpetkę. Rzeczywiście zdarzyło się coś takiego, ale na pierwszym roku college'u. Obydwoje byliśmy wtedy mocno urżnięci. Na szczęście po dniu czy dwóch rumienienia się przy każdym spojrzeniu na siebie dość szybko przez to przeszliśmy.

- Idiota. - Zaśmiałam się. Ale zauważyłam, że zainteresowane jego popisami ekspedientki posyłają mu pełne podziwu spojrzenia.

- Kochasz mnie - powiedział.

- Oczywiście - odparłam lekko, chowając się znów w przymierzalni.

- Więc słuchaj - zawołał. - Mam plan. Ty, ja i ta sukienka. Po pierwsze, najpierw ostro dam czadu na występie. - Przerzucił skarpetkę przez drzwi przymierzalni. - Po drugie, rzucisz na scenę stanik i będziesz krzyczała jak szalona. Tylko załóż jakiś ładny stanik, nie obrzydliwy Playtex po babci. Po trzecie, i najlepsze, uczcimy twoją nową tymczasową pracę obiadem. W restauracji z lnianymi serwetkami, mnóstwem sztucców i wszystkimi szykanami.

- Brzmi miło - powiedziałam. - Tyle że to będzie pierwszy dzień pracy. A jeśli będę zmęczona?

- To napijesz się kawy, bo ten wieczór okaże się najlepszy w twoim życiu.

- W takim razie ty zapraszasz - powiedziałam.

- Ależ oczywiście - powiedział bardzo szarmancko. Po czym szepnął: - Tylko pamiętaj, nie zamawiaj świńskiego... no wiesz, bo słyszałem, że bywa strasznie rozgotowany.

Wypadłam z przymierzami, ubrana z powrotem w letni uniform składający się ze spódnicy i kamizelki.

- Och! - zawołałam, uderzając go pięścią. - Jesteś wstrętny.

- Kochasz mnie - powtórzył.

- No, ba! - odparłam.

Po powrocie do domu zastałam ojca stojącego na podwórzu i wywijającego nunczako młynki nad głową.

- Przestań, proszę - zawołałam. - Zanim się zabijesz.

O dziwo przestał. Najpierw jednak uderzył się w brzuch.

- Au! - zawył.

- Co ty u diabła wyczyniasz? - zapytałam.

- A jak ci się zdaje? Ćwiczę sztukę ataku i obrony.

- Na naszym podjeździe? Po co? - Odstawiłam torbę z moją śliczną nową sukienką i wyjęłam mu nunczako z rąk.

- Po nic. Drobne nieporozumienie z konkurentem od klamer.

Spojrzałam na niego pytająco.

Tata wypił łyk napoju energetycznego supermax - mama kupiła w promocyjnej cenie całą skrzynkę, ale specyfik był tak wstrętny, że tylko tata się skusił.

- Jakiś głupek, Buckle - O - Bill, twierdzi, że klamry, które kupiłem za gotówkę są kradzione - poinformował mnie.

- Miał czelność przyjść do mojego domu i powiedzieć, że kilka tygodni temu zginęło mu pudło klamer i ma podstawy przypuszczać, że wylądowały u mnie. Stał w tym swoim głupim kowbojskim stroju i próbował mi wcisnąć kit, że niby należą do niego. Twierdził, że w całych cholernych Stanach jest jedyną osobą, która robi klamry ze stanem Delaware. I z

dwoma jeżozwierzami, drugim wzorem, który kupiłem od Gary'ego za gotówkę.

- I co zrobiłeś? - Pozostało mieć nadzieję, że postąpił rozsądnie, to znaczy przyjął do wiadomości fakt, że kłamry prawdopodobnie są własnością tego Buckle - O - Billa, i doszedł z facetem do takiej czy innej ugody. Gary nie wyglądał na uczciwego, nie było powodu mu wierzyć.

Tata wyrwał mi nunczako i wsadził do kieszeni.

- Kazałem mu się wynosić, zanim zamroczę go ciosem w szyję.

Westchnęłam.

- Och, tato! Dlaczego to zrobiłeś? To był okropny pomysł! A poza tym, czy choć raz wypróbowałeś to uderzenie?

- Wypróbowałem je na Adamie w restauracji, pamiętasz? Zasłabł. - Tata zaprezentował cios: dwa palce wymierzone w moją tętnicę szyjną.

Przewróciłam oczami.

- Tato, on udawał!

Nie zrobiło to na nim wrażenia.

- Nie tak to pamiętam - oznajmił.

Co można powiedzieć człowiekowi wyraźnie pozbawionemu kontaktu z rzeczywistością? Chwyciłam torbę od Lily.

- Kupiłam nową sukienkę - powiedziałam. Tata zajrzał do środka.

- Kolorem przypomina kocią kupę.

Proszę, zabierzcie mnie stąd, pomyślałam. Natychmiast.

Rozdział 17

To proste jak uno, dos, tres! - ogłosił na scenie wąsaty campesino w sombrero. Uniósł awokado, uśmiechnął się, po czym wsadził je do lejka wielgachnej czerwonej maszyny opatrzonej napisem „Guacanator 3000”. - Bez obierania, bez krojenia. Guacanator zrobi wszystko za ciebie! - wykrzyknął z silnym hiszpańskim akcentem. - Przygotowanie guacamole dla rodziny, na przyjęcie czy dla siebie nigdy nie było łatwiejsze! - Nacisnął przycisk w kształcie papryczki chili i z dziobka guacanatora pociekł strumień zielonej brei. Wbił palec w pacię, po czym podniósł go do ust. - Mmm, pyszne! Smakuje identycznie jak guacamole mojej matki. Z guacanatorem fiesta czeka cię każdego dnia! Obiecuje wam to Juan Garcia!

Postawiłam na podłodze blisko guacanatora, ale poza zasięgiem kamery, skrzynkę awokado przytarganą właśnie z supermarketu.

- Awokado na planie - powiedziałam w przenośny radiotelefon, czując zawrotny przyływ podniecenia. Od czterech godzin byłam asystentką produkcji. Zajęcie było świetne, pod warunkiem że nie miało się nic przeciw temu, żeby na człowieka wrzeszczano, przeganiano z miejsca w miejsce i ogólnie traktowano jak chłopca pańszczyźnianego. Ja oczywiście nie miałam, bo w końcu zarabiałam pieniądze. Niewielkie, ale zawsze jakieś. Za trzy dni będę mogła spłacić tę śliczną nową kawową sukienkę, którą miałam na sobie. I która, a propos, nie była najlepszym strojem do taszczenia skrzynek awokado.

Zerknęłam na Davida. Stał obok kamerzysty i obserwował scenę. Na twarzy malowała mu się łagodna nuda. Gdy na niego patrzyłam, podbiegł facet w garniturze - pewnie jakiś kierownik reklamy, czy coś w tym stylu - i wyszeptał coś na ucho Davidowi. Ten zagryzł wargę, kiwnął głową, po czym uniósł rękę.

- Cięcie - krzyknął.

Campesino zdjął sombrero i sztuczne wąsy.

- Cholera - powiedział, głosem nagle wyzbytym hiszpańskich naleciałości. - Te wąsy rujną mój występ! Odpadają od nich włoski i włożą mi do ust!

- Dobra, zobaczymy, co da się zrobić. Może charakteryzacja ma zapasowe wąsy. Zajmiemy się tym. Ale teraz robimy sobie pięć minut przerwy. - David próbował zachować cierpliwość.

Szef reklamy rzucił okiem na zegarek i zmarszczył brwi. Ignorując go, David, kręcąc głową, podszedł do chłodziarki z wodą.

Schodziłam mu z oczu przez cały dzień - żadne z nas nie wspomniało o żenującym incydencie w zeszły piątek - ale teraz wyglądał, jakby przydałoby mu się słowo otuchy, więc podeszłam do niego i się uśmiechnęłam. Zobaczyłam, że udawany campesino ruszył w naszą stronę.

- Kontrola naziemna do reżysera Davida - powiedziałam do mikrofonu mojego zestawu słuchawkowego. - Zbliża się dupek. Powtarzam, zbliża się dupek. Odbiór.

David potarł zmęczone oczy i wydał z siebie blady, zdławiony chichot.

- Myślę, że reżyser potrzebuje chwili odpoczynku, Juan - powiedziałam, wyciągając ręce, gdy aktor do nas podszedł.

- Nie Juan - odparł - tylko Peter. Jestem z cholernego New Rochelle w stanie Nowy Jork. - Przez kilka sekund piorunował nas wzrokiem, po czym odwrócił się i poszedł się wyzalić komuś innemu.

- I jak ci mija pierwszy dzień pracy? - zapytał David. - Okropnie, jak obiecywałem?

Chwyciłam z dużej plastikowej miski garść pastylek M&M.

- Dobrze się bawię. Poza tym lubię miejsca, gdzie rozdają darmowe cukierki. A co u ciebie?

- Świetnie - powiedział. Po czym znów przetarł oczy. - A właściwie tak sobie.

Wyciągnęłam dłoń z pastylkami i wziął czerwoną.

- Mogłam się domyślić.

Zadzwoiła komórka Davida.

- Tak... mmm... Tak, dobrze - odebrał krótko. Wyglądał, jakby go coś rozzłościło, więc kiedy skończył rozmawiać, zapytałam, co się dzieje.

- Menedżer klienta, tamten facet w garniturze - wskazał - każe nam wstrzymać zdjęcia do czasu omówienia strategii.

Obejrzałam się na gościa, który rozmawiał z Davidem, gdy ten stał przy kamerze.

- I on teraz do ciebie dzwonił? Przecież stoi piętnaście metrów od nas. Nie mógł po prostu podejść i powiedzieć, co ma do powiedzenia?

- Witaj na wkurzającej paradzie szefów reklamy średniego szczebla. Czy to nie żalosne? - Ruszył w stronę faceta w garniturze.

Poszłam poszukać Petera/Juana, którego zastałam przy stole technicznym. Wyciągnęłam dłoń.

- Dobra, gdzie te wąsy? Zobaczę, co się da zrobić.

- Nie mam pojęcia - odparł Peter/Juan. - Przykleiłem je do któregoś słupa. - Chwycił kanapkę ze sterty na plastikowej tacy, przytknął do nosa i obwąchał. - Zadzwoń do tego aprowizatora, kobieto - zażądał. - Te kanapki pachną jak trzymane w cholernych gaciach. Między pośladkami. - Machnął w moją stronę kanapką, żebym sama sprawdziła. Cofnęłam się, próbując zachować odrobinę profesjonalizmu.

- Dam komuś znać - powiedziałam. - Proszę chwilę zaczekać.

- Powiedz, że nie chcemy więcej gównianych kanapek. Może mają salami albo cholernego indyka?! - zawołał Peter/Juan.

Podeszłam do Davida i szefa reklamy.

- Przede wszystkim - mówił facet w garniturze - chcę, żeby było więcej meksykańskiego. Andale, andale, arriba arriba! Coś w tym stylu. Musimy sprawić, żeby ludzie oszaleli na punkcie guacamole.

Z tonu Davida powiało chłodną ironią.

- Ależ guacamole z samej swej natury jest szalenie pasjonujące, Robercie.

Mężczyzna utkwiał w nim wzrok.

- Te cwane komentarze są wliczone w cenę czy płacę za nie ekstra?

David popatrzył na sufit, wyraźnie starając się powstrzymać od odpowiedzi.

- I skoro już rozmawiamy, twoje ujęcia są nudne. To nie sprzedaż rajtuzów na Mango. Guacanator to nowoczesne, jedyne w swoim rodzaju wyposażenie kuchni. Więc chciałbym, żebyś nakręcił coś z jajami, zgoda? Coś w stylu tego ujęcia z Matrixa, kiedy Keanu podskakuje, a kamera obraca się wokół niego. To fantastyczne. Zrobimy to samo, tylko zamiast Keanu będzie guacanator. Fala przyszłości dla guacamole.

David klasnął w rękę.

- A wiesz, że to błyskotliwy pomysł. I może, skoro już przy tym jesteśmy, sfilmuję guacanator, jak fruwa dokoła w dużej czerwonej pelerynie! Albo zaczekaj, co powiesz na to, że nakręcimy scenę, jak rzuca Jedyne Pierścień w płomień Góry Przeznaczenia? Albo może przybijmy awokado do krzyża i nakręcimy Pasję?

Robert gapił się na Davida.

- Uważasz, że to zabawne?

Ten prychnął.

- Wiesz, co? Uważam, że jesteś idiotą. Rezygnuję. -
Zerwał słuchawki z głowy, odwrócił się i złapał mnie za
ramię. - Chodź, Ryden - powiedział. - Zabieramy się stąd.

Rozdział 18

Dwie margarity później zdawało się, że guacanator, Peter/Juan i Robert, szef reklamy, nigdy nie istnieli. David rozparty na krześle z kutego żelaza radośnie spoglądał na pełny kwiatów, wysadzany palmami dziedziniec jego ulubionej meksykańskiej kafejki w Malibu.

- Powinienem przychodzić tu codziennie - stwierdził. - Popracować nad tym scenariuszem, który chodzi mi po głowie. Zacząć planować ujęcia.

- Brzmi wspaniale - powiedziałam, zanurzając frytkę w misce pikantnej salsy. - Witaj w krainie marzycieli.

- I wiesz, mam kontakt - skontrował David. - Robert, ten facet od reklamy, jest też producentem filmów niezależnych!

Zaśmiałam się.

- Pewnie samych złych. Jak ten oparty na biografii Lindsay Lohan.

- Pewnie tak - zgodził się. - Nienawidzę faceta.

- Pamiętasz, jak powiedział, że ma być więcej meksykańskiego? - zapytałam. - Jakby istniał język meksykański? Jakby Don Kichota napisano po meksykańsku.

- Wiesz, on naprawdę sądził, że jestem Meksykaninem - powiedział David. Zamówił guacamole, ale nie jadł. - Chcę się tylko na nie złośliwie pogapić - oznajmił.

Grzebiąc w torebce w poszukiwaniu tumsów, bo lubię salsę, ale salsa nie lubi mnie, powiedziałam:

- Przysięgam, nie mam pojęcia, jakim cudem tacy ludzie jak on zostają szefami, a tacy jak ja są bezrobotni.

- Poradzisz sobie. Bystra z ciebie dziewczyna. - David poklepał po ojcowsku moją dłoń.

- Ale co mam teraz robić? - zapytałam. - Jedyne moja przyzwoita praca skończyła się po niecałym dniu, dzięki tobie.

Wróciłam myślą do wszystkich zakończonych niepowodzeniem rozmów kwalifikacyjnych. Nie rozumiałam,

jak człowiek - bystry człowiek, jeśli wolno mi tak powiedzieć - może być tak stanowczo odrzucany. Co mam dalej robić? Pewnie mogę się zgłosić do agencji pracy tymczasowej. Mogę zadzwonić do rodzin, w których kiedyś opiekowałam się dziećmi, i zapytać, czy nie potrzebują pomocy. Albo mogę błagać o przyjęcie mnie z powrotem w Świecie Walizek. Oczywiście żadna z tych możliwości nie była w najmniejszym stopniu pociągająca. Problem w tym, że wciąż się upierałam, że mogę robić coś interesującego.

- Wiem, co powinnaś zrobić - stwierdził David. - Mam rozwiązanie wszystkich twoich problemów. Tylko chodź ze mną. - Podał mi rękę i pomógł mi wstać.

I w ten sposób znalazłam się w pędzącym samochodzie na Pacific Coast Highway. Z rozwianymi przez wiatr włosami, zupełnie jak w filmie, z przystojnym Brazylijczykiem przy boku i dwoma butelkami szampana na tylnym siedzeniu. Francuskiego, a nie oszukanego, kalifornijskiego.

David był oszołomiony. Nie wiem, czy to zasługa margarity czy świeżo zdobytej wolności.

- Odszedłem dzisiaj z planu - powtarzał w kółko. - Po prostu odszedłem!

- Skoro czyni cię to tak szczęśliwym, powinieneś częściej coś rzucać - oznajmiłam, przekręcając w dół lusterko i sprawdzając błyszczący na wargach.

- Ciekawy pomysł, asystentko produkcji Ryden.

- Była asystentka produkcji - przypomniałam. - I jestem na ciebie trochę wściekła, nie zapominaj.

David spojrzał na mnie i się uśmiechnął.

- Wynagrodzę ci to.

Skrzyżowałam ramiona i udałam zagniewaną. Podobała mi się myśl, że David czuje się wobec mnie zobowiązany.

Jechaliśmy na północ, po błękitnym niebie nad nami płynęły nawołujące się mewy, na języku czułam słoną bryzę.

Po mojej prawej stronie w promieniach wolno zachodzącego słońca lśniły zielone wzgórza.

- Na plażę? - zapytał. - Zdecydowanie za rzadko tam jeżdżę.

- Ja też - powiedziałam. - To smutne, mieszkam w Los Angeles, a nigdy nie spotykam żadnych gwiazd ani nie chodzę na plażę. To miasto słynie jeszcze z czegoś?

- Ze smogu - odparł David.

Ale w ten wieczór nie było żadnego smogu. Powietrze było ciepłe i krystalicznie czyste. A na plaży znaleźliśmy się, gdy całe niebo zaróżowiło się i zazłociło.

- Magiczna godzina - stwierdził, zrzucając buty. - Wszystko, co filmuje się o tej porze, jest skąpane w tym cudownym, melancholijnym świetle.

Też zdjęłam buty, delektując się dotykiem drobnego piasku pod stopami. Był jeszcze ciepły.

- Mnie nie wydaje się to melancholijne - oznajmiłam. - Tylko absolutnie doskonałe.

- Owszem - zgodził się, wpatrując się we mnie.

- Doskonałe. - Po czym strzelił korkiem od szampana i podał mi butelkę. - Napij się!

Posłusznie upiłam łyk, czując w ustach musujące bąbelki.

- Uwielbiam szampana. - Westchnęłam.

- Cała butelka dla ciebie. Widzisz? Ja mam swoją.

- Odkorkował ją, strzelając w powietrze. - Będziemy pić z butelek, to zabawne, a poza tym nie mamy kieliszków.

Ale zamiast się napić ściągnął koszulę i rzucił ją na piasek. Skórę miał jak pokrytą miedzią, a zapadający zmierzch żłobił wzdłuż muskularnych ramion niebieskie cienie. Wstrzymałam oddech. Uśmiechnął się do mnie, po czym zdjął dzinsy i w następnej chwili pędził w samych bokserkach ku falom, wymachując ramionami i krzycząc. Gdy dopadł wody, przystanął na chwilę, po czym dał nura w fale.

Pobiegłam za nim ze swoim szampanem. Wynurzył się i rozłożył szeroko ramiona.

- Wskakuj, woda jest świetna.

- Nie ma mowy - zawołałam. - Mam nowiutką sukienkę.

Wzruszył ramionami.

- To ją zdejmij.

Wyglądał tak dziecinnie i był taki szczęśliwy - pominę, jaki był przystojny - że ściągnęłam ją z siebie, wdzięczna, że matka praktycznie zmusiła mnie do włożenia pod spód halki, bo uważała, że tak lepiej wygląda. Złożyłam sukienkę i położyłam na piasku. Wiatr przykleił jedwabną halkę do mojego ciała.

Sprawdziłam stopą wodę, ale prędko się cofnęłam.

- Zapomnij - zawołałam. - Nie chcę psuć zabawy, ale ocean jest dla mnie za zimny.

David nachylił się i mnie ochlapał. Cofnęłam się z wrzaskiem. Dogonił mnie, chwycił w ramiona i zanim zdążyłam zaprotestować, zaniósł mnie nad wodę i puścił.

Woda była okropnie zimna. Wyskoczyłam z niej, parszając i śmiejąc się.

- Zabiję cię - krzyknęłam.

- Najpierw musisz mnie złapać - odparł. Złapałam sukienkę i popędziłam za nim po plaży, do miejsca, gdzie zostawiliśmy buty. David padł na piasek.

- No dobrze - wydyszał - dopadłaś mnie. Teraz możesz mnie zabić.

- Zaraz to zrobię, tylko napiję się szampana - powiedziałam, padając obok niego. I on, i ja chwyciliśmy butelki. Nagle zerwał się wiatr i rozwał moje włosy, zakrywając twarz. Odgarnęłam je czubkiem palca.

- Wiesz, co pomyślałem, kiedy cię poznałem? - Podniósł żartobliwie brwi, wkładając z powrotem ubranie. - Najpierw same oczywiste rzeczy. „Jest olśniewająca, absolutnie

olśniewająca. I bystra. I zabawna. I ma to coś". Wiesz? „Ma to coś”.

Zagryzłam wargę, onieśmielona i przejęta.

- A zaraz potem pomyślałam: „Rety, ma zwariowaną rodzinę!” - odpowiedziałam, próbując nieco rozluźnić atmosferę. Lubię komplementy, jak każda dziewczyna, ale trochę się speszyłam.

David machnął ręką.

- A potem zauważyłem coś jeszcze. Subtelnego, ale charakterystycznego.

Pociągnęłam duży łyk szampana.

- Może lepiej pozostanmy przy „olśniewająca”? Uśmiechnął się do mnie.

- Zobaczyłem dziewczynę, która ma cały świat na skinienie palca i nawet o tym nie wie.

Tego już było za dużo. Jak niby mam świat na skinienie palca, skoro ten świat nie chce mi nawet zapewnić pracy? Skoro dał mi tatę, który wpadał na jeden idiotyczny pomysł po drugim, mamę zbyt zajęta, żeby go powstrzymać, babcię z obsesją śmierci i kapeluszy, i brata, który liże ludzi po głowach?

- Nie mam - wyszeptałam. - Przestań.

- Dobrze - powiedział. Po czym pochylił się, ujął moją twarz w dłonie i mnie pocałował. Wargi miał miękkie i ciepłe. Topniałam pod ich dotykiem.

I tym razem moja zwariowana rodzina nie mogła mnie zatrzymać.

Rozdział 19

Całowałam się z Davidem na plaży, dopóki nie zapadła ciemność i nie dopiliśmy szampana. Wtedy zerwała się silniejsza bryza i zaczęłam drżeć z zimna. David uznał, że pora się zbierać. Zgodziłam się i wymusiłam obietnicę, że włączy ogrzewanie, chociaż był sierpień.

Jechaliśmy do domu przez chłodny wieczór, z ogrzewaniem podkreconym na cały regulator. David sięgnął dłonią ponad dźwignią zmiany biegów i dotknął lekko mojej ręki.

- W końcu dzisiejszy dzień nie okazał się taki zły, prawda?

Odchyliłam się w skórzanym siedzeniu i przeczesalam palcami słone, splątane włosy.

- Prawda - przyznałam natychmiast. - Dobrze się stało, że nie zostaliśmy na planie i nie jedliśmy tych podłych kanapek.

- Mam nadzieję, że wszyscy dostali zatrucia pokarmowego. - David się zaśmiał. - Mam nadzieję, że spędzili popołudnie, rzygając.

- Zwłaszcza Robert - powiedziałam. - I mam nadzieję, że Peter/Juan udławił się swoimi sztucznymi wąsami.

Gdy znaleźliśmy się w Valley i zbliżaliśmy do domu, poczułam się śpiąca i spokojna.

- Pewnie nie wejdiesz, mam rację? - zapytał, wjeżdżając na podjazd.

Pokręciłam głową. Wydawało mi się to w jakiś sposób niestosowne i myślę, że David też tak czuł. Był wspaniały, miły i inteligentny, ale coś więcej niż podchmielony wypad byłoby... krokiem za daleko. Czy to kwestia różnicy wieku? Był jakieś dwanaście lat starszy. A może fakt, że okna naszych łazienek praktycznie wychodziły na siebie? Zastanowię się nad tym trochę później.

- Nie, powinnam iść spać. Muszę jutro wcześniej wstać i poszukać nowego zajęcia. - Powiedziałam to bez cienia ironii. Wciąż miałam sukienkę do spłacenienia.

- Czy okażę się nieuprzejmy, nie odwożąc cię pod dom?

- Bardzo zabawne. Chyba dam radę przejść przez trawnik.

- Uśmiechnęłam się.

Przez chwilę patrzył na mnie poważnie.

- Wiesz, że znajdziesz to, czego szukasz, prawda? Zagryzłam wargi. Nagle poczułam się onieśmielona.

- To znaczy?

Uśmiechnął się tylko i pocałował mnie w policzek.

- Dobranoc - powiedział.

- Dobranoc - szepnęłam.

Wymachując sandałami, przeszłam na bosaka przez trawnik, zmęczona i dziwnie pełna optymizmu. Może David miał rację. Może znajdę to, czego szukam. Nową pracę, nowe mieszkanie, nową wiarę w siebie...

- Hej! - Usłyszałam czyjś głos.

Spojrzałam w górę i w mroku zobaczyłam Adama siedzącego na naszym ganku.

- Hej, co ty tu robisz? - zapytałam.

Nie odpowiedział od razu i wtedy mi się przypomniało. Aż sapnęłam z wrażenia.

- Och! Mój Boże! Ale ze mnie idiotka! Och nie, jak mogłam zapomnieć!

Popędziłam i klapnęłam obok niego, sięgając po jego rękę.

Odsunął ją.

- Nie ma sprawy - powiedział. - W porządku. - Jego głos był daleki. Nawet zimny. - Wpadłem zobaczyć, czy wszystko w porządku. Zwykle przychodzisz, gdy się umawiasz i odbierasz telefony.

Mdliło mnie z poczucia winy.

- Wyłączyłam komórkę. Tak mi przykro. Nie do wiary, że zapomniałam o twoim występie.

- Nie ma sprawy. Wszystko super. - Zapatrzył się na trawnik.

- Jak poszło? Jesteś zadowolony?

- Świetnie - powtórzył, choć najwyraźniej tak nie było. Wstał i ruszył do samochodu.

- O mój Boże! - jęczałam. - I nasz obiad. Przegapiłam nasz wypasiony, superelegancki obiad.

Adam się odwrócił.

- Naprawdę bez sensu się przejmujesz, Ryden. Wyluzuj, byłaś zajęta łażeniem z... sąsiadem. Dobrze zgaduję?

Wstałam i wyciągnęłam rękę.

- Nie, to nie było tak. Pracowaliśmy, a potem zdarzyła się awantura i po prostu wyjechaliśmy. To był impuls.

- Aha. Fantastycznie. No to do zobaczenia. - Wyciągnął kluczyki i otworzył drzwi.

Pobiegłam za nim, drżąc z zimna. Wciąż byłam na bosaka.

- Poczekaj. Co robisz?

- A jak ci się zdaje?

- Poczekaj, proszę. Pozwól, że ci wyjaśnię. Adam gniewnie zatrzasnął drzwi samochodu.

- Wyjaśnisz? A co tu trzeba wyjaśniać, Ryden? Fakt, że czekałem na ciebie jak patentowany głupek, mając nadzieję, że któregoś dnia poczujesz do mnie to, co ja czuję do ciebie? Czy może to, że jesteś tak pochłonięta planowaniem swojej przyszłości, że całkowicie zapominasz o ludziach, którzy nie powinni być ci obojętni?

- Adamie - rzuciłam desperacko - proszę...

Przerwał mi.

- Ale już nie czekam. Koniec, jasne? Podjąłem decyzję. Nie mam pojęcia, jak będzie wyglądała moja przyszłość, ale wiem jedno: ciebie w niej nie będzie. - Znów otworzył drzwi

samochoodu, wsiadł i uruchomił silnik. Oślepiły mnie reflektory. - Do zobaczenia, Ryden - powiedział, po czym ruszył z piskiem opon i zniknął na ulicy.

Osunęłam się na kolana. Nie mogłam uwierzyć, że zapomniałam o występie Adama, o naszym obiedzie, o wszystkim. Nigdy wcześniej nie widziałam Adama tak wściekłego i to wszystko moja wina. Ukryłam twarz w dłoniach. Moja cudowna noc okazała się katastrofą.

Dlatego nawet nie mrugnęłam, gdy nagle nadjechały policyjne wozy, błyskając w naszej cichej dzielnicy niebieskimi i czerwonymi kogutami. Aresztujcie mnie, miałam ochotę krzyknąć. Aresztujcie mnie, bo jestem okropną przyjaciółką.

Ale nie przyjechali po mnie. Przyjechali po mojego ojca.

Rozdział 20

Ma pan prawo zachować milczenie - powiedział wysoki gliniarz z bujnymi wąsami. - Wszystko, co pan powie, może zostać wykorzystane przeciwko panu.

Ale ojciec, wciąż trzymając w dłoni kawałek pizzy, która stanowiła pozostałość jego typowej nocnej przekąski, wcale nie był zainteresowany skorzystaniem z prawa do milczenia.

- Mówiłem wam, że nie miałem pojęcia, że były trefne! Kupiłem je i zapłaciłem! Dostałem je od Gary'ego! - Dla podkreślenia słów machnął policjantowi przed nosem pizzą i kawałek pepperoni poleciał gdzieś w ciemną noc.

Policjant był niewzruszony i oczywiście nie miał pojęcia, co to za Gary. Tymczasem Buckle - O - Bill grzebał w pudle z klamrami, chichocząc pod nosem.

- Och ludzie, jak się cieszę, że odzyskałem swoje skarby. Spójrzcie! Tę zrobiłem, żeby upamiętnić występ Priscilli Presley w Tańcu z gwiazdami. Wypadła przez rumbę. Powinna trzymać się tanga albo fokstrota. Bardziej do niej pasują. Rumba jest dziwkowata. Wiecie, byłem prawdziwym fanem jej eksmeża. Czternaście razy byłem na jego występie w Vegas i nie mówcie mi tu, że zrobił się z niego grubas, cierpiał na zaparcia i umarł samotnie, siedząc na klozetowej desce. Ten człowiek był bogiem.

Nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi, ale nie przeszkadzało mu to paplać bez przerwy. Gdy w końcu zdał sobie sprawę, że wszyscy mają gdzieś jego gadaninę, próbował podarować gliniarzom kilka klamer z głowami jeleni.

- Dla upamiętnienia zdarzenia - powiedział. Odmówili uprzejmie.

- Mówię wam, że to była uczciwa transakcja - krzyczał tata, gdy wysoki gliniarz wpychał go na tylne siedzenie radiowozu.

Mama pozbierała torebkę i klucze i stanęła przy le baronie.

- Chodź, wsiadaj - powiedziała, prowadząc Huntera, wciąż jeszcze w piżamie, na tylne siedzenie.

W drzwiach pojawiła się babcia w sukni tak włochatej i brązowej, że wyglądała jak wiekowy, przykurczony yeti.

- Co oni robią mojemu synowi? - krzyknęła.

- Wsiadaj do samochodu, Maureen - zaordynowała mama.

- Zabierają go na posterunek, więc jedziemy za nim. Wzięli jednego Malby'ego, będą mieli wszystkich. Ryden, zakładaj buty. Wiesz, jakie brudne są posterunki policji.

- Szczerze mówiąc, mamó, nie wiem. Wierz lub nie, nigdy nie byłam aresztowana - powiedziałam, gramoląc się na przednie siedzenie i wkładając sandały. Potarłam skronie. Dobry nastrój wywołany szampanem rozwiął się, a jego miejsce zajęło znużenie i głęboki niepokój.

Babcia wychyliła się przez szybę tylnego siedzenia, celując palcem w gliniarzy.

- Od razu wam mówię, że nie brałam w tym udziału! Zapytajcie, kogo chcecie. Wszyscy powiedzą jedno, nie cierpię przestępstwa.

- W takim razie chyba nie wspomnimy im, że pewnego dnia w Wal - Marcie zapomniałaś zapłacić za pantofle domowe. A może wspomnimy? - wysyczała mama.

- Och na miłość boską, Carmello, to przez pomyłkę! - oburzyła się babcia, chowając głowę z powrotem do auta. - Poza tym kosztowały tylko cztery dolary. Nie zrobiłam dziury w portfelu Sama Waltona.

- Babciu, kto to jest Sam Walton? - zapytał z tylnego siedzenia Hunter. Ścisnął pluszowego misia i wyglądał na bardzo śpiącego i zdezorientowanego.

- Pewien bardzo bystry pan, który wymyślił sposób, żeby kazać dzieciom pracować cały dzień za dwa pensy i piątę

chleba, żebyś mógł nosić tenisówki ze świecącymi podeszwami - odparła babcia, uśmiechając się błogo.

- Maureen, nie wygaduj bzdur - powiedziała mama. - Kochamy Wal - Mart.

- Ale ja nie mam tenisówek ze świecącymi podeszwami - zawył Hunter. - A bardzo chcę takie mieć!

Nie mogłam już tego znieść.

- Możecie się wszyscy zamknąć? - zawołałam. I chociaż raz rzeczywiście się zamknęli.

Gburowata kobieta w cywilnym stroju zaprowadziła nas do posterunkowej poczekalni. Była to wymalowana na oliwkowo klitka, zagracona niewygodnymi plastikowymi krzesłami i oświetlona jarzeniówkami. Wyraźnie zaprojektowano ją tak, żeby wszyscy wyglądali możliwie jak najbrzydziej, jak na prawdziwych przestępców przystało.

Potem wszedł policjant z wąsami, niosąc dla mojej matki kawę w styropianowym kubku.

- Sytuacja wygląda następująco - oznajmił. - Jesteśmy zmuszeni zatrzymać pani męża, bo handel kradzioną własnością to poważne przestępstwo. Jutro zostanie ustalona kaucja i wtedy będziecie mogli go zabrać do domu. - Popatrzył na nas srogo, głaszcząc wąsy. Zaczęłam się zastanawiać, czy zarost na górnej wardze stanowi część umundurowania policji z Burbank.

- Jeśli będzie nas na to stać - wymamrotała babcia. Moja mama wstała z płonącymi oczami.

- Zamierzacie go tu trzymać całą noc? Chyba żartujecie? Mój mąż nie jest przestępcą, tylko durniem! Nie miał pojęcia, że kłamry są kradzione!

- Przykro mi, psze pani, ale procedura to procedura. - Skinął krótko głową i odszedł.

Babcia wyjęła kawę z rąk mamy.

- Pamiętasz, co mówiłam trzydzieści lat temu? „Nie wychodź za Waltera Malby”. Dokładnie tak, słowo w słowo.

Mama popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

- Ale to twój syn!

Babcia wzruszyła ramionami,

- Zrobiłam, co mogłam z materiałem wyjściowym. To geny, Carmello. Jego ojciec był najprawdziwszym debilem. Ale był taki przystojny!

Wyciągnęłam z torebki telefon i wstukałam znajomy numer.

- Adamie - powiedziałam, kiedy włączyła się poczta głosowa. - Wiem, że jest późno, i przepraszam, że już piąty raz dzisiejszej nocy do ciebie dzwonię, ale muszę pogadać. Oddzwon do mnie, dobrze?

Potem gapiłam się na aparat bardzo długą chwilę, jakbym miała moc sprawić, że zadzwoni. Milczał. O jedenastej zadzwoniłam ponownie i zostawiłam kolejną wiadomość:

- Czym wolałbyś być, niedźwiedziem czy lwem? A gdybyś był w cyrku? Ugryzłbyś rękę, która cię karmi?

Tak bardzo chciałam z nim porozmawiać. Jeszcze raz przeprosić za przegapienie występu i powiedzieć, że jeśli nie był zachwycony, mając ojca sypiającego z kasjerkami, powinien spróbować mieć takiego, który handluje kradzionymi kłamrami do pasków i zasłużył na areszt w więzieniu okręgowym.

Mój brat wgramolił się na sąsiednie krzesło.

- Jestem głodny - zajęczał. - Gdzie tata? Dlaczego nie możemy pojechać do domu? - Ścisnął mocno pluszowego misia.

Zajrzałam w jego duże brązowe oczy i zrobiło mi się go żal. Czym zgrzeszył, że pokarano go taką rodziną? Wyciągnęłam rękę i łagodnie potargałam mu włosy. Ale

potem zaczął żuć krawędź krzesła i przypomniałam sobie, że był chyba najbardziej zwariowany z nas wszystkich.

- Tata... Umm... tata zwiedza budynek. Musi sprawdzić, czy łóżka są naprawdę wygodne. - Hunter nie wydawał się przekonany, ale nie protestował.

- Skoro mowa o łóżkach - odezwała się babcia - co myślicie, żebyśmy udali się do swoich? - Chwyciła się za pasek ciasno zawiązany wokół talii. - Mnie i moim haluksom chce się spać.

Ale mama, która zwykle dla dobra rodzinnej harmonii ulegała babci, pokręciła głową.

- Równie dobrze możesz się zdrzemnąć gdzieś w kącie, Maureen - powiedziała. - Bo nie ruszymy się stąd, póki nie zwolnią twojego syna.

Babcia zmarszczyła brwi, ale się nie odezwała. Zamierzałam zaprotestować, ale wiedziałam, że to bez sensu. Może udałoby mi się wyjść, gdyby oddzwonił do mnie Adam - na pewno by mnie stąd zabrał, gdybym mu powiedziała, gdzie jestem, tego byłam pewna - ale mój telefon cały czas milczał. Więc tylko zestawiłam razem dwa krzesła i zwinęłam się na nich w kłębek.

Gdy w końcu zasnęłam, długo po trzeciej, przyśniło mi się, że jestem zawodnikiem w Tańcu z gwiazdami, ale na nogach i nadgarstkach miałam kajdany. Prowadzący, Tom Bergeron, oznajmił, że coś mi się pomieszało. Że miałam wystąpić w innym jego show, Najzabawniejsze amatorskie wideo Ameryki. Sędziowie przyznali mi po dwa punkty, po czym spuściłam wzrok i zdałam sobie sprawę, że jestem naga.

Zbudziłam się rano z zeszywniałą szyją i oddechem tak nieświeżym, że mogłam się nim posłużyć w charakterze broni. Hunter leżał obok zwinięty na podłodze. Chrapał lekko z głową opartą o stos fotek podejrzanym.

- Nie waż się go budzić - ostrzegła mama. Wciąż piła rządową lurę i zastanawiałam się, czy w ogóle zmrużyła oko. - Może prześpi cały ten koszmar i będą mogła mu powiedzieć, że to tylko zły sen.

Przeszłam na palcach nad bratem i podeszłam do okna. Na dworze wesołe sierpniowe słońce świeciło na parking pełny radiowozów. Spojrzałam na wyświetlacz telefonu komórkowego. Nic.

- Doberek. Jak się macie?

Odwróciłam się i zobaczyłam, że do mojej babci uśmiecha się młody i bardzo pogodny policjant. Babcia machnęła na niego groźnie drutem do robótek ręcznych.

- Do rzeczy albo przekłuję ci gardło - warknęła. Gliniarz popatrzył zaskoczony.

- Proszę ją zignorować - powiedziała mama, wypijając łyk kawy i lekko się przy tym krztusząc. - Jeszcze się nie obudziła na dobre. Zapewniam, że nie jest zdolna do przemocy.

- Nie byłabym taka pewna. - Usłyszałam mamrotanie babci.

- Dobrze, w takim razie przejdę do konkretów - stwierdził policjant, przyglądając się babci ostrożnie. - Sprawa wygląda tak. Kaucja za pana Malby'ego wynosi piętnaście tysięcy dolarów.

- Co takiego? - krzyknęła mama. Gliniarz uśmiechnął się łagodnie.

- Jest też inne wyjście. Może zostać z nami do rozprawy.

- Zostać w ciupie? Piętnaście tysięcy? Co my zrobimy? - Chwyciła się styropianowej filizanki, jakby to była tratwa ratunkowa.

Sama nie mogłam w to uwierzyć. Było dokładnie tak, jak powiedziała mama, tata nie był przestępcą, tylko kretyńcem. I teraz ta kretyńczość - tak, wiem, że nie ma takiego słowa -

miała nas kosztować więcej pieniędzy niż, dzięki zdobytym przeze mnie stypendiom i pracy w sali białych kruków w bibliotece, rodzice wydali na całe moje wyższe wykształcenie.

Babcia wstała i zacisnęła pasek.

- No dobrze - oznajmiła - zabierajmy się stąd. Jedźmy do domu.

Na te słowa mama odwróciła się do niej.

- Siadaj z powrotem, Maureen. Ty się tym zajmiesz. Teraz je z siebie wyduś.

Babcia uniosła brwi tak wysoko, że zniknęły pod jej niebieskimi włosami.

- O czym ty mówisz, kochana? - zapytała niewinnie.

- Daruj sobie tę „kochaną” - stwierdziła sucho mama. - Wyduś kasę, mamuśka. Zapłać panu.

Babcia aż sapnęła.

- Myślisz, że gdybym siedziała na takiej kupie forsy, tobym się z wami męczyła?

Mama złapała jeden z drutów do robótek i wycelowała w babcię.

- Tak myślę, bo wszyscy wiedzą, że jesteś skąpa jak cholera. Więc skończ z tymi bzdetami „jestem biedną staruszką” i sięgnij ręką do tej kupy forsy, którą, jak wszyscy wiemy, trzymasz pod materacem. Żeby nie wspomnieć o puszkach po kawie, szufladach, kontach w Citibanku i Bóg wie, gdzie jeszcze.

Babcia wzniosła oczy do nieba, przyłożyła rękę do serca i westchnęła dramatycznie.

- Dobry Boże, spraw, żeby pewnego dnia moja rodzina pokochała mnie za moją duszę, a nie tylko za elegancką posiadłość, wypchane pieniędzmi pudełka po butach i wysoko oprocentowane konto w banku...

Hunter, który do tej pory spał jak zabity - albo przynajmniej udawał, że śpi - usiadł nagle i oznajmił: - Ja kocham twoją duszę, babciu! - I objął ją ramionami za kolana.

Trzeba przyznać, że chłopak wiedział, co robi. Babcia zmiękła.

- To jak? - zapytała, odwracając się do gliniarza i znów celując w niego drutem. - Mogę wypisać czek, czy mam przynieść walizkę pełną nieznaczonego banknotów?

Rozdział 21

Tata wystawił głowę za okno i radośnie wdychał powietrze jak wielgachny łysiejący labrador.

- Jestem wolny, jestem woolny! - wył. - Boże, popatrzcie na niebo! Na drzewa! Na tego pijącego faceta! Patrzcie, jaki się wydaje szczęśliwy! Spójrzcie na te gołębie kłócące się o frytkę! Ale zabawa! Oznajmiam wam, rodzinno, to doświadczenie zmieniło moje życie na zawsze. Stary Walter umarł. A nowy Walter chce powiedzieć... że kocha i troszczy się o każdego z was.

Pochylił się i pocałował mamę, która uspokajająco i nieco protekcyjnie poklepała go po kolanie. Nie zamierzała się na to nabrać. Pewnie myślała, że to fajne, jasne, ale należy się spodziewać, że stary Walter niedługo powróci. Jedna noc w ciupie nie mogłaby całkiem odmienić jej męża.

Ale tata nie zamierzał się uspokoić.

- Jestem, do cholery, nowym człowiekiem. I wiecie co? To jest, do cholery, nowa rodzina! Jasne, że mamy problemy. Może i jestem zbyt uparty. Może Ryden jest bezrobotna, a Hunter liże kolegów. I może babcia jest... - Odwrócił się i popatrzył na nią. Byłam ciekawa, co powie, bo jej zawdzięczał wolność. - Taka miła i kochająca i... no, prawie święta. Babcia prychnęła.

- Jest nieznośnym ciężarem, taka jest prawda. Tata uniósł pięść i wymachiwał nią do góry, prawie waląc w dach.

- Ale mimo tego wszystkiego trzymamy się razem. Jesteśmy rodziną, do cholery, i najwyższa pora, żebyśmy zaczęli siebie doceniać. Jesteśmy Malby! I od tej chwili czas na Malbych!

- Czas na Malbych! - wrzasnął radośnie Hunter. - Na Malbych, Malbych, Malbych czas!

Babcia bardzo powątpiewająco wzruszyła ramionami, ale też zaczęła podśpiewywać.

- Malby, Malby, Malby...

To samo zrobiła mama i po kilku sekundach też się przyłączyłam. Bo tata miał rację. Żadne z nas nie było doskonałe, ale byliśmy rodziną. I to się liczy, prawda?

Skandując, zajechaliśmy pod dom i wysiedliśmy z samochodu oszołomieni chęcią współpracy, która nagle nas ogarnęła. Hunter pobiegł w podskokach do garażu, gdzie wsadził nos do trumny. Tata przeniósł ją tam po skardze Ubbinsów.

- Zróbmy sobie cholerne gofry! - wrzasnął. Mama poklepała go po głowie i zignorowała słowo na „ch”.

- Dlaczego nie? - spytała. - Dzisiaj świętujemy.

Wtedy w torebce zaczął wibrować mój telefon, grzebałam i kopałam w niej jak oszalała, usiłując ją znaleźć.

- Adam! - rzuciłam bez tchu.

- Chciałabym rozmawiać z Ryden Malby - powiedział chłodny, kobiecy głos.

- To ja. - Spłoszyłam się trochę. Prawda, nie zerknęłam, kto dzwoni, ale byłam taka pewna, że to Adam. Zostawiłam mu już z tuzin wiadomości.

- Ryden, mówi Barbara Snaff z Happerman & Browning.

- Och, cześć, Bar... - powiedziałam z walącym sercem. - To znaczy, dzień dobry, pani Snaff.

- Dzwonię, żeby powiedzieć, że stanowisko, na które aplikowałaś w zeszłym miesiącu, jest znów dostępne.

- Naprawdę? - Nie wiedziałam, co więcej powiedzieć. Gapiłam się na mamę, która patrzyła na mnie niecierpliwie. Nie mogłam w to uwierzyć. To miejsce było wolne i dzwoniли do mnie? Co stało się z Jessicą? Wiedziałam, że nie zdobędę się na to i nie zadam tego pytania, ale po chwili w tle usłyszałam charakterystyczny głos Jessiki: „Chcecie mnie

wyrzucić? Świetnie! Mam to gdzieś! Ta praca jest do chrzanu!"

Aha, pomyślałam. Więc o to chodzi.

- Uhm - mruknęła Barbara. - Przepraszam. Najwyraźniej na korytarzu mamy jakiś problem.

Poczułam, że po mojej twarzy rozlewa się głupkowaty, pełny niedowierzania uśmiech.

- Mówi pani poważnie? Proponujecie mi pracę?

„Mam dość harowania jak najęty muł!" - Usłyszałam w słuchawce. O mały włos, a bym się roześmiała. Nie podejrzewałam Jessiki o takie zachowanie. Zawsze wydawała się taka doskonała.

Moja cała rodzina stała na trawniku i gapiła się na mnie.

- Co? - zapytała bezgłośnie mama. Podniosłam kciuk do góry.

- Praca jest twoja, jeśli się zdecydujesz - powiedziała Barbara. - Możesz zacząć w poniedziałek?

- Tak, tak! - powiedziałam. - Z radością. Bardzo dziękuję! Dziękuję!

- Oczywiście - powiedziała Barbara. - Cieszymy się, że mamy cię na pokładzie. Do zobaczenia o dziewiątej rano.

Kiedy skończyłam rozmawiać, mama praktycznie rzuciła się na mnie. Przytuliłam ją.

- Mam pracę, mam - powiedziałam. - Mam pracę.

Tata jeszcze raz machnął pięścią w górę, a potem wymierzył w powietrze kilka ciosów karate. Chwilę później babcia i Hunter też zaczęli, dla uczczenia chwili, udawać walkę karate i nim się obejrzałam znów wszyscy śpiewaliśmy.

- Malby! Malby! Malby! - wołaliśmy, ku miłemu zaskoczeniu pana Ubbina, który stał na frontowym trawniku z ogrodowym węzem w ręku.

Kiedy się uspokoiiliśmy i cała rodzina weszła do domu, jeszcze raz wyjęłam komórkę. Wierzcie mi, istniała tylko

jedna osoba, z którą teraz naprawdę chciałam pogadać. Chciałam przekazać mu dobre wieści.

Wystukałam numer i, jak można się było spodziewać odezwała się poczta głosowa.

- Adamie, te ciche dni to straszna dziecinada z twojej strony, ale skuteczna. Bardzo cię proszę, zadzwoń do mnie.

Kilka godzin później, wciąż upojona niespodziewaną wieścią, znów zadzwoniłam do Adama.

- Proszę zadzwoń do mnie, gdy dojrzejesz do tego, żeby porozmawiać - powiedziałam. - Dobrze?

Ale wiedziałam, że trzeba się uciec do bardziej drastycznych środków i dlatego poszukałam taty.

- Jesteś mi winny przysługę - powiedziałam.

- Guzik jestem ci winny - odparł. Po czym zrobił zaskoczoną minę. - Przepraszam, to powiedział stary Walter. W czym mogę ci pomóc?

Przez krótką chwilę kusiło mnie, żeby wykorzystać szczęśliwą chwilę. Może należało go poprosić, żeby zabrał z mojego pokoju swoje rupiecie? Miałam naprawdę dosyć smrodku stęchłej prażonej kukurydzy i natykania się w łóżku na żołnierzyki. Ale zaraz, przypomniałam sobie, że już niedługo będę tu mieszkać, bo teraz, kiedy miałam pracę, zamierzałam stać się posiadaczką apartamentu. Trzymałam się pierwotnego planu.

- Chciałabym pożyczyć samochód lodziarnię Hanka Buckalewa - powiedziałam, stawiając żołnierzyka na półce.

Tata skrzyżował ramiona na piersi.

- Nawet nowego Waltera dziwi ta prośba - stwierdził.

- Chodzi o przyjaciela - powiedziałam. - O ważną misję. Muszę przeprosić. Rozumiesz, prawda? Po nawróceniu w celi i w ogóle?

Tata się uśmiechnął.

- Jasne, jasne. Zaraz zadzwonię do starego łajdaka.

Mój escort, niech spoczywa w pokoju, nie był wspaniałym samochodem. Ale w porównaniu do lodziarni Hanka Buckalewa, w której nie było wspomagania kierownicy, klimatyzacji, a nawet radia, wydawał się rolls - royce'em. Może producenci takich pojazdów obawiali się, że ostatni ze wspomnianych luksusów zakłóciłby tę strasznie denerwującą melodyjkę, którą przez tandetne megafony wygrywały wszystkie lodziarki.

W każdym razie jakoś dotelepałam się tym diabelstwem do parku, gdzie, jak wiedziałam, Adam będzie grał w kosza z paroma facetami ze wstępnego kursu prawa i Juliem ze stoiska taco. Kiedy skręciłam na parking, podbiegł do mnie jakiś dzieciak, wymachując jednodolarówką, ale odgoniłam go machnięciem ręki. Powoli podjechałam pod boisko. Zatrzymałam się pod rachityczną palmą i przeczesałam wzrokiem graczy w poszukiwaniu tego jednego. Był.

Adam grał bez koszulki. Jego jasnobrażowy tors lśnił od potu, gdy próbował się wymknąć blokującemu go facetowi. Odebrał wysokie podanie, zrobił unik w prawo, po czym prześliznął się pod ramieniem innego chłopaka i gładko umieścił piłkę w koszu. Pięknie.

Patrząc na jego skupienie i pewność siebie, złapałam się na myśli, że tak naprawdę nigdy go takim nie widziałam. Chcę powiedzieć, że zawsze byliśmy razem i chyba w pewien sposób wydawało mi się, że nie może beze mnie żyć. Jakby Adam nie był w pełni Adamem beze mnie. A ja, zaczynałam rozumieć, że nie byłam w pełni sobą bez niego. Jak mógł zignorować fakt, że czterdzieści razy próbowałam się do niego dodzwonić? A potem tak po prostu przyjść do parku i grać z kolegami? Przyszło mu to tak łatwo, jak się wydawało?

Niczego bardziej nie pragnęłam, jak podbiec do niego - . go, zobaczyć jego uśmiech i usłyszeć jedno z tych głupawych pytań z serii, kim wolałabym być, minogiem morskim czy

strzykwą. „Czymkolwiek wolisz”, odpowiedziałabym. „Tak bardzo cię przepraszam”.

Ale nie mogłam tego zrobić. Więc zaczęłam realizować mój plan. Wzięłam głęboki wdech, odpaliłam silnik i puściłam tę okropną melodyjkę. Żaden z graczy się nie odwrócił, żeby zobaczyć, co się dzieje, więc jechałam dalej. Przejechałam krawężnik i powoli wjechałam na boisko.

Wtedy zauważył mnie dryblas w koszulce Lakersów i dostrzegłam wyraz zaskoczenia na jego twarzy. Chwyciłam spoconą dłonią mikrofon.

- Ktoś kiedyś powiedział mi, że każde zło i beznadziejność świata można zaleczyć pewnym deserem - zaczęłam. Usłyszałam, że zabrzmiało to błagalnie, ale co tam. Wychyliłam się przez okno, trzymając w wyciągniętej ręce eskimo pie.

- To najfajniejszy lodziarz, jakiego w życiu widziałem - stwierdził chłopak w koszulce Lakersów.

Adam wydawał się zaskoczony, a potem trochę przestraszony. Upuścił piłkę i pochylił się, żeby ją podnieść. Zupełnie, jakby nie mógł się zdecydować, czy do mnie podejść, czy udawać, że nie ma pojęcia, kim jestem.

- Naprawdę bardzo przepraszam, Adamie - powiedziałam. Mój głos zadudnił na całe boisko.

- Znasz ją? - zapytał ten w koszulce. - Ma rożki? Uwielbiam je.

Adam tylko pokręcił głową. Megafony zaskrzeczały.

- A jeśli mi nie wybaczysz - ostrzegłam - pojedę za tobą dokądkolwiek pójdziesz, wygrywając tak długo tę okropną melodyjkę, aż zwariujesz ze szczętem. - Żeby udowodnić, że nie żartuję, przejechałam przez boisko i zaczęłam jeździć za nim w kółko, gdy próbował przede mną zwiać.

- Dobra, dobra! - krzyknął w końcu. - Tylko... przestań. Wyłącz tę cholerną melodię.

- Z przyjemnością - powiedziałam do mikrofonu. Po czym wyłączyłam wszystko - muzykę, mikrofon, silnik furgonetki. Wsiadłam z kabiny i wyciągnęłam rękę z prezentem na przeprosiny, eskimo pie.

- Skąd u licha wytrzasnęłaś tę furgonetkę? To twoja najnowsza praca?

- Pożyczyłam od przyjaciela ojca - wyjaśniłam. Adam zrobił niedowierzającą minę.

- Oszalałaś - stwierdził.

- Wiem. I bardzo przepraszam, że cię zawiodłam. Wiem, że nigdy nie zrobiłbyś czegoś podobnego.

Adam gapił się w przestrzeń nad moją głową. Wciąż nie wziął eskimo pie i lody roztapiały się powoli w mojej dłoni. Stał tuż przede mną, mimo to za nim tęskniłam. Tak bardzo, jak nigdy wcześniej za nikim innym. Starł z czoła kroplę potu, po czym odgarnął z oczu rudawozłote włosy. Chciałam podejść i dotknąć jego policzka. Chciałam... Nie byłam całkiem pewna, ale możliwe, że chciałam go pocałować.

- Naprawdę - powiedziałam. - Tak mi przykro. I chcę ci powiedzieć... - Chyba zamierzałam oznajmić mu coś naprawdę ważnego, coś czego nigdy wcześniej mu nie powiedziałam, bo sobie tego nie uświadamiałam. Coś o moich uczuciach do niego. O tym, że były nowe, cudowne i zaskakujące. Ale mi przerwał.

- OK. Przyjmuję twoje przeprosiny - powiedział krótko. Zaskoczył mnie.

- Ale...

- Wszystko w porządku - powiedział. - Jakoś leci. - Dryblował piłką, wciąż nie biorąc ode mnie lodów.

- Nie. Musisz mi naprawdę pozwolić się przeprosić. Wyznacz mi jakąś pokutę. Nie możesz tak łatwo mi odpuścić. To, co zrobiłam, było beznadziejne.

Adam zerknął ponad ramieniem na kumpli, którzy stali wokół nas, gapili się i nawet nie starali się ukryć ciekawości.

- Wszystko w porządku. Ale naprawdę muszę już wracać do gry, Ryden.

- Zaczekaj - poprosiłam. Znow wyciągnęłam dłoń z lodami, ale na darmo. - Może wybierzemy się gdzieś wieczorem? Ha! Mamy co świętować. Dostałam tę pracę w Happerman & Browning! Co oznacza, że będę mogła wynająć to fantastyczne mieszkanie, które oglądaliśmy. - Słyszałam rozpacz w swoim głosie. Nie udawało mi się wywołać jego zainteresowania i nie rozumiałam dlaczego.

- To dobrze. Ale muszę się pakować.

- Po co? Jedziesz na urlop? Przestał się bawić piłką i wsadził ją pod ramię.

- Postanowiłem pojechać na Uniwersytet Columbia. - Bezbarwny, martwy ton.

Cofnęłam się o krok. Poczułam się, jakby mnie ktoś uderzył.

- Co? Idziesz na prawo? Przeprowadzasz się do Nowego Jorku?

- Tak.

W głowie mi wirowało, ale nie chciałam tego po sobie okazać. Rozciągnęłam w uśmiechu wargi, że prawie zabołały.

- Och rety! To... to... to wspaniale. Gratulacje! Pokiwał głową i oddał mi blady uśmiech.

- Dzięki. Myślę, że będzie dobrze. - Obejrzał się na kolegów, po czym obrócił do mnie. Patrzyliśmy na siebie przez minutę, czując rosnące skrepowanie, rozkwitające jak jakiś okropny kwiat. - Odezwę się, gdy się zaaklimatyzuję.

- W porządku - wyszeptałam.

- Do zobaczenia - powiedział. Po czym odwrócił się ode mnie.

Wrócił do gry, a ja czułam się tak okropnie jak nigdy dotąd. Zostawiał mnie, tak po prostu. Zaczynał nowe własne życie. Beze mnie.

Ponieważ nie bardzo wiedziałam, co innego zrobić ugryzłam kawałek na wpół roztopionych lodów. Chyba nie byłam bardzo zaskoczona, odkrywając, że wcale nie poprawiły mi humoru.

Rozdział 22

Minęły dwa tygodnie i Adam ani razu nie zadzwonił. Wiedziałam, że bezpiecznie dotarł do Nowego Jorku, bo na Facebooku wstawił zdjęcie swojego nowego mieszkania. Ale to tyle. I chociaż lubiłam pracę w Happerman & Browning, nie mogąc się tym podzielić z Adamem, jakoś nie byłam nią zakręcona.

Chcę powiedzieć, że podawanie kawy na spotkaniach kolegium, zaczytywanie materiałów reklamowych i robienie kopii rękopisów było OK. Ale komu miałam opowiedzieć o tym, jak Barbara Snaff wyszła z łazienki ze spódnicą, która zaczepiła się o rajstopy? Kto miał się ze mną pośmiać z Rory'ego Furmana, wiecznie nawalonego faceta z pokoju pocztowego, który marzył o zawodowym parasailingu? Raz nawet zapytałam Rory'ego, dla zabawy, kim wolałby być, szopem praczem czy oposem, ale zamrugał tylko przekrwionymi oczami i stwierdził, że nie rozumie, o co mi chodzi. I kogo obchodziło, że Lloyd Darby, mój szef, miał obsesję na punkcie Słonecznego patrolu, serialu, który nawet na początku nie był dobry, a teraz, po tylu latach, stał się po prostu fatalny? Samej jakoś nie chciało mi się z tego śmiać. A apartament sprzątnął mi bankier, więc znów studiowałam ogłoszenia, tym razem szukając mieszkania.

Z lepszych wiadomości, mojemu tacie udało się wytrwać w postanowieniu poprawy, które podjął jako nowy Walter Malby. Zaliczył wprawdzie kilka wpadek, jak choćby wtedy, gdy zapowiedział Hunterowi, że jeśli nie przestanie walić w telewizor, to spuści go z wodą w toalecie. Ale ogólnie rzecz biorąc, był całkiem inną osobą. Albo może, mówiąc precyzyjnie, był wciąż sobą, ale szczęśliwszy. Tak czy inaczej, przeżywał najlepsze lata życia. Przemalował swój gabinet na jaskrawożółto - kolor optymizmu i radości, jak wyjaśnił - a na tyłach domu stworzył mały ogród zen. Zaczął

nawet korzystać ze starych nart nordic track, przyrzędu kupionego jakieś dwadzieścia lat temu, żeby wypracować nowe ciało odpowiednie do nowego podejścia.

Patrząc teraz na niego, gdy sapał i pocił się w naszym garażu, ubrany w obcisły turkusowy kombinezon, który nie mógł ukryć okazałego brzuszyska, pomyślałam, że nowemu Walterowi należy życzyć cierpliwości, gdyż praca nad nowym ciałem zapowiada się na długie miesiące. W końcu jedna noc w areszcie nie zniweluje dwóch dekad opychania się makaronem, zapiekankami z serem i frytkami z chili.

W drzwiach pojawiła się mama, z bezprzewodowym telefonem w ręce.

- Walterze, dzwoni twój szef. Mówi, że podoba mu się twoja propozycja, ale nie wie, co rozumiesz przez odzyskanie duchowej supremacji w Świecie Walizek.

Tata przewrócił oczami i wydyszał:

- Powiedz mu, żeby doczytał do końca. Powiedz, że gdy dojdzie do fragmentu o duszy sprzedawcy i wszechświecie rynku wszystko stanie się jasne. - Mama wzruszyła ramionami i odwróciła się do telefonu. - Nie może teraz rozmawiać, Bob. Udaje, że jeździ na nartach.

- Trochę wiary! - wykrzyknął tata za jej znikającą postacią. Odwrócił się do mnie. - Powinnaś tego spróbować. To naprawdę fajne i spala się tysiąc kalorii na godzinę.

- Wolę się przyglądać, jak ty się mordujesz, dzięki. - Wyjęłam z lodówki obok drzwi garażu wodę gazowaną. - I co zamierzasz? - zapytałam. - Co nowy Walter robi ze swoim życiem, poza ożywieniem sprzedaży walizek w Los Angeles w dzielnicy Valley?

- Czas pokaże - burknął tata. - Wytarł czoło, po czym przyspieszył.

Do garażu wszedł Hunter, tuląc skarpetkowego Larry'ego, który wyglądał jak nowy dzięki drutom babci i obietnicy taty, że nie rozerwie go już nigdy więcej na strzępy.

Stanął przed tatą.

- Kiedy zbudujesz mi samochód? - zapytał piskliwym głosem, zarezerwowanym dla Larry'ego.

Tata nie odpowiadał, popadł w jakiś ćwiczeniowy trans.

Hunter spróbował własnego głosu.

- Wszyscy chłopcy mają zbudowane samochody. - Odczekał minutę i parł dalej. - Ciągłe cię proszę, żebyś mi pomógł, i nie rozumiem, dlaczego nie chcesz. To takie męskie zajęcie, tato. Nie chcesz, żebym wyrósł na mężczyznę?

- Nie widzisz, że jestem teraz zajęty? - wykrzyknął tata.

Hunter wykrzywił buzię w podkówkę. Odwrócił się.

- W porządku - powiedział. - Nieważne. Tata zagryzł wargi i zwolnił tempo.

- Poczekaj, synu - wysapał. - Tata musi wyrobić normę. - Wyciągnął nadgarstek, pokazując Hunterowi olbrzymi nowy stoper, wodoodporny do pięćdziesięciu metrów, na wypadek gdyby tata postanowił nurkować w jaskiniach czy coś w tym stylu. Bo kto wiedział, jakich przygód zapragnie nowy Walter?

- Widzisz? - powiedział. - Skończyłem. - Wyłączył maszynę, zszedł i przyklęknął przy Hunterze. - Kiedy ma być ten wyścig?

- W sobotę - powiedział Hunter, wydłubując z Larry'ego nitkę.

Tata skoczył na równe nogi i klasnął w ręce.

- Dobra, dzieciaku! - krzyknął. - Do roboty! Zbudujemy superbrykę!

Hunter zmarszczył brwi, skonsternowany tą nagłą zmianą.

- He?

- Zawołaj mamę i babcię - dyrygował tata. - Potrzebny będzie każdy sprawny Malby.

Babcia, która pielęła chwasty na rabatkach za garażem, wystawiła głowę zza ściany i powiedziała:

- Ja nie jestem taka sprawna, więc obędziecie się beze mnie.

- Nonsens, mammo, jesteś silna jak tygrys. Pokaż, jak wspaniale ryczysz!

Babcia zachichotała.

- Miau!

- Może być! - wykrzyknął tata. - A teraz bierzmy się do pracy.

Jakoś się jednak wymówiłam. Ponieważ nowy Walter wciąż bardzo przeżywał fakt mojej pracy w wydawnictwie, nie protestował zbyt, kiedy powiedziałam mu, że muszę przeczytać rękopis.

Rozdział 23

Moje biurko w Happerman & Browning stało przed wielkim narożnym gabinetem Lloyda Darby'ego, przewodniczącego komitetu redakcyjnego. Ozdobiłam je paroma drobiazgami - wazonem tulipanów, zdjęciem Huntera i Larry'ego i przyciskiem do papieru w kształcie chomika, który dostałam od Adama. Ale wciąż wydawało mi się małe i ponure.

Lloyd był dla mnie bardzo miły. Czasami nawet sam odbierał telefony, co pozwalało mi zająć się pasjonującymi obowiązkami, czyli sporządzaniem pism, planów marketingowych oraz sprawozdań zysków i strat. Zawsze dawał mi jasne instrukcje, dzięki czemu na przykład nie zamawiałam na lunch kurczaka na ciabacie, tylko - jak należało - sałatkę z kurczaka na tejże. Gdy raz skaleczyłam się w palec, dał mi opatrunek. A pewnego dnia, gdy zmordowana taszczyłam wielki stos niezamawianych rękopisów, wezwał mi do pomocy drugą asystentkę.

Jeśli te pochwały wydają się wam wątpliwe, to nie bez przyczyny. Moja praca w Happermanie niespecjalnie przypominała to, czego oczekiwałam. Szykowałam się na wspinaczkę po szczeblach kariery. No może nie całkiem od pierwszego szczebla - w końcu nie zaczynałam w piwnicy z chronicznie podchmielonym Rorym Furmanem. Spodziewałam się, że będę szeregowym pracownikiem, od którego wymaga się zadań niewymagających myślenia i ogólnego posłuszeństwa. Więc nie bolało mnie, że fotel Lloyda kosztował osiemset dolarów, a mój jest z lśniącego, ale niezwykle niewygodnego plastiku. Czy to istotne, że Lloyd ma widok na hollywoodzkie wzgórza, a ja na duże mahoniowe drzwi jego gabinetu? Ani trochę. Taki był właściwy porządek rzeczy.

Ale chodzi o to, że nie spodziewałam się odbierać ciuchów Lloyda z pralni, myć lepkich kubków po kawie, ani zdrapywać olbrzymich glutów zielonej gumy do żucia z podeszwy jego buta. A o wszystkie te rzeczy poproszono mnie w ciągu pierwszych dwóch tygodni zatrudnienia.

Sądziłam, że będę zajmować się książkami, rozumiecie? No, nie oczekiwałam, że dadzą mi do redakcji nową powieść Salmana Rushdiego czy coś w tym stylu, ale myślałam, że przynajmniej poproszą, żebym przejrzała to, co nazywali arlekinami, czyli olbrzymią stertę niezamówionych rękopisów autorstwa potencjalnych pisarzy z całego kraju. Ale - jak szybko pouczył mnie Lloyd - czytaniem mogłam zajmować się w czasie prywatnym. Służbowy był przeznaczony na segregowanie, odbieranie telefonów, kopiowanie papierzysk i wklepywanie notatek ze spotkań. Więc owszem, czytałam arlekiny, ale po godzinach pracy.

Poczułam niejake współczucie dla Jessiki Bard. Pewnie doznała szoku jeszcze większego niż ja, gdy uświadomiła sobie przepaść dzielącą jej kwalifikacje od przydzielanych zadań. Przecież to ona wygłosiła mowę pożegnalną na zakończenie studiów! Była starszym gospodarzem roku! A tu wymagali jedynie, żeby odniosła do Nordstrom sześć par kaszmirowych butów Lloyda? Niemal widziałam, jak się ciskała i pieniała. Bo wiedziałam, że pod tym miłym uśmiechem krył się niebezpieczny rekin.

- A co stało się z pańską poprzednią asystentką? - zapytałam Lloyda mimochodem pod koniec drugiego tygodnia pracy.

Podniósł na mnie wzrok znad sygnalnego egzemplarza książki.

- Jonathan Micah Miller jest za stary, żeby dłużej być wschodzącym talentem - dumął. - Jak go sprzedamy? Na

dokładkę nie jest przystojny. Widziałaś go ostatnio? Zrobił się taki nalany.

- Uhm...

- Moją asystentką? Jessicą? - Zachichotał. - Różniliśmy się w poglądach. Ja uważałem, że otrzymała od nas wyśmienitą szansę pracy w prestiżowej firmie. Ona, że jest darem boskim dla naszej listy płac. Ja myślałem, że pracuje dla mnie, ona, że prowadzi tę firmę.

Oparłam się o futrynę i się uśmiechnęłam.

- Cała Jessica - powiedziałam.

- Och, znałaś ją? - Jego głos wykazywał umiarkowane zainteresowanie związkami między podwładnymi.

- Trochę.

- Cóż, jesteś dużo lepsza - oznajmił. - Jesteś należycie wdzięczna. Poręcznie uległa. I w przeciwieństwie do Jessiki, nie narzekasz na godziny pracy. Uważała, że powinniśmy zatrudnić jeszcze jedną asystentkę. Zapytałem: Po co zatrudniać dwie, gdy jedna jest tańsza? - Po czym wrócił do lektury Tego, co jest i być powinno Jonathana Micaha Millera, zostawiając mnie pogrążoną w rozmyślaniach nad oceną, jaką mi wystawił. Należycie wdzięczna? Poręcznie uległa? Mam to potraktować jako komplement?

Gdybym tak mogła zadzwonić i pogadać z Adamem. Powiedziałabym mu, że myślałam, że zostanę tygrysem, ale w rzeczywistości byłam tylko mułem. Albo koniem pociągowym czy wołem - zwierzęciem harującym i niedocenianym. Nie odbierał moich telefonów, więc namierzyłam go na Facebooku. Nie odpowiadał. Z początku mnie to zraniło, ale potem uświadomiłam sobie, że nie mogę go winić. Sama nie cierpiałam, gdy ludzie rzucali we mnie owcą czy przysyłali mi zuluskie kokosy, czy co tam jeszcze ostatnio było w modzie na Facebooku. Naprawdę, żenujący sposób na porozumiewanie się.

Wszystko wskazywało na to, że jeśli mam jeszcze kiedykolwiek skontaktować się z Adamem, muszę się bardziej wysilić. Problem w tym, że się bałam. Jak powiedzieć, że po piętnastu latach w końcu zrozumiałam, ile dla mnie znaczy? Że po tylu okazjach do pocałunku, teraz, kiedy to niemożliwe, w końcu tego zapragnęłam? Nie wiedziałam, czy Adam jest tym jedynym, ale nie chciałam, żeby zniknął z mojego życia. To było okropne, że dał mi sto tysięcy szans, żeby okazać mu miłość a ja je wszystkie po kolei zmarnowałam.

Westchnęłam i znużona odgarnęłam włosy z oczu. Musiałam oderwać się od myśli o Adamie. Wciąż nie przycięłam grzywki i nie miałam pojęcia, kiedy znaleźć na to czas. Dnie spędzałam na sprawozdaniach i faksowaniu, a wieczory na czytaniu rękopisów, które, a propos, były zazwyczaj beznadziejne. Bo nie dawano mi książek, jakie agenci przysłali w celu możliwej publikacji. Och, nie. Mnie przysługiwały tylko arlekiны - napisane przez nauczycieli przyrody z podstawówki powieści o kosmicznych małpach i zbiory poezji napisane przez ludzi, którzy nie przeliterowaliby słowa „liryczny”. „Liryczny” - tak napisał jeden dureń, podpisujący się Ty Marcus. W tej stercie zmarnowanego papieru na pewno nie odkryję następcy Jonathana Micaha Millera. Nie znajdę też jego samego, nawet postarzałego i nalanego.

Ale robiłam swoje, bo nadzieja jest wieczna.

Był piątkowy wieczór, gdy obok mnie przeszedł Lloyd w drodze na jakąś imprezę wydawniczą z darmowymi koktajlami i pysznymi hors d'oeuvres. Przystanął i poklepał mnie po ramieniu.

- Słuchaj - powiedział. - Chciałbym, żebyś w poniedziałek była obecna na telekonferencji z Londynem.

Mój nastrój od razu się poprawił.

- Naprawdę? Chętnie. - Szczęśliwa klepnęłam w klawiaturę. Może wspinałam się po drabinie w Happerman & Browning szybciej, niż mi się wydawało.

- To świetnie - powiedział Lloyd, wkładając fedorę. W swoim mniemaniu był w typie Humphreya Bogarta. - Dobranoc. I nie siedź dłużej, niż do dziewiątej, dobrze? Nie, żebym cię nie wykorzystywał, ale nie płacimy ci tyle, żebyś spędzała tu życie. - Puścił do mnie oko i wyszedł w ciepły wieczór Los Angeles.

Jak zwykle zostałam w biurze najdłużej. Siedziałam, czytając powieść o chłopcu, który za pomocą swoich sześciu ramion (tak, sześciu!) walczy z przestępstwami. Słońce zachodziło, pięknie mieniąc się różem i czerwieniami, a dwieście metrów niżej zapalały się uliczne latarnie. Klimatyzacja się wyłączyła, gwizdek dozorczy ucichł i w budynku zostałam tylko ja i gasnące nadzieje tych okropnych pseudopisarzy. Wypiłam łyk zimnej, lurowatej kawy i poczułam się najsamotniejszą osobą na świecie.

Podejrzewam, że właśnie to zaprowadziło mnie pod drzwi Davida. Mówiliśmy sobie cześć, ale poza tym nie rozmawialiśmy od tamtej nocy, kiedy nawaliłam Adamowi. I chyba tak było lepiej. Miałam uczucie, że oboje się miotamy, co nie wróżyło dobrze naszym relacjom, jakiekolwiek były. W końcu nie zdarza się, żeby tonącego uratował tonący.

Drugi powód, dla którego wybrałam się do Davida, był taki, że moja rodzina wyszła do kina i nie chciałam spędzić wieczoru, siedząc sama w zagraconej sypialni w towarzystwie półżywego złościstego karasia i dwóch popsutych maszynek do prażenia kukurydzy lub próbując skończyć któreś z puzzli, które rozgrzebał tata.

- Ryden? - David był zaskoczony, kiedy otworzył drzwi. - Miło cię widzieć. Sądziłem już, że wiecznie będziesz mnie unikać.

Chociaż rzeczywiście rozważałam taką możliwość, udało mi się, że to niedorzeczne, iż coś takiego sugeruje.

- O czym ty mówisz? - zapytałam. Podałam mu sześciopak piwa wzięty z minilodówki w garażu ojca.

- Dzięki. - Wyjął dwie butelki, podał mi jedną i usiadł na ganku, klepiąc miejsce przy sobie. - Widziałem... twoją sprzeczkę z przyjacielem tamtego wieczoru.

Pokiwałam ponuro głową.

- Tak. Niestety.

- Wszystko się ułożyło? - zapytał łagodnie. Wydawał się naprawdę zatroskany, co było miłe z jego strony.

- Nie. - Dłubałam przy naklejce na piwie.

- I tym się teraz martwisz? - To było raczej stwierdzenie niż pytanie.

Upiłam porządny łyk i zaczęłam unosić i opuszczać barki, próbując rozluźnić mięśnie, napięte podczas długiego siedzenia przed komputerem.

- Nie wiem. Niczym się nie martwię. Dostałam fantastyczną pracę...

- Pewnie nie asystentki produkcji - wtrącił z uśmiechem.

- Nie. Jestem sekretarką w redakcji albo asystentką redaktora, nie jestem całkiem pewna mojego tytułu służbowego. Za to wiem, że haruję jak dziki osioł. Ale tego się spodziewałam. Jestem... szczęśliwa - powiedziałam.

- To dobrze - stwierdził, trącając się ze mną butelką piwa.

- Więc znalazłaś to, czego szukałaś. Mówiłem, że znajdziesz.

- Tak.

- To wspaniale. - Zabrzmiało to, jakby nie był do końca pewien tego mojego szczęścia, ale był na tyle uprzejmy, żeby pozwolić mi trwać w niewinnym kłamstwie.

- A co u ciebie? - zapytałam, odchylając się do tyłu i podnosząc wzrok na kurek na dachu, obracający się na lekkim wietrze. - Filmowałeś ostatnio jakieś guacanatory?

David przybrał śliski, przymilny ton.

- Pozwólcie, że opowiem wam o jednym z największych wynalazków XXI wieku. To kombinacja odkurzacza z mopem i szczotką ryżową. Jest w stu procentach fantastyczny! Przedstawiam OdMoSz, kompleksowe narzędzie do sprzątanania, gwarantujące, że ze sprzątananiem uporacie się dwa razy szybciej! Teraz dostępny w trzech dogodnych nieoprocentowanych ratach...

- Wystarczy! - zawołałam, zakrywając uszy rękami. - Nie wiem, jak to wytrzymujesz.

David podniósł kamyk z małego ogródka skalnego przed gankiem i rzucił nim na podwórze.

- Cóż, już niedługo.

- Jak to?

- Wracam - powiedział. Zmarszczyłam brwi.

- Wracasz? Dokąd?

- Do Brazylii. - Spojrzał w zadumaniu na naszą ulicę. - Kiedy wyjeżdżałem, tak bardzo chciałem się wyrwać, przyjechać tu i zrobić coś ze swoim życiem. - Zamilkł i rzucił kolejny kamyk. - I oto jestem. Mam trzydzieści cztery lata, ładny dom, przyjemny kabriolet. Mam pracę, która co miesiąc podtucza moje konto. Znam faceta, który chce, żebym wyreżyserował jego pierwszy pełnometrażowy film fabularny, wspaniały, mały, niezależny dokument. Mam nawet nadmuchiwaną kanapę, guacanatora i w garażu dwa OdMoSze. - Zaśmiał się cierpko. - Ale za jaką cenę? Od wieków nie widziałem rodziny, pewnie ledwie poznam córkę. Do kogo co wieczór wracam do domu? Do ducha zdechłego kota?

Skuliłam się nieco na te słowa i wstrzymałam oddech, żeby mu nie przerywać.

Sięgnął ręką i złapał całą garść kamyków.

- Chyba rzecz w tym, że w końcu zdałem sobie sprawę, że to, co robi się ze swoim życiem, to tylko jedna strona równania. Druga, ważniejsza, to to, z kim się to robi.

Wrzucił kamienie z powrotem do skalnego ogródka. Nie można było poznać, które leżały tam od zawsze, a które poruszył.

Upiłam kolejny łyk piwa i zamyśliłam się nad tymi słowami.

Rozdział 24

Jeżu Chryste! - krzyknął ktoś.

To mnie obudziło. Usiadłam na łóżku, zmarszczyłam nos na wieczny zapach stęchłej prażonej kukurydzy i czekałam co dalej. Słyszałam stuki i parę kolejnych ostrożnych przekleństw. Po czym zapadła cisza.

Wciągnęłam szlafrok na koszulę nocną i popędziłam na dół. Złapałam w kuchni kubek kawy i przebiegłam przez dom. W salonie wył telewizor, nadający sobotni poranek z filmami rysunkowymi dla pustej widowni, bo fotel babci - w którym spędzała dziewięćdziesiąt procent czasu - stał pusty. Dom z klocków porzucono w połowie konstrukcji, a żelazko na desce do prasowania było jeszcze ciepłe. Gdzie się wszyscy podziali? Może zjawili się w końcu kosmici, których przywoływałam na imprezie u Martina Blacka. Tyle że zamiast zabrać mnie, wzięli resztę Malbych i teraz zielone ludziki wysłuchują gromów taty, a babcia wygraża im drutami. Piłam wolno kawę i zastanawiałam się, czy to byłoby dobrze, czy źle. To znaczy, komu tu współczuć, kosmitom czy rodzicom? Wtedy usłyszałam dobiegające z garażu krzyki i rozpoznałam charakterystyczny ryk zirytowanego ojca.

Wyszłam na dwór. Oślepiło mnie jasne słońce. Przez zmrużone oczy zobaczyłam, że tata zatrzaskuje tylne drzwi swojego suburba i siada za kierownicą.

- Ryden! - zawołał. - Ubierz się! Bo się spóźnimy! Nie dałam się popędzać.

- Spóźnimy na co? Jest weekend. Na co mamy się spóźnić?

Babcia stała przy bagażniku, spowita od stóp do głów w jakąś żółtą jedwabną szatę, jak olbrzymi, chodzący banan.

- Na wyścig, głupolu! - krzyknęła. - No już, Walterze, wyjedź wreszcie z tego garażu. Masz mnóstwo miejsca, całe metry... Uważaj na boczne lusterko! - wrzasnęła, gdy tata,

wyjeżdżając wozem na podwórze, przejechał ogrodowego krasnala, którego dostał pod choinkę od Huntera. Nikt niczego nie zauważył, więc i ja się nie odezwałam, nie chcąc być zwiastunem złych wieści.

- Wyścig? - zapytałam.

W polu widzenia pojawił się Hunter, prezentując się o niebo lepiej niż zwykle. Miał czystą koszulę i dziwnie błyszczące i przyлизane włosy.

- Wyścig mydelniczek - powiedział. - To dla mnie teraz najważniejsza sprawa na świecie. Założyłem się z Ronniem Mastersonem o dziesięć dolarów, że złoję mu tyłek. Mam tylko sześć dolarów i trzynaście centów, więc to naprawdę ważne, żebym wygrał.

Mama uśmiechnęła się do niego promiennie.

- Wyrażaj się, kochanie - strofowała łagodnie. - Wiesz, z tym moim żelem na włosach jesteś niesamowicie przystojny.

Hunter nerwowo spuścił wzrok.

- Naprawdę chcę wygrać - stwierdził.

Już miałam powiedzieć coś w stylu: „Nieważne, czy wygrasz, czy nie, ważne, żeby grać fair”, gdy mama rzuciła mi ostrzegawcze spojrzenie. Hunter jeszcze nigdy niczego nie wygrał i tym razem pewnie będzie tak samo, zważywszy, że przy konstrukcji samochodu polegać musiał na technicznych zdolnościach taty. No dobrze, może tata naprawił escorta. Ale zaraz potem wjechał na drzewo.

Choć na szanse Huntera nie zapatrywałam się zbyt optymistycznie, wbiegłam na piętro i ubrałam się jak dobra, oddana starsza siostra, którą jakoś rzadko bywałam. Gdy wróciłam na dół, wszyscy siedzieli już w samochodzie, prawie zgrzytając zębami ze zniecierpliwienia.

- Co się tak długo guzdrałaś, Ryden? - zapytała babcia. - Już myślałam, że prędzej mnie pochowają, nim się pokażesz.

Przysięgam, że czułam, jak z każdą mijającą sekundą moje ciało ulega atrofii.

- Wcale się tak długo nie guzdrałam - zaprzeczyłam, gramoląc się na tylne siedzenie. - I wstałam dziesięć minut temu, więc dlaczego się nie odczepicie, co?

- Powinnaś skrócić tę kieckę - stwierdziła babcia. - Odślonić trochę nogi. Dla mnie i Carmelli już na to za późno. Kto ma ochotę patrzeć na obwisłe kolana?

Mama zastrzeżenie spojrzeniem.

- Nie mam obwisłych kolan, Maureen.

- Nonsens, Każda kobieta po czterdziestce ma. Takie są fakty.

- Maureen - powtórzyła ostrzegawczo mama. - Nie mam obwisłych kolan.

- Niech ci będzie, to może w takim razie tłuste. To musisz przyznać.

- Nie mam obwisłych ani tłustych kolan! Babcia wzruszyła ramionami i zapatrzyła się w szybę.

- Skoro tak twierdzisz.

- Baby! - wrzasnął tata. - Spokój!

Posłuchały, ale mama wyciągnęła rękę i dotknęła jego uda.

- To mówi ten nowy Walter? - spytała słodko. - Bo mnie przypomina starego. A chyba wiesz, jak go lubimy.

- Poślubiłaś go - powiedział mój ojciec. - A teraz się ucisz i pozwól Hunterowi się skoncentrować.

Tak więc resztę drogi przebyliśmy w ciszy, przerywanej tylko przez Huntera podśpiewującego nerwowo Row, row, row your boat.

Tor do wyścigu mydelniczek przygotowano na szerokim, łagodnym wzniesieniu Jacaranda Street w Glendale, dzielnicy skromnych rancz z lat siedemdziesiątych i parterowych domów. Ustawiono odkrytą trybunę z paroma rzędami

siedzeń, a dobry stary Hank Buckalew przyjechał samochodem lodziarnią i serwował przysmaki chmarze spoconych dzieciaków. Niedaleko lodów kuśtykał facet przebrany za kłowna i rozdawał balony - na szczęście nie był to Buckles Zebrzący Kłown - a o słup latarni opierał się samotny, znudzony gliniarz, pilnując, żeby rywalizacja rodziców i opchana słodyczami dzieciarnia nie wymknęły się spod kontroli.

Tłum nie był ani w połowie tak liczny jak na ceremonii zakończenia studiów, ale dawało się wyczuć taką samą atmosferę wyczekiwania i niepokoju. Rodzice kłębili się, trzymając pociechy za ręce, pstrykając fotki i rozmawiając. Oczywiście usiłowali przy okazji ocenić konkurencję. To ten duży ośmiolatek naprawdę ma tylko osiem lat? Czy tamten chłopiec w czerwonej koszuli obok srogiego ojca nie ma przebiegłej miny, jakby już coś namataczył? Hunter opowiedział nam, jak parę lat temu w dziobie samochodu dzieciaka, który został zwycięzcą krajowych wyścigów, znaleziono później ukryty elektromagnes, dzięki któremu przejechał linię mety szybciej od innych.

- Wolna droga dla starszego pokolenia - wykrzyknęła babcia, trzymając laskę niczym bagniet i manewrując w stronę odkrytej trybuny. - Muszę posadzić moje zmęczone stare kości.

Szłyśmy z mamą za babcią, a Hunter i tata zniknęli w tłumie.

- Masz kibicować Hunterowi, choćby nie wiem co - przykazała mi mama. - Dla mnie może przyjechać i ostatni.

- Pewnie, że tak - przytaknęła babcia. - Nic się nie stanie, nawet jeśli wyprzedzi go ten kaleki kłown.

- Nie mówi się kaleki, babciu - wyszeptałam.

- To jak się mówi? Upośledzony? Zdeformowany?

Ukryłam głowę w rękach. Naprawdę, z nią nic się już chyba nie da zrobić.

Babcia nie ustawała, szarpiąc mnie za ramię.

- A jak mówią młodzi, Ryden? Kulas? To dobre określenie?

- Mamo, każ jej przestać - poprosiłam. I mama odciągnęła uwagę babci od tematu, częstując ją dropsami, żeby miała co później wydłubywać spomiędzy sztucznych zębów.

Zajęłyśmy miejsca w najwyższym rzędzie trybuny i obserwowaliśmy, jak ojcowie dotaczają synów do linii startowej. Myny chłopców siedzących w zmajstrowanych domowym sumptem samochodzikach były zacięte i zdecydowane. Sędzia stanął gotowy z flagą i wzrokiem utkwionym w zegarku.

Huntera nie było wśród zawodników i zaczęłam się pocić. Załamał się nerwowo i wczołgał pod trybunę, żeby przytulić się do Larry'ego? A może tata rozbił pojazd Huntera na drzewie? Chcecie schrzanić coś tak prostego jak wyścig mydelniczek? Na Malbych można polegać, pomyślałam.

Ale gdy już byłam gotowa na wieki odżegnać się od rodziny z racji ich dziwaczności i ogólnej niekompetencji, na grzbiecie wzgórza pojawił się tata z Hunterem. Ich widok wywołał poruszenie w tłumie, a gdy się zbliżyli, wstałam ze zdumienia.

Huntera od stóp do głów okrywała czarna skóra spięta w pasie olbrzymią klamrą - najwyraźniej policja nie skonfiskowała całej cennej własności Buckle - O - Billa. Mój młodszy brat siedział za kierownicą lśniącego, błyszczącego fioletowego ustrojstwa z namalowanymi po bokach płomieniami i ozdobą na nosie, która do złudzenia przypominała Larry'ego skarpetę. Nie, pomyślałam, to niemożliwe...

- A, tak! - krzyczała babcia wszystkim chętnym słuchaczom. - To mój wnuk! A ten pojazd to moja trumna! Czy to nie najlepsze, co dotąd widzieliście? Teraz Malby wam pokażą! Jedź Hunter, pędź!

Mama i ja też zaczęłyśmy dopingować Huntera, ale chyba nas nie słyszał. Zobaczyłyśmy, że zmrużył oczy i skupił się na wyścigu. Jeszcze nigdy nie widziałam u niego takiej koncentracji. Stojący za nim tata też zmarszczył w napięciu brwi.

- Na linię... gotowi... start! - Sędzia wystrzelił z pistoletu, machnął chorągiewką i chłopcy ruszyli.

Hunter był zbyt wolny na starcie - to akurat wina taty - ale doganiał szybko grupę przed sobą i wkrótce jechał już tuż za liderem, chłopcem w czarnym samochodzie pomalowanym jak Trans Am. Gdy go minął i wysforował się na czoło, krzyczałyśmy ile tchu w piersi. Wszyscy krzyczeliśmy, machaliśmy rękami i śmialiśmy się weseli i wstrząśnięci, gdy Hunter przekroczył linię mety, odsadzając konkurencję na dwa metry.

- Mój synek - powiedziała mama. - Mój mały wampir!

Potem zobaczyliśmy, że Hunter dalej pruje przed siebie. Prosto na dół.

- Nie powinien się zatrzymać? - zapytałam. Potem usłyszeliśmy słaby krzyk, gdy hamulce samochodu odmówiły posłuszeństwa. Niemal widać było, jak dźwignie - czyżby pochodziły z nordic tracka taty? - trą o nawierzchnię. Hunter wraz ze swym fioletowym trumiennym wehikułem przeskoczyli krawężnik u podnóża wzgórza, przelecieli przez trawę i z wielkim pluskiem wylądowali w trzcinach stawu Jacaranda Park.

W powietrze wzbił się tuzin wrzeszczących kaczek. Tłum wstrzymał oddech. Babcia chwyciła się kurczowo za serce, a

mama zaczęła przeskakiwać przez ławki i głowy ludzi, pędząc, by dopaść wraku.

- Hunter - pisnęłam - Hunter! - Pomyślałam o tych wszystkich okazjach, kiedy nie chciałam się z nim bawić, przypomniały mi się wszystkie pytania, na które nie chciało mi się odpowiadać - choć nawet teraz wołałabym nie wyjaśniać kwestii zapasów z Davidem - i czułam, że mojemu braciszкови stała się jakaś straszna krzywda i że życie już nigdy nie będzie takie samo.

Ale wtedy, po niekończącej się chwili, mój brat podniósł się z jeziora, ociekający wodą i drałowany w kłacz lili. I zamachał do nas dziko. Za nim, na środku stawu, pływała fioletowa trumna.

Wtedy wszyscy zaczęli wiwatować i nawet z takiej odległości poczułam radość Huntera, promieniującą ku nam jak wspaniały ciepły promień słońca. Tata pobiegł do mamy i przytulili się do siebie. Nawet babcia przestała grać rolę jędzowatej staruchy i błyskała zębami, częstując wszystkich dookoła dropsami. Prawie się popłakałam. Poczułam taką ulgę, że Hunterowi nic się nie stało, i byłam taka wdzięczna, że przeżył. I wdzięczna całej rodzinie, bo wprawdzie byli zwariowani i okropnie żenujący, ale wszyscy byliśmy cali i zdrowi. I wiedzieliśmy, jak się zjednoczyć w potrzebie.

Pół godziny później, patrząc jak mokry jak kura Hunter dumnie odbiera trofeum, które było mniej więcej dwa razy większe od niego, w tle zobaczyłam matkę pocieszającą przegranego syna. Stali koło lodziarni Hanka Buckalewa i chłopiec wskazał na nią z nadzieją. Mama uśmiechnęła się i kupiła od Hanka eskimo pie. Podała je synowi, który wgrzył się w nie z lubością.

„Każde zło i beznadziejność świata można zaleczyć gryzem eskimo pie”.

I nagle wszystko stało się jasne. Przyglądając się, jak chłopiec pochłania deser, zrozumiałam, że skupiłam się zupełnie nie na tym, co istotne. Nie znajdę szczęścia i poczucia celu w stercie arlekinów w Happerman & Browning. Bo to, czego pragnę, nie ma nic wspólnego z Następną Wielką Powieścią Amerykańską ani apartamentem. Nawet niewiele wspólnego z Planem jako takim.

Gdy Hunter zszedł z podium i biegł do nas, odwróciłam się do rodziny.

- Mamo! Tato! Chcę wam coś powiedzieć.

Hunter dopadł nóg mamy, przytulając się do nich mocno. Mama pochyliła się i też go uściskała. Wtedy wciąż wesoło roześmiany podszedł przytulić tatę, babcię i mnie.

- Jestem z ciebie bardzo dumna - wyszeptałam w jego mokre ucho. - Jesteś mistrzem.

- Wiem! - zawołał radośnie. - Wiem!

Spojrzałam w górę i zobaczyłam, że mama wpatruje się we mnie pytająco.

- Co chciałaś nam powiedzieć - zapytała.

Zagryzłam wargi. Niełatwo się oznajmia takie rzeczy. Ale potem rzuciłam okiem na chłopca z lodami, wzięłam głęboki wdech:

- Przeprowadzam się do Nowego Jorku.

Rodzice wpatrywali się we mnie z konsternacją wypisaną na twarzach.

- Do Nowego Jorku? - zapytała babcia. Ona nigdy nie zapominała języka w ustach. - Nowego Jorku? A po kiego diabła? Obrabują cię, ledwie wyjdiesz z samolotu! Wierz mi, Nowy Jork jest zepsuty do szpiku kości. Napatrzyłam się dość w dzienniku telewizyjnym.

- Cicho, Maureen! - unisono zawołali moi rodzice i zaśmiałam się, zaskoczona.

Zamierzałam przeprowadzić się do Nowego Jorku! Sama ledwie w to wierzyłam. Tak, to było wariactwo. To było szalone i bardzo w stylu mojego ojca. Postąpiłby tak samo, gdyby miał dwadzieścia dwa lata, a jego najlepsza przyjaciółka i największa miłość zarazem zwiłaby na drugi koniec kraju. Dla mnie to było zupełnie nietypowe. Ale takie podobne do Malbych.

Wyciągnęłam dłoń do Huntera.

- Chodź - powiedziałam. - W nagrodę stawiam ci lody u Hanka Buckalewa.

Trzymając się za ręce, przeszliśmy w jasnym, pięknym słońcu przez tłum, oboje szczęśliwi, oboje świadomi, że to wyjątkowy dzień.

Rozdział 25

Ponieważ tak naprawdę właściwie się nie rozpakowałam - nie było miejsca na moje rzeczy przy tych gratach taty - dość szybko wrzuciłam moje klamoty do kilku walizek. W nietypowym napadzie finansowej ekstrawagancji tata sprawił mi na podróż nowe, więc nie musiałam używać różowych i pomarańczowych, które wybrałam, mając osiem lat. Gdy zaprotestowałam, że jest zbyt hojny, zbył moje skrupuły machnięciem ręki.

- Zniżka pracownicza - oznajmił. - Pamiętaj, że odzyskaliśmy supremację w Świecie Walizek.

Uśmiechnęłam się.

- Cokolwiek to znaczy - rzekłam. Oderwałam wzrok od listy rzeczy do zrobienia i spojrzałam na niego nerwowo. Zerknął na mnie w podobny sposób.

- Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? Naprawdę, naprawdę pewna? - zapytał z troską.

Skinęłam głową.

- Absolutnie - powiedziałam z większą pewnością siebie, niż w rzeczywistości czułam.

- Może się jeszcze parę dni zastanowisz?

- Nie. - Obawiałam się, że jeśli nie wyjadę od razu, nie zrobię tego nigdy. I resztę życia spędzę, zastanawiając się, jakby było, gdybym wyjechała. Czym wolisz być, zadałam sobie pytanie, nieustraszonym orłem czy bezpieczną, cichą myszką?

Usiadłam na łóżku, odgarniając jednego z żołnierzyków, które zawsze jakimś sposobem na mnie trafiały.

- A tak z ciekawości, twoim zdaniem podjęłam słuszną decyzję?

Tata uśmiechnął się, po czym przyklęknął przy mnie.

- Zawsze, nawet jako mała dziewczynka, byłaś taka poukładana, taka grzeczna. Jadłaś jarzynki, miałaś wspaniałe

stopnie, utrzymywałaś porządek w pokoju. Zawsze byłem z ciebie bardzo dumny. Ale też trochę się martwiłem. Bo świat to zwariowane miejsce, Ryden. Nie trzyma się zasad nawet w stosunku do tych, którzy ich przestrzegają. Sama zobacz, popatrz na mnie. Chciałem tak zwyczajnie, uczciwie kupić kłamry i skończyłem w więzieniu. Chcę powiedzieć, że nigdy niczego nie można być pewnym. Ale trzeba próbować. Nie można się bać porażki. Czy sądzę, że to dobry pomysł, żebyś rzuciła swoją nową świetną pracę, o której zawsze marzyłaś, zostawiła jedyną rodzinę i przeniosła się na drugi koniec kraju, do miasta, w którym w życiu nie byłaś? - Urwał i wstrzymałam oddech. - Myślę, że to najlepszy z twoich dotychczasowych pomysłów.

Nie wierzyłam własnym uszom.

- Naprawdę?

Potaknął.

- Naprawdę. I jestem pewien, że wszędzie pokażesz, na co cię stać. Taka już z ciebie dziewczuszka.

Pochyliłam się i otoczyłam go ramionami.

- Dzięki, tatusiu - wyszeptalam.

- I pamiętaj, kochanie, o najważniejszym - powiedział tata. - Zawsze będziemy z tobą. A praca? Pracę można znaleźć inną. I to nie mniej wspaniałą.

Rozkleiłam się trochę, nic na to nie mogłam poradzić. Tata nigdy wcześniej nie był ze mną taki szczery i bardzo mnie to ujęło. Poklepał mnie delikatnie po kolanie. Potem popatrzył po pokoju, na kolekcję swoich rupieci i to, co zostawiałam.

- Hej - zagadnął - jak myślisz, czy gdybym to wszystko dokładnie uprzątnął, wystarczyłoby miejsca na kino domowe?

Roześmiałam się i uderzyłam go pięścią w ramię.

- Maszynki do kukurydzy już masz - powiedziałam. - Na dobry początek.

I tym oto sposobem stałam teraz w terminalu linii Delta na lotnisku LAX i, wpatrując się w okładkę „US Weekly”, zastanawiałam się, co świat takiego pasjonującego widzi w Kevinie Federlinie.

Oczywiście, zastanawiałam się też, czy dobrze robię. Bo tata miał rację, że spontaniczność nie leżała w mojej naturze. Wyjąwszy przygodę z lodami, nie bardzo potrafiłam sobie przypomnieć jakiś swój zadziwiający czyn.

Może przyczyna leżała w tym, że o należną mi od życia część niespodzianek troszczył się tata i rzadko kiedy okazywały się one zabawne. Jak tego dnia, gdy - mając czterdzieści pięć lat - ogłosił, że zamierza zdobyć czarny pas w karate, po czym zaraz na treningu złamał ramię w dwóch miejscach. Albo jak wtedy, gdy zjawił się w moim liceum przebrany za Sherlocka Holmesa, oznajmiając, że potrzebuje swojego Watsona - znaczy mnie - do pomocy w znalezieniu zapodziejanej książeczki czekowej. Albo jak wtedy, gdy uznał, że hodowla i sprzedaż fretek to świetny pomysł na biznes.

Ale z drugiej strony, pomyślałam, leniwie przewracając strony, żeby sprawdzić, która celebrytka wypadła najlepiej i w czym, tata niewątpliwie w pełni korzystał z życia. Może i nie raz wprawił swoją dorastającą córkę w zażenowanie, ale w pewnym sensie próbował coś ze sobą zrobić. Coś więcej niż wspinanie się po drabinie stanowisk. I na pewno było w tym coś godnego podziwu.

A to, że rujnę cały Plan, by rzucić się do stóp facetowi, który nawet nie raczył odbierać moich telefonów? Zaczęłam rozumieć, że życie to przygoda i że ryzyko jest nieuniknione. A skoro już je powzięłam, kto wie, na co się jeszcze odważę? Może na akrobacje spadochronowe albo skoki na bungee. Może wybiorę się w rejs dookoła świata albo zostanę królową rodeo, ucieknę z cyrkiem, ogolę głowę, postanowię uczyć angielskiego w Mongolii albo...

Przystopuj, osiołku, powiedziałam sobie. Wszystko po kolei. Na razie skup się na tym jednym ryzyku. Jak na razie to wystarczy.

I wtedy, jakby wszechświat dostrzegł zmianę w moim sercu i chciał okazać, że ją aprobuje, zobaczyłam nie kogo innego, ale samą Jessicę Bard. Elegancka, ale też niezwykle znękana próbowała przytrzymać lusterko przed twarzą jakiejś aroganckiej kobiety, która gadając przez komórkę i jednocześnie poprawiając szminkę, zmierzała do bramki numer dwadzieścia.

- Nie, przecież powiedziałam, że to ma być fiołkoworóżowy, nie bakłazan - mówiła kobieta. - Wszyscy wiedzą, że fiołkoworóżowy jest bardziej w typie Trumana Capote'a. Jesteś aż tak głupi czy udajesz?

Musiałam się uśmiechnąć. To mogłabym być ja. Tak naprawdę to byłam ja, choć Lloyd z pewnością był sympatyczniejszy od tej kobiety. Ale teraz zamierzałam się zmienić i na tę myśl uśmiechałam się przez cały lot do Nowego Jorku.

Rozdział 26

Powinniście jeszcze wiedzieć, że moja rodzina kocha Boże Narodzenie, nawet bardziej niż kocha chińskie szwedzkie stoły. Pierwszego grudnia mama zaczyna wypiek cukrowych ciasteczek i ludzików z piernika. Tata wyciąga z piwnicy kolorowe lampki i większą część dnia spędza, rozplątując je i narzekając. Potem wychodzi na dwór i zawiesza je na rododendronach i japońskich klonach. Babcia co roku robi dla nas na drutach nowe pończochy na prezenty, a Hunter szaleje, wycinając z papieru płatki śniegu i napisy „Uwaga na renifery”. Ja przyłączam się do nastroju, śpiewając kolędy, choć ledwie umiem zanucić jakąś melodię.

Pewnego roku, gdy skończyłam dziewięć lat - tego samego, w którym poprosiłam o dzieła zebrane Jamesa Herriota, autora Wszystkich stworzeń dużych i małych - tata postanowił sam przygotować świąteczny obiad. Wymusił na mamie zgodę na ten plan, wmawiając jej, że choć raz posiedzi z nogami do góry i trochę odpocznie. Gdy nadszedł właściwy dzień, zabronił nam wstępu do kuchni. On jest kucharzem, oznajmił i wszystko ma pod kontrolą. Wystąpił w fartuchu z napisem „Najlepszy kucharz na świecie” - co, jak doskonale wiedzieliśmy, nie było prawdą. Ten facet nie umiał nawet przyrządzić grzanki. Ale zostawiłyśmy go samego, bo co innego mogłyśmy zrobić? Za każdym razem, gdy próbowałyśmy zapuścić żurawia do kuchni, przeganiał nas, wygrażając łopatką.

W końcu nadszedł czas posiłku, więc zasiedliśmy przy stole, czekając na popis taty. Wszedł, niosąc na srebrnym półmisku olbrzymią siedmiokilogramową szynkę. W życiu nie widziałam większej. Była doskonale upieczona, w glazurze i ze wszystkimi bajerami. Postawił ją na środku stołu i oznajmił: „Tadam!” Po czym zaczął ją kroić nożem wielkim jak szabla. Mama, choć nie chciała kwestionować jego

triumfu, zapytała, gdzie reszta obiadu. Gdzie na przykład surówka, ziemniaki i pieczywo? Tata zapakował do ust olbrzymi kawał mięsa i powiedział: „To? Reszta tych bzdur to tylko przybranie”.

Myślę, że chodziło mu o to, że gdy ma się to, czego się pragnie, nic więcej tak naprawdę się nie liczy. Wszystkim, czego tata pragnął w tamten świąteczny dzień, była duża piękna szynka. A w ten sierpniowy wieczór wszystkim, czego pragnęłam ja, był Adam.

Złapałam taksówkę i kazałam się zawieźć pod adres uzyskany od pana Daviesa, weszłam na czwarte piętro i zapukałam do drzwi. Serce waliło mi tak, jakby zaraz miało wyskoczyć z piersi, gdy stałam tam, gapiąc się na gałkę, jakbym mogła sprawić, że się przekreśli i mnie wpuści. Po kilku chwilach drzwi się otworzyły i stanął w nich Adam - wysoki, zielonooki, trochę gapowaty, absolutnie doskonały.

- Jestem, bo za tobą tęskniłam - wyrzuciłam z siebie. - To znaczy, oczywiście, że za tobą tęskniłam, wiedziałam, że tak będzie. Ale nie taką tęsknotą: „Świetnie się razem bawiliśmy, pozostajmy w kontakcie”. Bardziej taką: „Nie mogę jeść, spać, nie mogę zapomnieć, jak to jest się śmiać”. - Zaczerpnęłam głęboko powietrza. - Nie chcę prawić komunałów ani nic takiego, ale wydaje mi się, że przeprowadzając się do Nowego Jorku, zabrałeś ze sobą moje serce. - A gdy się nie odzywał, spojrzałam na podłogę i wymamrotałam: - No nie wiem, może powinnam go poszukać w którejś z twoich walizek, czy jak. - Potem podniosłam wzrok i zobaczyłam ładną brunetkę. Leżała zwinięta na łóżku za jego plecami. - Och! - jęknęłam i duch we mnie upadł do samych butów. - Och, rety!

Przez cały ten czas Adam tylko patrzył na mnie z niedowierzaniem.

- Ryden - wykrztusił w końcu. - Coś takiego.

Ale ja już się odwróciłam i zabierałam z powrotem. To jest ryzyko wielkich gestów, pomyślałam. Ryzyko, że piękna niespodzianka obróci się w wielki kłopot. W takich sytuacjach lubiłam mówić: „Cholera!”

- Ryden, zaczekaj - zawołał Adam, ale się nie zatrzymałam.

Szłam przez hol, a moje ładne nowe walizki toczyły się za mną gładko.

Wrócę prosto na lotnisko Kennedy'ego i wsiądę do pierwszego powrotnego samolotu do Los Angeles. Wrócę tak szybko, że Lloyd Darby i Happerman & Browning nawet nie zauważą mojej nieobecności. Powiedziałam im, że jestem chora.

Ale nagle stanął przede mną Adam, chwycił mnie za ramiona, zajrzał mi w twarz i w kółko powtarzał moje imię.

- Ryden - powiedział. - To kuzynka, Anna Davies. Jest partnerem w Barnard.

Puściłam ręczki i walizki osunęły się z łomotem na podłogę.

- Naprawdę? - Czy to możliwe?

- Tak, naprawdę - odparł Adam. - Jeśli sobie życzysz, mogę ci pokazać nasze zdjęcie z dzieciństwa. Gdzieś powinienem mieć jedno, na którym biegamy w kółko po podwórku, udając małpy.

- Och! - rzuciłam, oddychając z ulgą. - Jak dobrze. Bo wprowadzenie się do ciebie i twojej nowej dziewczyny byłoby odrobinę krępujące. - Bum! Powiedziałam to. Zdobyłam się na podróż przez cały kraj, a teraz na kolejne ryzyko. Większe.

Adam popatrzył się na mnie, po czym zmierzył wzrokiem mój bagaż.

- Chcesz powiedzieć, że to już wszystko?

- Wszystko, czego potrzebuję - rzekłam. Potem dotknęłam jego twarzy. - Chciałam powiedzieć, prawie wszystko, czego potrzebuję.

Adam przykrył moją dłoń ręką.

- Dlaczego twoje usta są tak daleko? - zapytał cicho.

Zrobiłam krok w jego stronę.

- Też mnie to zastanawia.

Pochylił się, żeby mnie pocałować, ale nie zdążył, bo wyciągnęłam dłoń i powstrzymałam go.

- Zaczekaj.

- Na co? - zapytał. Przechylił głowę, zaniepokojony. Uśmiechnęłam się.

- Chyba cię kocham - wyszeptałam.

A potem wziął mnie w ramiona i całował, i zakręciło mi się w głowie. Czułam się wspaniale. Odsunął mnie lekko, popatrzył mi w oczy i powiedział:

- Cóż, miło to słyszeć, Ryden Malby, bo ja też cię kocham.

Rozdział 27

Niekoniecznie wymagam, żeby książki miały szczęśliwe zakończenia. W końcu czy Pani Bovary byłaby taka dobra, gdyby Emma i doktor żyli długo i szczęśliwie? Ale chyba powinnam przyznać, że miło, gdy w życiu coś kończy się happy endem.

Tydzień później, gdy siedzieliśmy z Adamem na podłodze jego mieszkania, opychając się hinduskimi daniami z którejs z tych trudnych do odróżnienia knajpek na Szóstej ulicy, poczułam, że moje szczęśliwe zakończenie jest jednocześnie początkiem. Miałam najlepszego przyjaciela. Miałam chłopaka. Miałam fajne mieszkanie na rogu Sto Osiemnastej i Broadwayu - a dokładnie rzecz ujmując, mieliśmy mieszkanie oboje. I nawet byłam w przyszłym tygodniu umówiona na rozmowę w Random House.

- Czym byś wolała być - zapytał Adam, dźgając nożem kawał sera w swoim saag paneer - jeleniem czy wiewiórką?

Oderwałam kawałek naan i zamoczyłam go w naczynku z raita.

- Dobrze pytanie - odpowiedziałam. - Muszę się zastanowić.

- Nie - powiedział. - Skończmy już grać w tę grę.

W tym momencie zadzwonił mój telefon. Stwierdziłam, że w końcu od tego mam pocztę głosową, i zignorowałam dźwięk. Uśmiechnęłam się do Adama.

- Dobrze - zgodziłam się.

- Wiesz, że w Ohio upicie ryby to przestępstwo? Podobnie jak niedzielne polowanie na wieloryby. - Uśmiechnął się. - W Ohio. Tam nie ma gdzie polować na wieloryby.

Popatrzyłam na niego z zakłopotaniem.

- O czym ty mówisz?

Adam wypił łyk mango lassi i wyjaśnił.

- Och, o prawie. Paru przepisach, które poznałem na uczelni.

- Pasjonujące - uznałam. - A jakie przydatne.

- Żebyś wiedziała! - zawołał Adam, kradnąc kawałek mojego naan. - Bo zaczynamy nową grę w kto wyskoczy z najgłupszą, najmniej przydatną informacją.

Przewróciłam oczami.

- Wygląda mi na irytującą i trudną. - Ale wtedy przypomniało mi się coś i wypaliłam radośnie: - Istnieją dwieście dziewięćdziesiąt trzy sposoby rozmienienia dolara!

Klasnął w dłonie.

- Widzisz? Wiedziałem, że ci się spodoba. - Bo tak dobrze mnie znasz - westchnęłam.

- Tak - potwierdził. - Znam.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, ciesząc się posiłkiem i sobą nawzajem. W towarzystwie Adama zawsze czułam się komfortowo, ale to był całkiem nowy rodzaj komfortu.

Wstał, żeby przynieść więcej serwetek.

- Hej, nie sprawdzisz, kto dzwonił? - zapytał, wysuwając głowę z kuchennych drzwi.

Popatrzyłam na telefon.

- Rodzice. - Westchnęłam.

- Puść to na głos - powiedział. - Chcę usłyszeć, co się dzieje u starych Malby.

Popatrzyłam na niego niepewnie i wyprostowałam nogi. Wrócił do pokoju, ujął moją stopę i masował ją chwilę.

- Skoro tego chcesz - stwierdziłam. Nacisnęłam klawisz i w pokoju zadudnił głos taty.

Z jakiegoś powodu uważał, że poczta głosowa wymaga wrzeszczenia.

- Witaj! Zgadnij, kto odwiedzi cię w przyszłym tygodniu? Znaleźliśmy tanie bilety. Nawet się tak nazywają.

Latanieokazją.com. Poważnie, sprawdź sama. Czy Adam ma rozkładaną kanapę? Babcia zapowiada, że łóżko ma być dla niej, bo jest najstarsza. Szafuje hasłem „Ustąp miejsca starszemu”, które moim zdaniem jest bzdurą, ale niech jej będzie. Kobieta wyciągnęła mnie z więzienia, więc od czasu do czasu mogę jej ustąpić. Twoja matka męczy mnie, żebym oddał komuś złocistego karasia. Uważa, że nie dbam o natlenienie wody. Przesyła ci pozdrowienia. I Hunter też cię pozdrawia.

Jest obok mnie, w piwnicy. Naprawiłem jedną maszynkę do kukurydzy. Nie przyda ci się w kuchni? W tle słyszałam krzyk brata:

- Tata śmierdzi jak Cheez Whiz!

- Kłamie - burknął tata - pachnę Head and Shoulders i Hunter dobrze to wie. Oddzwoncie w sprawie łóżka.

Zamierzał się chyba rozłączyć, ale nim to nastąpiło, usłyszałam, jak Hunter powtarza:

- Cheez Whiz! A potem tatę:

- Daj mi tę cholerną skarpetkową kukłę!

Po czym się rozłączyli. Tak po prostu. Zostaliśmy z Adamem sami.

Adam otworzył piwo i oparł plecy o kanapę.

- Następny tydzień, tak? - zapytał łagodnie. - To chyba znaczy, że będą tu w czasie mojego występu w Pete's Candy Store. Wspomniałem, że przyjeżdża Sam z Captain Corduroy? Zaśpiewa jako chórek.

- Super - powiedziała, uśmiechając się do niego. Odwzajemnił uśmiech.

- To co, jutro wybieramy się po rozkładane łóżko?

Podbiegłam do niego, położyłam mu rękę na kolanie i lekko je ścisnęłam. Myślałam o słowach Davida. O tym, że znajdę to, czego szukam. I o tym, że się nie pomylił. Znalazłam to tutaj, w tym małym pokoju.

- Koniecznie - zgodziłam się. A wtedy Adam przyciągnął mnie do siebie i przytulił.

Nad Manhattanem zachodziło słońce. Magiczna godzina, pomyślałam, po czym zamknęłam oczy i pocałowałam swojego chłopaka.

Podziękowania

Wielkie dzięki Katie Simon i Nicole McMullin, które od początku do końca towarzyszyły mi przy pisaniu tej książki. Dziękuję również moim kalifornijskim rodzicom, Jamesowi i Betsy Casselom; mojemu francuskiemu chłopakowi, Xavierowi Pompidou; i mojemu angielskiemu buldogowi Percy'emu. A na końcu, lecz równie mocno, dziękuję Joellowi Hobeice, przyjacielowi i fantastycznemu redaktorowi.